

Macdonald

Ross

Śpiąca królewna

Przełożył Waclaw Niepokólczycki

Książkę tę poświęcam Eudorze Welty

Rozdział pierwszy

W środowe popołudnie wracałem samolotem z Mazatlan do domu. Kiedy zbliżaliśmy się do Los Angeles, samolot linii Mexicana obniżył lot i wtedy zobaczyłem pierwszy raz na morzu plamę ropy.

Rozlała się ta ropa na błękitnych wodach koło Pacific Point nieregularną plamą, która wydawała się z kilometr szeroka i wiele kilometrów długa. Przybrzeżna platforma wiertnicza sterczała przechylona na zawietrzną jak metalowa rękoność sztyletu, który ugodził kulę ziemską i toczył z niej czarną posokę.

Przejściem między fotelami nadszedł steward sprawdzając, czy przygotowaliśmy się do lądowania. Zapytałem go, co się stało z oceanem. Wykonał rękami szeroki południowy gest czyniąc nim aluzję do niedbalstwa Anglos.

- Rozlała się w poniedziałek. - Pochylił się nade mną i spojrzał w dół pod skrzydło. - Dziś jest większa niż wczoraj. Proszę zapiąć pas, senor. Za pięć minut lądujemy.

Na Lotnisku Międzynarodowym kupiłem gazetę. Plama ropy stanowiła temat pierwszej strony. Wiceprezes spółki naftowej, która była właścicielem przybrzeżnej platformy wiertniczej, niejaki Jack Lennox, przewidywał, że wylew zostanie opanowany w ciągu dwudziestu czterech godzin. Lennox był przystojnym mężczyzną, o ile można wnosić z fotografii, ale to nie pozwalało stwierdzić, czy mówi prawdę.

Pacific Point było jedną z moich ulubionych miejscowości na zachodnim wybrzeżu. Gdy wyjeżdżałem z parkingu portu lotniczego, rozlana ropa zagrażająca plażom miejskim unosiła się jak groźna chmura tuż nad horyzontem moich myśli.

Zamiast pojechać do domu, do Zachodniego Los Angeles, zawróciłem na południe, wzdłuż wybrzeża, do Pacific Point. Słońce było już nisko, kiedy tam dotarłem. Ze wzgórza nad przystanią widziałem tę ogromną plamę rozciągającą się na morzu jak przedwczesna noc.

W najbliższym punkcie dzieliło ją zaledwie kilkaset metrów od brzegu i

dobrze już przekroczyła ciemnobrązowy pas wodorostów, który stanowił coś w rodzaju naturalnej przegrody. Tu i tam krążyły motorówki rozpylające chemikalia na krawędzi plamy. Były to jedyne łodzie, jakie widziałem. Biała plastikowa bariera zamykała wejście do przystani, a nad nią krążyły mewy, które też wyglądały jak z białego plastyku.

Zjechałem w dół do plaży publicznej, i wzdłuż niej na piaszczysty cypel, który częściowo otaczał przystań. Jacys ludzie, w większości kobiety i dziewczęta, stali na skraju wody zwróceniem twarzami ku morzu. Zupełnie jakby wyczekiwali końca świata albo jakby koniec świata już nadszedł i oni mieli się już nigdy więcej nie poruszyć.

Zaczynał się leniwy przypływ. Jakiś czarny ptak o ostrym dziobie szamotał się na jego fali. Ptak miał pomarańczowoczerwone oczy, które jak gdyby płonęły z gniewu, ale i był tak wymazany ropą, że początkowo nie poznałem, że to perkoz.

Kobieta w białej bluzce i obcisłych spodniach weszła po uda do wody i pochwyciła perkoza trzymając mu głowę, aby jej nie mógł dziobnąć. Kiedy wracała w moją stronę, zauważyłem, że była przystojną dziewczyną o ciemnych oczach tak samo gniewnych jak u ptaka. Jej wąskie stopy pozostawiały na mokrym piachu pięknie uformowane ślady.

Spytałem, co chce zrobić z tym perkozem.

- Zabrać do domu i obmyć z ropy.
- Wydaje mi się, że on tego nie przeżyje.
- Nie, ale może dzięki temu ja przeżyję.

Odeszła przyciskając do białej bluzki czarne, szamocące się stworzenie.

Poszedłem za nią stąpając po śladach jej eleganckich stóp. Spozstrzegła to i odwróciła się.

- Czego pan chce?
- Powiniennem panią przeprosić. Nie chciałem pani zniechęcać.
- Nie szkodzi - odparła. - To prawda, że niewiele z nich zostaje przy życiu, jeśli wpadły w ropę. Ale udało mi się uratować kilka pod Santa Barbara.
- Jest pani ptasim ekspertem.
- Zaczynam nim być dla samoobrony. Moja rodzina ma udział w tej nafcie.

Wskazała ruchem głowy przybrzeżną platformę wiertniczą. Potem nagle obróciła się na pięcie i odeszła. Stałem i patrzyłem, jak idzie spieszenie na południe trzymając nieszczęsnego perkoza w ramionach, jakby to było jej dziecko.

Poszedłem za nią aż do mola, które zamykało przystań od południa. Jedna z

motorówek otworzyła barierę i wpuściła do środka pozostałe. Podpływały do mola i cumowały.

Wiatr się zmienił i poczułem zapach unoszącej się na wodzie ropy. Pachniała jak coś, co umarło, lecz nie chciało odejść.

Przy nabrzeżu była restauracja z neonem na dachu „Potrawy morskie - Blanche”. Byłem głodny, więc skierowałem się w tamtą stronę. Przy drugim końcu długiego budynku stały na nabrzeżu beczki z chemikaliami, jakieś maszyny, stosy cembrowin studni wiertniczej. Robotnicy wysiadali z motorówek na pomost.

Podszedłem do starego wygi o spękanej od słońca pod kaskiem ochronnym twarzy. Zapytałem, jak się przedstawia sytuacja.

- Mamy zakaz mówienia na ten temat. To sprawa spółki.

- Lennox?

- Chyba tak.

Do naszej rozmowy wtrącił się tęgi brygadzysta. Miał czarne plamy ropy na ubraniu, a jego teksaskie buty na wysokich obcasach były nią całe przesiąknięte.

- Pan z prasy?

- Nie. Zwykły obywatel. Przyjrzał mi się podejrzliwie.

- Miejscowy?

- Z Los Angeles.

- Kto panu pozwolił się tu kręcić?

Trącił mnie swoim brzuchem. Mężczyźni stojący wokół nagle znieruchomieli. Sprawiali wrażenie szorstkich, zmęczonych i rozczarowanych, gotowych wziąć odwet na czymkolwiek, co tylko się rusza.

Odwrociłem się i poszedłem ku restauracji. Za rogiem budynku czekał człowiek wyglądający na rybaka. Spod wełnianej czapki wyjrzały młode oczy w pokrytej zarostem twarzy.

- Niech pan lepiej z nimi nie zaczyna - przestrzegł.

- Nie miałem zamiaru.

- Większość z nich jest z Teksasu, z głębi Teksasu. Dla nich woda to plaga, bo nie mogą jej sprzedać po dwa lub trzy dolary baryłka. Oni się martwią tylko o tę ropę, którą tracą. Mają gdzieś morskie stworzenia i ludzi z tego miasteczka.

- Czy ropa wciąż ucieka?

- Pewnie, że tak. W poniedziałek, wtedy jak trysnęła, już myśleli, że zatkali otwór. Przedtem waliła jak diabli, a pył ze szlamu i węglowodoru bił na trzydzieści

metrów w górę. Wsunęli rury w otwór, spuścili kafa i myśleli, że już jest zamknięty. I prawda, główny otwór był zamknięty. Ale nagle ropa zaczęła się wydobywać przez wodę, a gaz i emulsja naftowa aż bulgotały wokół platformy.

- Mówi pan jak naoczny świadek. Młody człowiek kiwnął głową.

- Bo nim byłem. Zawiozłem tam swoją łodzią jednego reportera... z naszej miejscowej gazety, nazywa się Wilbur Cox. Niebezpieczeństwo pożaru było tak wielkie, że właśnie ewakuowali ludzi z platformy, kiedy podpłynęliśmy.

- Były wypadki śmiertelne?

- Nie. Przynajmniej jedno dobre! - Spojrzał na mnie spod swojej czupryny. - Może pan jest reporterem?

- Nie, tylko ciekawi mnie to. A co spowodowało wybuch?

Wskazał kciukiem w niebo, a potem w morze.

- Różnie się to tłumaczy. Na przykład, że otwór był niedostatecznie ocembrowany. Ale to chyba sprawa struktury dna. Jest całe spękane. Zupełnie jakby ktoś chciał wywiercić równy otwór w cieście i utrzymać w nim wodę. Nie powinni byli tutaj wiercić.

Nafciarze z motorówek przeszli obok powłócząc nogami niczym niedobitki pokonanej armii. Rybak zasalutował im z ironią, błysnąwszy białymi zębami wśród zarostu. Spojrzeli na niego litościwie, jakby był szaleńcem, który nie rozumie, o co idzie.

Wszedłem do restauracji. Z baru dobiegały głosy zarazem chełpliwe i posepne, ale sala jadalna była niemal pusta. Restauracja była urządzona w stylu jakby lądowo-morskim, z iluminatorami zamiast okien. Dwóch mężczyzn czekało przy kasie, żeby zapłacić rachunek.

Zwróciłem na nich uwagę, ponieważ stanowili dziwną parę. Jeden z nich był młody, drugi stary i trzęsący się. Nie sprawiali jednak wrażenia, że są ojcem i synem. Nie wyglądali nawet na ludzi z tego samego świata.

Stary był prawie łysy, z sinymi bliznami na głowie, które biegły w dół, aż na policzki, złościąc w nim bruzdy. Miał na sobie stare ubranie z szarego tweedu, które wyglądało jak wykonane na zamówienie. Jednakże jego szczupłe ciało niemal w nim tonęło. Domyślałem się, że było szyte na kogoś innego, a może i na niego, kiedy był młodszy i tęższy.

Poruszał się jak człowiek zagubiony w świecie, zagubiony; w czasie.

Młodszy był w dżinsach i czarnym golfie, który podkreślał szerokość jego

ramion. Były one tak szerokie, że głowa wydawała się malutka. Spostrzegł, że mu się przyglądamy i odwzajemnił mi spojrzenie. Jego oczy przypomniały mi] pewnych straceńców, których znałem. Patrzyły na świat] przez pancerne szyby, które trzymały tych ludzi wewnątrz] i nie dopuszczały nikogo z zewnątrz.

Tęga blondyna w pomarańczowej sukni przyjęła od nich pieniądze i zadzwoniła dzwonkiem kasy rejestrującej. Płacił młodszy i on też odebrał resztę. Mężczyzna w tweedowym ubraniu oparł się na jego ramieniu jak ślepiec lub kaleka opiera się na pielęgniarku.

Blondyna otworzyła im drzwi i jakby w odpowiedzi na pytanie wskazała ręką na południe wzdłuż wybrzeża.

Kiedy przyniosła mi kartę, zapytałem, kim są.

- Widzę ich pierwszy raz w życiu. Zapewne turyści... nie znają wcale Pacific Point. Mamy tu od paru dni mnóstwo gości. - Przyjrzała mi się bystro. - Pan też, nietutejszy. Czy jest pan jednym z tych mechaników, których sprowadzają tu do nafty?

- Nie. Ja też jestem turystą.

- No, to dobrze pan trafił. - Rozejrzała się po sali z miną posiadacza. - Jestem Blanche, gdyby pan chciał wiedzieć. Coś do picia? Podaję zawsze podwójne napoje, to sekret mojego powodzenia.

Poprosiłem o krajową z lodem. A potem popełniłem błąd zamawiając rybę. Zdawało mi się, że pachniała naftą. Zostawiłem na wpół zjedzony obiad na talerzu i wyszedłem.

Rozdział drugi

Przyływ teraz przybrał na sile i bałem się, że przypędzi ropę - Niewykluczone, że już jutro osiadzie na plażach, postanowiłem, że na pożegnanie przejdę się wybrzeżem na południe. W tym kierunku właśnie, w którym udała się owa kobieta z perkozem.

Zachód słońca rozlał się po wodzie i płonął na niebie. Niebo, zmieniawszy kilkakrotnie barwy, przybrało odcień miękkiej, jakby skruszonej szarości. Zupełnie jakbym szedł pod sklepieniem ogromnej jaskini, w której płonęły słabo ukryte światła.

Doszedłem do czegoś w rodzaju naturalnego węgla, gdzie linia brzegu zawracała, a z plaży wyrastała stroma skała. Kilku spóźnionych pływaków oczekiwało na wodzie na ostatnią wielką falę.

Patrzyłem na nich, póki z ciemniejącego morza nie nadpłynęła wielka fala przynosząc na swym grzbiecie większość z nich do brzegu. Nad wodą przeleciał jak natarczywa refleksja kormoran.

Przeszedłem jeszcze z pół kilometra. Plaża była coraz to węższa, atakowana z jednej strony przez fale, z drugiej napierana urwiskiem. Urwisko było w tym miejscu wysokie na jakieś dwadzieścia metrów. Tu i ówdzie nierówne ścieżki i niebezpieczne schodki prowadziły w górę do domów na szczycie.

Powiedziałem sobie, że nie mogę dać się złapać przyływowi. Ale nadciągała noc i morze wychodziło jej naprzeciw.

O paręset metrów przede mną, u stóp urwiska, leżała przegradzając plażę kupa głazów. Postanowiłem, że dojdę do nich i wrócę. Coś mnie przygnębiało. Urwisko i głazy wyglądały w tym gasnącym świetle jak coś widzianego po raz ostatni.

Wysoko wśród głazów tkwiło coś białego. Podszedłszy bliżej spostrzegłem, że to kobieta, i między uderzeniami fal słyszałem jej szloch. Odwróciła twarz, ale zdążyłem ją poznać.

Kiedy podszedłem bliżej, siedziała zupełnie nieruchomo udając, że jest przypadkowym przedmiotem, który utkwiał w szczelinie skalnej.

- Czy coś się stało?

Przestała płakać przelykając ślinę, jakby łykała łzy, i odwróciła się ode mnie.

- Nie. Nic się nie stało.

- Czy ptak żyje?

- Nie. Nie żyje. - Głos był piskliwy, ściśnięty. - Teraz jest pan zadowolony?

- Trzeba bardzo wiele, żeby mnie zadowolić. Nie sądzi pani, że należałoby poszukać sobie bezpieczniejszego miejsca do siedzenia?

Początkowo nie odpowiedziała. Potem powoli zwróciła ku mnie głowę. Jej wilgotne oczy załśniły w głębokim zmierzchu.

- Podoba mi się tutaj. Mam nadzieję, że fale przyboju dosięgną mnie i porwą.

- Dlatego, że perkoz nie żyje? Zginie jeszcze całe mnóstwo ptaków nurkujących.

- Niech pan nie mówi o śmierci. Proszę. - Wygramoliła się ze szczeliny i wstała. - A właściwie kim pan jest? Czy ktoś pana po mnie przysłał?

- Przyszedłem z własnej woli.

- Śledził mnie pan?

- Niezupełnie. Spacerowałem sobie. - Nadciągnęła fala i rozbiła się o głazy.

Czułem chłodny pył na twarzy. - Lepiej chodźmy stąd.

Rozejrzała się dokoła szybko, rozpaczliwie, potem spojrzała w górę na urwisko, gdzie nad jej głową wisiał jak groźba oparty na wspornikach dom.

- Nie wiem, dokąd pójść.

- Sądziłem, że pani gdzieś tu mieszka.

- Nie. - Milczała chwilę. - Gdzie pan mieszka?

- W Los Angeles. Zachodnim Los Angeles. Jej oczy drgnęły, jakby powzięła decyzję.

- Ja też.

Nie bardzo wierzyłem w ten zbieg okoliczności, ale postanowiłem uwierzyć i zobaczyć, dokąd mnie zawiedzie moja łatwowierność.

- Ma pani czym dojechać?

- Nie.

- To odwiozę panią.

Poszła ze mną bez sprzeciwu. Powiedziała, że nazywa się Laurel Russo, żona Tomasza Russo. Odparłem, że nazywam się Lew Archer. Coś kazało mi przemilczeć fakt, iż jestem prywatnym detektywem.

Zanim doszliśmy do końca urwiska, tam gdzie brzeg się zakrzywił, nadciągnęła wielka fala, zmoczyła nam nogi i przyniosła na swym grzbiecie ostatniego pływaka. Przyłączył się zaraz do innych, siedzących w kucki wokół ogniska z wyrzuconego przez wodę drewna u wejścia do skalnej jaskini. Umazane ropą twarze i ciała połyskiwały w blasku ognia. Wyglądali, jakby porzucili cywilizację i byli gotowi na wszystko.

Na plaży byli również inni ludzie, którzy rozmawiali cicho lub oczekiwali w milczeniu. Postaliśmy z nimi chwilę w półmroku. Ocean i jego brzegi nigdy nie są całkowicie ciemne - woda skupia światło jak lustro teleskopu.

Pani Russo stała tak blisko mnie, że czułem jej oddech na szyi. Mimo to wydawała się jakaś odległa, w teleskopowej odległości ode mnie i innych. Zdawało się, że też to odczuwa. Wzięła mnie za rękę. Dłoń miała zimną.

Na nabrzeżu pojawił się znowu ów młody mężczyzna o szerokich barach w czarnym golfie. Ten sam, którego widziałem w restauracji Blanche. Zeskoczył na piasek i zbliżył się do nas: Ruchy miał niezgrabne i kanciaste, jakby wywoływane przez naciśnięcie guzika.

Zatrzymał się i spojrzał na kobietę z rodzajem złowrogiego podniecenia. Nie

puszczając mojej dłoni odwróciła się i pociągnęła mnie w stronę drogi. Trzymała się mnie mocno i kurczowo jak przestraszone dziecko. Młody człowiek stał i spoglądał za nami.

W światłach ulicy przyjrzałem się jej lepiej. Rysy miała jakby zastygłe, oczy aż pociemniały od silnego wstrząsu. Kiedy wsiedliśmy do samochodu, jej lęk stał się niemal namacalny.

- Kto to był?

- Nie wiem. Naprawdę.

- Więc czemu się go pani aż tak boi?

- Boję się i koniec. Czy moglibyśmy przestać o tym mówić?

- Ale to nie był Tom Russo? Pani mąż?

- Ależ skąd.

Drżała. Miałem stary deszczowiec w bagażniku, wyjąłem go więc i okryłem jej plecy. Nie podziękowała mi, nawet na mnie nie spojrzała.

Pojechałem rampą do autostrady. Pojazdów jadących wraz z nami na północ było niewiele. Ale od strony Los Angeles płynął ku nam nieprzerwany potok reflektorów, jakby z dziury w boku miasta wyciekało światło.

Rozdział trzeci

Kobieta jechała ze mną w tak całkowitym milczeniu że wahałem się je przerwać. Spoglądałem na nią od czasu do czasu. Wyraz jej twarzy jakby się wciąż zmieniał od żalu, lęku i trwogi do chłodnej obojętności. Zastanawiałem się, co też mogło te zmiany powodować, i czy może był to tylko wynik mojej wyobraźni i tych świateł.

Zjechaliśmy z autostrady przy moim zakręcie do Zachodniego Los Angeles.

Zapytała cichym, nieśmiałym głosem:

- Gdzie pan mieszka, panie...? - Zapomniała mojego nazwiska.

- Archer - powiedziałem. - O parę przecznic stąd.

- Czy sprawiłabym panu wielki kłopot, gdybym zadzwoniła z pana mieszkania do męża? On się mnie nie spodziewa. Mieszkam u krewnych.

Powinienem był ją zapytać, gdzie mieszka jej mąż, i zawieźć ją do niego. Ale zabrałem ją do siebie.

Stała w moim saloniku bosa, w moim deszczowcu na ramionach i rozglądała się, jakby zwiedzała slumsy. Bezmyślność jej zachowania kazała mi się zastanowić, z jakiego może się wywodzić środowiska. Zapewne były w nim pieniądze, być może

całkiem świeżo zdobyte pieniądze.

Pokazałem jej telefon na biurku i wszedłem do sypialnego, żeby rozpakować walizeczkę. Kiedy wróciłem, siedziała skulona nad telefonem. Czarna słuchawka była przyciśnięta do jej głowy jak jakieś narzędzie chirurgiczne, które wytoczyło całą krew z jej twarzy.

Nie zdawałem sobie sprawy, że w słuchawce było głucho, póki jej nie odłożyła, bardzo delikatnie. Opuściła potem głowę. Jej włosy opadły na biurko niby gęsty cień.

Stałem i przyglądałem się jej przez chwilę, nie chcąc wtargnąć w jej uczucia, być może nie chcąc ich podzielić. Była skłopotana. Ale wyglądała w moim pokoju jakoś naturalnie.

Po chwili uniosła głowę. Twarz miała spokojną jak maskę.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że pan jest.

- Niech pani nie przeprasza.

- Mam zmartwienie. Tom nie przyjedzie po mnie. Ma u siebie kobietę. To ona odebrała telefon.

- A co z tymi krewnymi, u których pani mieszka?

- Nic.

Rozejrzała się po pokoju, jakby jej życie nagle się skurczyło.

- Wspomniała pani o swojej rodzinie. Mówiła pani, że ma udziały w nafcie.

- Pan mnie pewnie źle zrozumiał. Proszę mnie z łaski swojej nie wypytywać. -

Jej nastrój zmieniał się w kapryśny sposób, od bólu do chęci zadawania bólu. -

Wygląda na to, że się pan śmiertelnie boi, by nie wziąć mnie sobie na głowę.

- Przeciwnie. Może tu pani zostać do rana, jeśli pani chce.

- Z panem?

- Może pani zająć dla siebie sypialny. Ta kanapa się rozkłada.

- A co mnie to będzie kosztowało?

- Nic.

- Czy wyglądam na kobietę łatwą?

Wstała zrzucając mój deszczowiec z ramion. Był to akt odtrącenia.

Jednocześnie niechęć pokazała, jak jest zbudowana. W miejscu, gdzie ptak pozostawił ciemne plamy na jej bluzce, rysowały się pełne piersi, była cienka w pasie i miała krągłe biodra i uda. Na dywanie leżał piasek z jej wytwornych stóp.

Przyjrzałem się z ukosa sobie jako mężczyźnie w średnim wieku, na dorobku.

To prawda, że gdyby była stara albo brzydka, nie sprowadziłbym jej do domu. Ale nie była. Mimo całej goryczy i lęku, jej główka posiadała nie zmieniony urok.

- Nie chcę od pani niczego - odparłem zadając sobie pytanie, czy mówię prawdę.

- Ludzie zawsze czegoś chcą. Niech się pan nie stara oszukiwać. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. - Rozejrzała się jak dziecko w obcym miejscu. - Nie podoba mi się tutaj.

- Może pani każdej chwili wyjść.

Zaczęła nagle płakać. Po jej twarzy płynęły łzy pozostawiając lśniąco ślady. Powodowany skruchą czy pożądaniem wyciągnąłem rękę, żeby wziąć ją za ramiona. Cofnęła się i stała trzęsąc się.

- Proszę usiąść - powiedziałem. - Może pani zostać. Nikt pani nie zrobi krzywdy.

Nie uwierzyła mi. Domyślałem się, że ktoś musiał już ją kiedyś ciężko skrzywdzić, a może nawet zniszczyć, jak tego perkoza, nie do odratowania. Dotknęła swej zalanej łzami twarzy.

- Czy mogę się gdzieś umyć?

Pokazałem jej drzwi do łazienki. Zamknęła je za sobą na klucz, demonstracyjnie. Siedziała tam dosyć długo. Kiedy wyszła, oczy miała pogodniejsze i poruszała się z większą pewnością siebie, jak alkoholik, który popił skrycie.

- No, to chyba już pójdę - powiedziała.

- Ma pani jakieś pieniądze?

- Tam, dokąd idę, niepotrzebne mi pieniądze.

- A cóż to ma znaczyć?

Słowa te wypowiedziałem ostro, a ona zareagowała na nie przesadnie.

- Spodziewa się pan, że zapłacę za podwiezienie? Poza tym jestem tu i oddycham pana drogocennym powietrzem.

- Pani chce się z kimś kłócić. Dlaczego właśnie ze mną?

Postanowiła uznać to za ostateczne odtrącenie. Otworzyła nagle drzwi i wyszła z mieszkania. Coś mnie pchało, żeby za nią pójść, ale doszedłem tylko do skrzynki na listy. Usiadłem przy biurku i zacząłem przeglądać pocztę, która nagromadziła się podczas mojego tygodniowego urlopu.

W większości składały się na nią rachunki. Był wśród nich trzystudolarowy czek od człowieka, któremu odnalazłem syna mieszkającego wraz z pięcioma innymi

nastolatkami w pewnym mieszkaniu w Isla Vista. Właśnie dzięki temu mogłem pobyc tygodnie w Mazatlanie. Był też starannie wykaligrafowany list od pensjonariusza jednego z najsurowszych zakładów karnych w środkowej Kalifornii. Twierdził, że jest niewinny, i chciał, abym to udowodnił. W postscriptum dodał:

„Jeśli nawet nie jestem niewinny, to czemu mnie nie chcą wypuścić? Jestem już stary i nie mogę nikomu zrobić krzywdy. Co komu zaszkodzi, jeśli mnie teraz wypuszczą?”

Jak przy zamówieniu międzymiastowej mój umysł dokonał szeregu niejasnych połączeń. Wstałem niemal przewracając lekkie krzesło i wszedłem do łazienki. Drzwiczki szafki z lekarstwami były uchylone. Miałem w niej fiolkę z Nembutalem, około czterdziestu tabletek, pozostałość z czasów, gdy zapomniałem, jak się śpi, a potem znów się nauczyłem. Fiolki nie było.

Rozdział czwarty

Wszedłem na pustą ulicę w jakieś dziesięć, dwanaście minut po niej. Wsiadłem do samochodu i objechałem kilka bloków. Nigdzie nie było żadnych przechodniów, nigdzie ani śladu Laurel Russo.

Dojechałem do bulwaru Wilshire i wtedy zdałem sobie sprawę, że tracę czas. Wróciłem do domu i odszukałem Tomasza Russo w książce telefonicznej. Mieszkał na skraju Westwood, niespełna pięć kilometrów ode mnie. Zanotowałem jego adres i numer telefonu.

Jego telefon zadzwonił kilkanaście razy, rytmicznie i ochryple jak przedśmiertne rżenie, nim podniesiono słuchawkę.

- Mieszkanie państwa Russo, mówi Tom Russo.

Tu Lew Archer. Pan mnie nie zna, ale rzecz dotyczy pana żony.

- Laurel? Coś się stało?

- Jeszcze nie. Ale boję się o nią. Wzięła tabletki nasenne z mego mieszkania.

W jego głosie zabrzmiała podejrzliwość:

- Pan jest jej chłopakiem?

- Nie, ja nie. Pan.

- A co robiła w pana mieszkaniu?

- Chciała zadzwonić do pana. Gdy pan ją splawił, wyszła, zabierając moje tabletki nasenne.

- Jakiego rodzaju tabletki?

- Nembutal. Po trzy czwarte grana.

- Ile?
 - Koło czterdziestu. Dość, aby się zabić.
 - Wiem - powiedział Russo. - Jestem farmaceutą.
 - Czy to do niej podobne, że je zażyje?
 - Nie wiem. - Ale w jego głosie dało się wyczuć lekki odcień strachu.
 - Czy już próbowała kiedyś popełnić samobójstwo?
 - Nie wiem, z kim rozmawiam. - Co znaczyło, że prawdopodobnie próbowała.
 - Czy jest pan kimś w rodzaju policjanta?
 - Jestem prywatnym detektywem.
 - Zapewne jej rodzice pana zaangażowali?
 - Nikt mnie nie angażował. Spotkałem pańską żonę na plaży przy Pacific Point. Najwyraźniej przygnębiła ją ta rozlana ropa. Prosiła, żebym ją podwiózł do Los Angeles. Kiedy pan ją spławił...
 - Proszę, niech pan tak nie mówi. Wcale jej nie spławiałem. Powiedziałem, że nie mogę jej przyjąć z powrotem, jeżeli nie jest naprawdę gotowa spróbować jeszcze raz ułożyć ze mną życie. Nie mógłbym znieść następnej partaniny i nowego zerwania. Ostatnie omal mnie nie zabiło.
 - Jej nie chodzi tak bardzo o mnie jak... Ale zaraz, zdradzam panu rodzinne sekrety.
 - Proszę powiedzieć mi coś więcej, proszę pana. Do kogo jeszcze mogła zadzwonić albo pójść?
 - Musiałbym mieć trochę czasu, żeby się zastanowić, a nie mam. Idę na nocny dyżur do drogerii. Powinienem już tam być.
 - Która to drogeria?
 - „Save More” w Westwood.
 - Przyjadę tam. Zrobi mi pan listę ludzi, z którymi mogłaby się chcieć skontaktować?
- Russo powiedział, że spróbuje.
- Pojechałem bulwarem Wilshire prawym pasem ruchu wypatrując Laurel wśród przechodniów. Zatrzymałem się na parkingu „Save More” i wszedłem przez drzwi obrotowe do drogerii. Fluoryzujące światło sprawiało, że atmosfera panująca wewnątrz wydawała się sztuczna i jakaś odległa jak na stacji kosmicznej.
- Wśród stoisk błąkało się kilkanaścioro młodych ludzi, chłopcy z włosami na Jana Chrzciciela, dziewczyny ubrane po staroświecku jak matka z obrazu Whistlera.

Mężczyzna w dziale aptecznym w głębi sklepu był pod względem wieku mniej więcej w połowie między mną a tymi młodymi.

Jego czarne włosy nie były ani krótkie, ani długie i widać w nich było przebliski przedwczesnej siwizny. Czyściutki biały fartuch, który miał na sobie, sprawiał, że jego głowa wydawała się jakby odłączona od tułowia i szybowała sobie swobodnie we fluoryzującym świetle. Była to głowa koścista i pod okrywającą ją skórą rysowała się wyraźnie czaszka, niby starożytna rzeźba z brązu.

- Pan Russo?

Spojrzał na mnie bystro i wyszedł na otwartą przestrzeń między szklanym przepierzeniem a kasą.

- Czym mogę panu służyć?

- Jestem Archer. Miał pan jakąś wiadomość od żony?

- Nie, proszę pana, nie. Ale na wszelki wypadek powiadomiłem szpital Hollywoodzki i inne.

- A więc jednak uważa pan, że ona ma skłonności samobójcze.

- Mówiła czasem o samobójstwie, kiedyś, dawniej. Laurel nigdy nie czuła się bardzo szczęśliwa.

- Powiedziała, że kiedy dzwoniła do pana, słuchawkę podniosła kobieta.

Spojrzał na mnie smutnymi piwnymi oczyma, jakie zwykle przypisuje się wiernym psom.

- To sprzątaczką, która przychodzi do mnie sprzątać.

- W nocy?

- Właściwie to moja kuzynka. Została dłużej i zrobiła mi kolację. Mam już dość jedzenia po restauracjach.

- Od jak dawna pan i Laurel żyjecie w separacji?

- Tym razem od paru tygodni. Ale nie jesteśmy prawnie w separacji.

- Gdzie ona mieszka?

- Głównie u przyjaciół. A także z ojcem, matką i babką w Pacific Point.

- Czy zrobił mi pan listę, o którą prosiłem, jej krewnych przyjaciół?

- Tak, zrobiłem. - Podał mi kartkę papieru i nasze oczy znów się spotkały.

Wydał mi się mniejszy i surowszy. - Pan naprawdę zamierza zająć się tą sprawą?

- Za pańskim pozwoleniem.

- Wolno mi zapytać, czemu?

- Bo uciekła z moimi tabletkami. Mogłem ją zatrzymać, ale byłem trochę zły.

- Rozumiem - ale jego oczy patrzyły gdzieś obok mnie. - Czy pan dobrze zna Laurel?

- Nie. Poznałem ją zaledwie dzisiaj po południu. Ale mam dla niej wiele sympatii, jeśli pan rozumie, o co mi chodzi.

- Tak. Jak wszyscy. - Wciągnął powietrze w płuca i wypuścił je z sapnięciem. - Te nazwiska, które panu wypisałem, to głównie jej krewni. Laurel nigdy mi nie mówiła o swoich chłopakach... tych, których miała, zanim się pobraliśmy. I miała tylko jedną prawdziwą przyjaciółkę, o jakiej wiem. Joyce Hampshire. Chodziły razem do szkoły, gdzieś w Orange. Szkoły prywatnej. - Skierował wzrok na moją twarz, czujnie, w zamyśleniu. - Joyce była na naszym ślubie. Ona jedna uważa, że Laurel powinna pozostać przy mnie.

- Od jak dawna jesteście po ślubie?

- Od dwóch lat.

- Czemu żona pana porzuciła?

- Nie wiem. Ona sama tego nie wie. Sprawy zaczęły się psuć... zepsuła się atmosfera. - Jego wzrok powędrował ku butelkom i pudełkom na półkach za przepierzeniem, zawierającym bezgraniczną różnorodność leków.

- Gdzie Joyce Hampshire mieszka?

- Nie tak daleko stąd, w Greenfield Manor. To jest w Santa Monica.

- Zechce pan tam zadzwonić i powiedzieć, że może do niej wpadnę?

- Mogę. Czy uważa pan, że powinienem zadzwonić na policję?

- To niewiele da. Za mało jest podstaw, żeby wszczęli akcję. Ale niech pan zadzwoni, jeśli ma pan ochotę. A skoro tak, to już i do Wydziału Samobójstw.

Gdy Russo zajął się telefonowaniem, przestudiowałem wypisany na maszynie spis osób:

Joyce Hampshire, Greenfield Manor.

William Lennox, El Rancho (dziadek).

Sylwia Lennox, Seahorse Lane, Pacific Point Laurel.

Jack i Marion Lennox, Cliffside, Pacific Point (rodzice Laurel).

Kapitan Benjamin i Elizabeth Somerville, Bel-Air (jej wuj i ciotka).

Spróbowałem zapamiętać sobie tę listę. Russo mówił przez telefon:

- Nie klóciłem się z nią. Nie widziałem jej ani dziś wieczorem, ani wcześniej. Nie mam z tym w ogóle nic wspólnego, daję ci słowo. - Odłożył słuchawkę i wrócił do mnie. - Może pan porozmawiać z Joyce, mimo iż nie wolno mi nikomu

udostępniać tego aparatu.

- I tak wolę porozmawiać osobiście. Należy więc wnosić, że nie miała żadnej wieści od Laurel?

Russo zaprzeczył ruchem głowy nie odrywając wzroku od mojej twarzy.

- Dlaczego pan ją nazywa Laurel?

- Bo pan ją tak nazywa.

- Ale powiedział pan, że pan jej prawie nie zna. - Był lekko zirytowany.

- Bo nie znam.

- Więc czemu jest pan tak zainteresowany? Nie twierdzą, że nie ma pan prawa. Ale po prostu nie rozumiem... skoro pan jej prawie nie zna.

- Mówiłem już, że czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialny za to, co się stało.

Zwiesił głowę.

- Ja też. Zdaję sobie sprawę, że popełniłem błąd, gdy zadzwoniła do mnie dziś wieczorem i powiedziała, że chce wrócić. Powinienem być się na to zgodzić.

Był człowiekiem, który łatwo zwracał gniew i podejrzliwość ku sobie samemu. Na jego przystojnej twarzy malowało się rozczarowanie, jakby czuł, że zmarnował swoją młodość.

- Czy ona już kiedyś uciekała, proszę pana?

- Rozstawaliśmy się nieraz, jeśli o to panu chodzi. I to zawsze ona odchodziła.

- Czy miała kiedykolwiek do czynienia z narkotykami.

- Prawienie.

- Co znaczy prawie?

- Używa trochę barbituranów. Zawsze miała kłopoty z zaśnięciem i w ogóle z nerwami. Ale nigdy nie przedawkowała. - Rozważał tę możliwość z na wpół przymkniętymi oczami i nie mógł się z nią pogodzić. - Sądzę, że to tylko bluff. Próbuje mnie przestraszyć.

- W każdym razie przestraszyła mnie. Czy mówiła coś o samobójstwie, kiedy rozmawiała z panem przez telefon?

Russo nie odpowiedział od razu, ale jego czaszka pod powłoką skóry stała się bardziej wyraźna.

- Powiedziała coś.

- Nie pamięta pan dokładnie co? Zaczerpnął głęboko powietrza.

- Powiedziała, że jeżeli chcę ją ujrzeć żywą, to żebym pozwolił jej wrócić. I

żebym czekał na nią w domu. A ja nie mogłem tego zrobić, bo musiałem przyjechać tu i...

Przerwałem mu:

- Żywą?

- Tak powiedziała. Nie wziąłem wtedy tego zbyt poważnie.

- Ja biorę. Jest poważnie wytracona z równowagi. Ale ciągle myślę, że chce, abym ją odnalazł.

Podniósł głowę.

- Z czego pan to wnosi?

- Zostawiła drzwiczki mojej szafki z lekarami otwarte. Nie bardzo starała się mi umknąć z tymi tabletkami Nembutalu... - Wziąłem kartkę z nazwiskami. - A co może pan powiedzieć o jej rodzinie? Bel-Air, El Rancho i Seahorse Lane to dość ekskluzywne okolice.

Russo pokiwał głową z powagą.

- Są bogaci. - A pochylenie jego ramion dodało: A ja biedny.

- Czy jej ojciec to ten sam Jack Lennox, który jest właścicielem tej studni, co zapaskudziła morze?

- Właścicielem tej studni jest dziadek Laurel. William Lennox. Spółka, na której czele on stoi, posiada ich wiele.

- Czy pan go zna?

- Spotkałem go raz. Zaprosił mnie do siebie do El Rancho w zeszłym roku.

Mnie, Laurel i resztę rodziny. To zebranie rodzinne trwało dość krótko i nie zdążyłem nawet z nim porozmawiać.

- Czy Laurel jest w bliskich stosunkach z dziadkiem?

- Była kiedyś, nim dziadek nie znalazł sobie nowej żony. A czemu?

- Sądzę, że ten wybuch ropy poważnie nią wstrząsnął. Wydaje się, że bardzo przejęła się losem ptaków.

- Wiem. To dlatego, że nie mamy dzieci.

- Tak powiedziała?

- Nie musiała tego mówić. Ja chciałem, żebyśmy mieli dzieci, ale ona nie czuła się jeszcze przygotowana do macierzyństwa. Łatwiej jej było troszczyć się o ptaki. Teraz cieszę się, że nie mamy dzieci.

W jego słowach była zgryźliwość, być może tylko podświadoma. Jakby w trakcie tej rozmowy zdał sobie sprawę, że traci życiowe możliwości.

- Czy zna pan rodziców Laurel... państwa Lennox?

- Znam. Fotografia ojca Laurel, Jacka Lennox, była dziś na pierwszej stronie „Timesa”.

- Widziałem. Czy to możliwe, że poszła do nich czy raczej do swojej babki, Sylwii?

- Nie wiem, co mogła zrobić. Spędziłem ostatnie dwa lata usiłując zrozumieć Laurel, ale nigdy nie potrafiłem przewidzieć, w którą stronę skoczy.

- A państwo Somerville, z Bel-Air... czy Laurel jest z nimi blisko?

- To jej wuj i ciotka. Kiedyś, zdaje się, była z nimi w zażyłych stosunkach, ale nie ostatnio. Ale ja niewiele wiem. Właściwie nie znam tej rodziny. Było w niej sporo waśni i sporów, odkąd stary zmienił swoje domowe układy. To przysporzyło Laurel mnóstwo zmartwień.

- Czemu?

- Nie mogła znieść kłopotów, żadnych kłopotów. Czuli się zawsze roztrzęsiona, gdy ktoś się spierał lub kłócił. Nie mogła nawet ścierpieć zwykłych domowych sprzeczek.

- Czy dużo było między wami sprzeczek?

- Nie. Tego bym nie powiedział.

Do lady obok mnie podeszła jakaś kobieta z receptą. Była w wysokich czarnych butach i żółtej peruce. Russo jakby odczuł ulgę na jej widok. Wziął receptę i skierował się za przepierzenie.

- Do zobaczenia - rzuciłem za nim.

Wrócił i pochylił się ku mnie, aby nikt nie usłyszał, co miał mi do powiedzenia:

- Jeśli zobaczy pan Laurel, proszę jej powiedzieć... poprosić, żeby wróciła. Nie stawiam żadnych warunków. Chcę tylko, żeby wróciła. Proszę powiedzieć, że tak mówiłem.

Zadzwoił telefon za przepierzeniem. Russo podniósł słuchawkę, posłuchał i pokręcił głową.

- Nie mogę tam przyjść, wiesz o tym. I nie chcę, żeby oni przychodzili tutaj. Ta praca to wszystko, co posiadam. Zaczekaj chwilę.

Wrócił do mnie blady i roztrzęsiony.

- Rodzice Laurel są u mnie. Ja nie mogę stąd odejść, a nie chcę, żeby tu przychodzili. Tak czy owak nie mogę rozmawiać z tymi ludźmi. Zrobiłby mi pan

ogromną przysługę, gdyby pan poszedł i porozmawiał z nimi. Pan ją widział ostatni. To niedaleko stąd. Chętnie zapłacę panu za fatygę, ile pan uzna za stosowne.

- Dobra. Wezmę od pana sto dolarów.

Twarz mu się wydłużyła.

- Za rozmowę z nimi?

- Mam nadzieję zrobić więcej. Sto dolarów to jest moja dniówka.

- Nie mam tyle przy sobie. - Zajrzał do portfela. - Mogę panu dać teraz pięćdziesiąt.

- Dobra. Na resztę poczekam. Kobieta w żółtej peruce zapytała:

- Dostanę te lekarstwa, czy może zamierzacie gadać całą noc?

Russo przeprosił ją. Kiwnął do mnie znacząco głową i wrócił do telefonu.

Poszedłem do samochodu, czując, że moje poczynania są teraz nieco bardziej uprawomocnione, ponieważ mąż Laurel został moim klientem. U takiego jak on człowieka, który najwyraźniej doszedł do swojej pozycji społecznej drogą mozolnych studiów farmaceutycznych, wydanie pieniędzy, choćby najbardziej uzasadnione, było dowodem szczerego zatroskania.

Jadąc przez Westwood zadałem sobie pytanie, skąd wzięła się moja własna troska o jego żonę. Odpowiedź była niejasna. Jego żona zdawała się należeć do tych ludzi, z którymi się zwykle wiąże swoje niejasne obawy, swoje niezgłębione smutki.

Jej oczy jakby patrzyły na mnie z mroku, niczym duch kobiety, która już umarła. Albo duch ptaka.

Rozdział piąty

Była to podupadająca, średniozamożna dzielnica. Tynkowane domki z płaskimi dachami zbudowane w latach dwudziestych, stały naprzeciwko siebie jak betonowe bunkry na jakimś zapomnianym polu bitwy. Dom Toma Russo wyróżniał się spośród innych stojącym przed nim nowym czarnym Cadillakiem.

Zza kierownicy wysiadł ogromny mężczyzna.

- Pan Archer? Powiedziałem, że tak.

- Jestem Jack Lennox, ojciec Laurel.

- Poznałem pana.

- Ach tak? My się znamy?

- Widziałem pana fotografię w porannej gazecie.

- Boże święty, to było dziś rano? Czuję się, jakby już minął tydzień. - Pokiwał głową posepnie. - Podobno nieszczęścia chadzą parami. Co moje doświadczenie w

pełni potwierdza.

Za tymi zdawkowymi zdaniami wyczuwałem badawczość i niedowierzenie, które u ojca Laurel nie były nieoczekiwane. Podszedł bliżej i ściszył głos.

- Domyślałem się, że mój zięć - wymówił to słowo z niesmakiem - nie pragnie nas widzieć. Proszę mi wierzyć, że uczucie to jest wzajemne. Dobrze, że wysłał emisariusza. Niezbyt jednak rozumiem, jaka jest pańska rola w tej sprawie.

- Jestem prywatnym detektywem. - I dodałem, nieco przesadzając: - Tom Russo zaangażował mnie, abym odnalazł pana córkę.

- Nie wiedziałem, że tak mu na niej zależy.

- Zależy. Ale nie mógł w tej chwili opuścić pracy. A ponieważ jestem ostatnią osobą, która widziała Laurel, zgodziłem się przyjść i porozmawiać z panem.

Lennox wziął mnie za ramię. Jakby w zamkniętym obwodzie czułem przepływające na mnie napięcie.

- Ostatni, który ją widział? Co pan chce przez to powiedzieć?

- Wyszła z mojego mieszkania z fiolką Nembutalu. - Spojrzałem na zegarek. - Przeszło godzinę temu.

- Jak się znalazła w pana mieszkaniu?

W jego głosie zabrzmiała groźna nuta. Ucisk na moim ramieniu wzrósł. Strząsnąłem dłoń Lennox.

- Spotkałem ją na plaży koło Pacific Point. Poprosiła mnie, żebym ją podwiózł do Zachodniego Los Angeles, co też uczyniłem. Potem zapragnęła skorzystać z mego telefonu, żeby zadzwonić do męża.

- Co zaszło między Laurel a jej mężem?

- Nic poważnego. On właśnie wychodził do pracy i nie mógł po nią przyjechać. Przypisuje, oczywiście, całą winę sobie, ale ja go nie winię. Pana córka była wytrącona z równowagi jeszcze przed opuszczeniem Pacific Point.

- Ale co ją wytrąciło z równowagi?

- Rozlana ropa. Uratowała ptaka i ten ptak później zdechł na jej rękach.

- Bzdura. Ludzie teraz za wszystko obwiniają tę rozlaną ropę. Myślałby kto, że nastąpił koniec tego cholernego świata.

- Może i nastąpił dla pana córki. Jest bardzo wrażliwa, sprawiała wrażenie, jakby żyła na krawędzi.

Potrząsnął głową. Sam sprawiał wrażenie skrajnie wyczerpanego i chyba nie chciał, abym mu mówił o córce.

- Często miewała skłonności samobójcze? - spytałem.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A kto mógłby wiedzieć?

- Niech pan zapyta jej matki.

Zaprowadził mnie do domu, jakby był jego właścicielem. Przez chwilę znaleźliśmy się blisko siebie w oświetlonym hallu i wymieniliśmy szybkie spojrzenia. Był ogorzały na brąz, o nieprzeniknionych niebieskich oczach i dosyć gęstych, kasztanowych, falujących włosach, które się zaczynały niezbyt wysoko nad oczami. Spojrzenie miał trochę zbyt pewne siebie, usta trochę zgorzkniałe. W jego oczach i ustach był też cień przerażenia, jakby już czuł pierwszy powiew starości. Musiał mieć co najmniej pięćdziesiątkę, choć wyglądał młodziej.

Jego żona czekała w salonie, w towarzystwie kuzynki Toma, tej samej, o której Tom mi wspominał. Obie panie siedziały naprzeciwko siebie w sztywnych pozach, co oznaczało, że już dawno wyczerpały wszystkie możliwe tematy.

Młodsza z nich, kuzynka Toma, miała na sobie jasnoniebieskie spodnie, które wyolbrzymiały jej kształty. Sprawiała wrażenie schwywanej w sidła. Gdy jednak uśmiechnąłem się do niej półgębkiem, odpowiedziała mi takim samym uśmiechem.

- Jestem Gloria - powiedziała. - Gloria Flaherty. Starsza z kobiet wyglądała tak, jak za dwadzieścia lat mogłaby wyglądać Laurel, gdyby żyła. Zachowała jeszcze nieco urody, ale od nosa do kącików ust biegingy bolesne zmarszczki, a pod oczyma były czarne cienie, jakby wyszła z pożaru. We włosach miała siwe pasma.

Uniosła dłoń okrytą czarną rękawiczką i umieściła ją bezwładnie w mojej.

- Pan Archer? Nie możemy nic z tego zrozumieć. A pan? Czy to prawda, że, jak jej mąż twierdzi, Laurel ma skłonności samobójcze?

- Możliwe.

- Ale dlaczego? Czy coś się stało?

- Właśnie chciałem zapytać o to panią.

- Ależ ja naprawdę nie rozmawiałam z Laurel od kilku dni: Ona mieszka u babki. Korzysta z jej kortu tenisowego. Mówi, że dla niej tenis to lekarstwo.

- Czy potrzebne jej lekarstwo, proszę pani?

- Użyłam tego określenia dość nieściśle. - Odwróciła się i spojrzała na kuzynkę Toma, potem na mnie. - Wolalabym nie poruszać tej sprawy w takich okolicznościach.

Gloria zrozumiała i wstała.

- Skończę sprzątać w kuchni. Czy mogę państwu czymś służyć?

Państwo Lennox skrzywili się i potrząsnęli głowami. Zupełnie jakby przerażała ich myśl przełknięcia czegokolwiek w domu Toma Russo. Byli jak astronauta sztucznie żywieni na obcej planecie, uważni, ale odnoszący się ze wzgardą do nieprzyjaznego otoczenia i jego nieprawdopodobnych mieszkańców.

Kuzynka wyszła do kuchni. Pani Lennox wstała i zaczęła chodzić tam i z powrotem przed wystygłym kominkiem. Była wysoka i dość chuda, lecz poruszała się z jakby nerwową młodzieńczością. Zamachała przed nosem rękami.

- Ciekawam, jakich perfum ona używa. Pachną jak Północ w Long Beach.

- To obelga dla Long Beach - zauważył jej mąż. - Long Beach to przyzwoite nafiarskie miasto.

Domyślałem się, że usiłowali być swobodni, ale ich słowa padały ciężko jak ołów.

- Sądzi pan, że ona z nim żyje? - zwróciła się do mnie pani Lennox.

- Wątpię. Tom mówi, że jest jego kuzynką. A co ważniejsze, wydaje się, że jest zakochany w pani córce.

- Więc czemu jej nie pilnuje?

- Wygląda na to, że bardzo trudno ją upilnować, proszę pani.

Milczała chwilę w zamyśleniu.

- To prawda. Zawsze była taka. Laurel to nieobliczalna dziewczyna. Łudziłam się, że małżeństwo...

- Zapomnij o jej małżeństwie - wtrącił Lennox. - Ono najwyraźniej utknęło na rafie. Nie mieszkają razem od tygodni. Russo mówi, że nie chce rozwodu, ale to tylko mydlenie oczu w nadziei na wyłudzenie pieniędzy. Znam ten typ.

- Może się pan mylić co do niego - powiedziałem. - Zdaje się, że troszczy się o nią tak samo jak pan.

- Naprawdę? Proszę nie zapominać, że jestem jej ojcem. I niech mnie pan nie stawia z tym pigularzem na jednej płaszczyźnie.

Był oburzony na cały świat. Twarz mu poczerwieniała, a potem zszarzała. Jego żona przyglądała się tym zmianom barw, jakby były dla niej znajomą oznaką. Jej oczy miały zamyślony wyraz, ale schyliła się nad mężem i położyła obie dłonie na jego ramionach.

- Uspokój się, Jack. Wiele nas jeszcze dziś czeka. - Zwróciła się do mnie. - Mąż cierpi na naciśnienie. Biorąc pod uwagę okoliczności, zapewne rozumie pan

czemu.

- Nie bardzo rozumiem, czemu państwo tu przyszli - powiedziałem.

- Sądziliśmy, że Laurel tu jest. Jej babka powiedziała, że Laurel zastanawiała się nad powrotem do Toma.

- Z pewnością martwi się pani o nią.

- Martwię się o nią całe życie... całe jej życie.

- Czy zechce mi pani powiedzieć dlaczego?

- Chciałabym móc.

- Czy to znaczy, że pani nie może, czy że pani nie powie? Spojrzała na męża jakby po nowy znak. Na jego twarzy, pojawiły się różowe plamki. Przeciągnął po niej dłonią, jakby ją ocierał, ale pozostała nie zmieniona. Jego głos był jednak zmieniony, kiedy mówił:

- Laurel bardzo wiele dla nas znaczy, panie Archer. To nasze jedyne dziecko, jedyne dziecko, jakie mamy i kiedykolwiek będziemy mieli. Gdyby jej się coś stało...

- Wzruszył ramionami i osunął się w fotelu.

- A co mogłoby się jej stać?

Lennox milczał. Jego żona stała patrząc w dół na niego, jakby starała się wyczytać jego myśli.

- Czy próbowała kiedyś popełnić samobójstwo? - zapytałem ich.

- Nie - odparł ojciec. Ale matka powiedziała:

- Tak. Do pewnego stopnia.

- Przy użyciu leków?

- O tym nie wiem. Przyłapałam ją kiedyś z rewolwerem mego męża. Grała w jego pokoju w rosyjską ruletkę.

Lennox poruszył się z boku na bok w fotelu, jakby był do niego przywiązany.

- Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

- Jest mnóstwo rzeczy, o których ci nie mówiłam. Nigdy, aż do tej pory, nie musiałam.

- Zatrzymaj je na razie dla siebie, dobrze? To bardzo kiepski czas na ich ujawnianie. - Wstał odwracając się do mnie tyłem i górując nad nią. - Co będzie, jak ojciec się o tym dowie?

- A niech się dowie.

- Wiesz przecież, że ważą się losy jego majątku. Ta kobieta tylko czeka na sposobność, żeby nam go zabrać. A chyba nie zamierzamy go jej oddać, co?

Podniósł rękę i chlasnął ją otwartą dłonią w twarz. Nie było to ściśle mówiąc uderzenie i nie był to też zwykły klaps. Zabrzmiało jak ciche klaśnięcie i wstrząsnęło nią.

Wstrząsnęło również mną. Lennoxowie należeli do tych małżeństw, które nie umiały zjednoczyć się we wspólnym wysiłku. Siła ich małżeństwa przechodziła od jednego do drugiego jak prąd zmienny, który wstrząsał i paraliżował.

Kobieta zaczęła płakać, z suchymi oczami. Mąż próbował ją pocieszyć cichymi pomrukami i dotykiem rąk. Jej szlochy nie ustawały, jak czkawka.

Powiedziała między jednym a drugim:

- Tak mi przykro. Zawsze robię to, co nie należy... Psuję ci życie.

- To bzdura. Uspokój się.

Zaprowadził ją do samochodu, a potem wrócił do frontowych drzwi.

- Archer?

Czekałem na niego w hallu.

- Czego pan chce?

- Jeżeli ma pan choć trochę rozsądku i sumienia, niech pan o tym nikomu nie mówi.

- O czym?

- O tych kłopotach z moją córką. Nie chcę, aby pan o tym mówił.

- Muszę zdać sprawozdanie Tomowi Russo.

- Ale nie musi mu pan mówić wszystkiego. Zwłaszcza tego, o czym mówiliśmy z żoną.

- O majątku pana ojca?

- Właśnie. Byłem niezbyt dyskretny. Proszę, aby pan okazał się dyskretniejszy.

Powiedziałem, że postaram się.

Rozdział szósty

Wszedłem do kuchni. Kuzynka Gloria wycierała naczynia przy zlewie, a czarne włosy miała związane sznurowadłami w dwie kitki. Rzuciła mi przez ramię szybkie pogodne spojrzenie.

- Nie powinien pan tu przychodzić. Straszny tu bałagan.

- Ja tego nie widzę. Wszędzie tak czyściutko.

- Bo robię, co mogę - przyznała. - Ćwiczę się przed powtórным wyjściem za mąż.

- Czy już wybrała sobie pani szczęśliwca? Odwróciła się twarzą do mnie, z talerzem w jednej a ścierką w drugiej ręce.

- Prawdę powiedziawszy, tak. Jest wspaniałym człowiekiem. To ja jestem szczęściara.

Polerowała talerz, jakby to był symbol jej przyszłości. Było coś wzruszającego w jej wierze i sile.

- Niech mi więc będzie wolno złożyć swoje gratulacje.

- Dziękuję bardzo. Bylibyśmy już po ślubie, ale chcemy, żeby się to odbyło jak należy. Dlatego właśnie wzięłam tę dodatkową pracę u Toma. Robiłabym to za darmo, ale Toma stać, aby mi płacić.

Była wesołą, otwartą dziewczyną i chętną do rozmowy, kiedy już rodzice Laurel poszli.

- Gdzie pani pracuje? - zapytałem.

- W kuchni w Ośrodku Medycznym. Uczę się na dietetyczkę. Harry też pracuje w gastronomii, o ile w ogóle pracuje. W tej chwili właśnie nie pracuje. Marzymy, aby może kiedyś otworzyć własną restaurację.

- Oby wam się udało, Glorio.

- Uda się. Harry jest sprytny i umie współżyć z ludźmi. Nawet Tom go lubi.

- Co to znaczy „nawet”?

- Tom lubi niewielu ludzi. Nie lubił Flaherty’ego... to mój pierwszy. Można by na palcach jednej ręki zliczyć ludzi, których on naprawdę lubi. - Uniosła lewą dłoń z rozcapierzonymi palcami. - Strata matki i do tego w taki sposób, kiedy był taki mały, nauczyła go podejrzliwości w stosunku do innych. Moja matka często mówi, że się dziwi, że Tom w ogóle do czegoś doszedł mając taki start. Myślę, że znaczną zasługę należy przypisać staremu panu Russo. Stary pan Russo ma swoje wady, ale jest dobrym ojcem dla Toma, i zawsze był.

Zapewne uznała, że za dużo mówi, i zajęła się znów naczyniami. Cieszyłem się z tej chwili milczenia, usiłując przetrawić, co powiedziała. Tom stracił matkę w dzieciństwie, a teraz groziło mu, że utraci żonę. Te dwie straty nie miały logicznego związku, ale sugerowały możliwość jego istnienia. Zamajaczył w jasnej kuchni jak podwójny cień wywołany defektem w oświetleniu.

- A co się stało z matką Toma?

Po chwili milczenia Gloria odpowiedziała:

- Ciocia Allie zmarła. Było to tak dawno, że już nie pamiętam. Pamiętam, że

przez pewien czas mieszkaliśmy w tym domu wszyscy razem. - Rozejrzała się po kuchni tęsknie, z miną posiadaczki. - Ale wszystko ma swój kres. Matka dostała propozycję pracy, a pan Russo uznał, że powinna z niej skorzystać.

- Czy pan Russo mieszka z Tomem?

- Już nie. Zostawił dom Tomowi, po jego ślubie z Laurel. Pan Russo przeniósł się do domu starców w Inglewood. Nie było to dla niego łatwe, ale zawsze chciał, aby ten dom przypadł w udziale synowi.

- Jak to się stało, że Tom i Laurel się spotkali?

- Weszła po prostu któregoś dnia do drogerii i Tom zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia. Gdy powiedziała, że wyjdzie za niego, uważał się za najszcześniejszego na świecie.

- A pani tak nie uważała?

Potrząsnęła głową i jej związane sznurowadłami włosy zatrzepotały niczym skrzydełka.

- Nie mam nic przeciwko Laurel, chociaż Bóg świadkiem, że jest zakompleksiona. Ale czasem myślę, że Tom wziął za wiele na swoje barki, kiedy się wżenił w tę rodzinę. Oni są strasznie bogaci, a my na wszystko musimy zapracować. Wszystko, co Tom ma, to praca w cudzej drogerii. I ten dom, który spłaca ojcu.

- I Laurel.

- Jeżeli ją ma.

- A co między nimi zaszło, wie pani?

- Tom nigdy o tym ze mną nie mówi. Straszny z niego milczek.

- Ale pani zna ich oboje. Widywała ich pani razem.

- Oczywiście.

- Jak oni z sobą żyją?

- Trudno powiedzieć. Nie rozmawiali wiele ze sobą. Ale każde z nich zawsze wiedziało, że drugie jest blisko, jeśli pan wie, o co mi chodzi. Myślę, że się kochają. Harry też tak uważa.

- Harry ich zna?

- Pewnie że tak. - Usta miała otwarte, gotowe powiedzieć więcej. Nagle jakby coś sobie przypomniała i umilkła na chwilę. Później dodała bez wyraźnego związku: - Tom jest bardzo zazdrosny o Laurel. To chyba jedyna dziewczyna, na jaką kiedykolwiek spojrzął.

- Ile lat ma Tom?

- Trzydzieści jeden. Jest starszy ode mnie o cztery lata.

- A Laurel jest jedyną dziewczyną, jaką kiedykolwiek miał?

- O ile mi wiadomo, tak. Przez pewien czas ja byłam jego dziewczyną. Nie w pełnym sensie tego słowa... byliśmy bardziej jak siostra i brat... ale chodziłam z nim. Uczylałam go tańczyć i tak dalej, ale oboje wiedzieliśmy, że to nic nie znaczy. Po prostu chciał się dowiedzieć, jak się należy zachowywać w towarzystwie młodej damy.

- I jak się zachowywał?

- Bardzo dobrze. Był jednak troszkę sztywny i z rezerwą. Wciąż jest taki. Nie pamiętam, czy mnie choć raz pocałował. - Jej ciemne oczy patrzyły na mnie z powagą i ufnością. - Czekał na Laurel, jeśli pan wie, o co mi chodzi. Ona była jego przeznaczeniem, tą jedyną.

- Więc czemu zerwali?

- Oni tak naprawdę nie zerwali. Ona tylko od czasu do czasu wraca do rodziców albo mieszka u przyjaciół.

- Na przykład u Joyce Hampshire?

- O właśnie. To są stare przyjaciółki. Ja chyba robiłabym to samo, gdybym była żoną Toma. On miewa te długie okresy milczenia, zawsze miewał. A Laurel ma własne problemy... nie muszę panu tego mówić. Ale gwarantuję, że na pewno znów będą razem.

- Mam nadzieję. Podziękowałam jej i wyszedłem.

Rozdział siódmy

Greenfield Manor, gdzie mieszkała Joyce Hampshire, było szeregiem piętrowych domków otoczonych imitacją muru z niewypalanej gliny. Jakiś chudy młody człowiek ubrany jak szpieg w trencz i kapelusz wciśnięty na oczy wychodził właśnie z furtki Joyce, kiedy podszedłem..

Światło w patio było zapalone i na moment zobaczyłem jego twarz. Nie była jednak taka bardzo młoda. Czas i kłopoty poznały ją zmarszczkami jak moją. Odwrócił się szybko, jakby nie chciał, aby go poznano lub zapamiętano.

Nacisnąłem guzik dzwonka u drzwi. Joyce musiała czekać po drugiej stronie drzwi, bo nagle się otworzyły. Rozwarła ramiona i powiedziała:

- Kochanie?

Była ładną kobietą, ale wszystko w niej było jakby odrobinę rozmazane: jej miękkie włosy przymglone blaskiem światła od tyłu, oczy przymglone zwątpieniem,

a kształty rozlane.

- Przepraszam, że tak pana powitałam. Myślałam, że to ktoś inny.

- Nie szkodzi.

- Ale to takie żenujące.

- Nie dla mnie. - Powiedziałem, jak się nazywam. - Tom Russo dzwonił do pani, żeby panią uprzedzić.

- Ależ tak. Proszę wejść, panie Archer. Zaprowadziła mnie do salonu. Był zatłoczony ciężkimi meblami i drobiazgami, które wyglądały na pamiątki z niezbyt udanych podróży: obtłuczona koncha, wypolerowana płytką sekwojowa z wypisanymi na niej wierszami, litrowy kufel z emblematem Hofbrau... nie powiązane wspomnienia, które nie tworzyły udanego życia.

Usiedliśmy obok siebie na czarnej skórzanej kozetce. Moja obecność wciąż żenowała Joyce. Odsunęła się ode mnie i obciągnęła spódnicę na pulchnych różowych kolanach.

- Nie wiem, co mogłabym zrobić, żeby panu pomóc. Nie widziałam Laurel od co najmniej tygodnia.

- Podobno mieszkała u pani.

- Tak, przez kilka dni. Ale w ubiegłym tygodniu przeniosła się do babki.

Rozmawiał pan z Sylwią Lennox?

- Jeszcze nie.

- Powinien pan porozmawiać. Ona bardzo kocha Laurel i prawdopodobnie zna ją lepiej od innych. Laurel to jej jedyna wnuczka.

- Gdzie mieszka Sylwia Lennox?

- Na wybrzeżu koło Pacific Point, niedaleko rodziców Laurel.

- Ale Laurel woli mieszkać z babką?

- Chwilami. Laurel niezbyt przepada za rodzicami. I sprawia im nie lada kłopoty.

- Domyślam się, że zna pani Laurel od dawna.

- Właściwie jak sięgnę pamięcią. Chodziłyśmy do tej samej szkoły, od pierwszej klasy.

- Co to za szkoła?

- River Valley. To prywatna szkoła w El Rancho. Tam właśnie mieszkała jej babka, Sylwia, zanim odeszła od męża.

- Słyszałem, że nastąpił jakiś rozłam w rodzinie.

- Z całą pewnością. Sylwia wyprowadziła się od męża, a inna kobieta, dużo młodsza, wprowadziła się do niego. Laurel bardzo odczuła ten rozpad małżeństwa dziadków. Kocha ich oboje i oni ją kochają, co stawia ją w trudnej sytuacji. Reszta rodziny uważa, że stary zwariował biorąc sobie w tym wieku młodą kobietę. Ale oczywiście nie śmieją mówić o tym głośno.

- Ponieważ on jest właścicielem spółki naftowej. Kiwnęła głową.

- Rodzice Laurel spędzili całe życie w nadziei, że ją po nim odziedziczą.

- A Laurel?

- Laurel nie. Jej nie zależy na pieniądzach. Ona nie jest samolubna. Może lepiej by na tym wyszła, gdyby była.

- Jaka ona w ogóle jest? To dla mnie niejasne.

- Zależy, z kim pan rozmawia. Nigdy nie była bardzo szczęśliwą dziewczyną i nauczycielki nie bardzo ją lubiły. Wie pan, jakie są nauczycielki. Jak się na kogoś uwezmą, to potem czepiają się go o wszystko.

- A o co się jej czepiały?

- Początkowo o głupstwa. O rozmowy w klasie, nieodrabianie lekcji... takie drobiazgi. Czasami chodziła na wagary.

- A później?

- Później sprawy się pogorszyły. Naprawdę nie chcę o tym mówić. Dałoby to panu zły obraz Laurel. Bo to była w głębi serca bardzo dobra dziewczyna, bardzo poważna i dobra przyjaciółka. Rozmawiałyśmy ze sobą całymi godzinami i na tym polegała nasza przyjaźń. I chichotałyśmy razem jak szalone.

- Mówi pani to wszystko w czasie przeszłym, panno Hampshire.

Przeraziła się trochę.

- Tak? Nie zamierzałam tego. Ale to prawda, że nieczęsto się widzimy, odkąd dorosłyśmy... zwłaszcza, odkąd ona wyszła za Toma Russo. On zdaje się chciał ją mieć wyłącznie dla siebie. I oczywiście ja też mam własne sprawy. - Stwierdzenie to jakby zażenowało ją leciutko i dodała szybko: - Na przykład dużo podróżuję.

- Ale Laurel mieszkała u pani w ubiegłym tygodniu.

- Tylko parę dni.

- Czy mówiła, czemu odeszła od Toma? Potrząsnęła swoją blond główką.

- Nie. Prawdę mówiąc zamierzała do niego wrócić. Ale powiedziała, że musi przedtem uspokoić się nerwowo.

- A na co się skarżyła?

- Mówiła, że denerwuje ją przebywanie w tym domu. Że miała tam koszmarne sny. Powiedziałam jej, że niesłusznie wini dom, że przyczyną jej problemów jest zupełnie co innego.

- Co?

- Tom chciał mieć dzieci, ona nie. Mówiła, że nie chce, aby jej dzieci żyły w takim świecie.

- Co miała na myśli?

- Nie wiem. Chyba wszelki gwałt i okrucieństwo, jakie na nim są. - Uniosła dłonie i zaczęła siekać nimi powietrze, jakby to było łagodne zobrazowanie gwałtu panującego na świecie. - Laurel wciąż o tym mówiła.

- Czy Tom traktował ją źle?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Traktował ją całkiem dobrze według swego rozumowania. Powiedziałabym, że umieścił ją na piedestale.

- Kobiety nie zawsze to lubią.

- Wiem - odparła uśmiechając się do siebie. - Stawia się kobietę na piedestał, żeby sobie stała i obrastała kurzem. Ale z Laurel było inaczej. Tom Russo naprawdę ją uwielbiał.

- Więc czemu go porzuciła? Bo dom ją denerwował? Joyce wstała i powiedziała patrząc mi w oczy:

- Powiem panu, co naprawdę myślę. Myślę, że Laurel porzuciła go z powodu samej Laurel. Bardzo trudno jej wytrwać przy czymś lub przy kimś. Ona nie ma pewności siebie, prawdę mówiąc, bardzo siebie nie lubi. Jakby uważała siebie za niegodną.

- Niegodną Toma?

- Niegodną życia jakiegokolwiek bądź rodzaju. To naprawdę przyzwoita dziewczyna, o naprawdę głębokich uczuciach. - Po raz pierwszy z artezyjskich głębi zaczęły wypływać własne uczucia Joyce i jej wrażenia przestały być nijakie. - Sądzę, że wbrew wszystkiemu to dobra dziewczyna. Ale gdy się słucha, co Laurel mówi o sobie, człowiek mógłby pomyśleć, że ona jest największym grzesznikiem na świecie.

- A jest?

- Popełnia błędy. Ale nie do mnie należy ją sądzić. Wszyscy popełniamy błędy. - Rozejrzała się po pokoju, jakby go wypełniały duchy jej własnych błędów.

- Może mi pani dać przykład błędów Laurel? Była zaambarasowana.

- Na przykład uciekła do Las Vegas z chłopakiem, kiedy była w szkole w

River Valley. Zabrakło im pieniędzy i zażądali okupu od rodziców Laurel.

- Okupu?

- Udali, że ich porwano i porywacze zażądali tysiąca dolarów za ich wypuszczenie. Podjęli okup, jak słyszałam, i stracili co do centa w grze. Wtedy ojciec Laurel przywiózł ją do domu.

- Ile miała wtedy lat?

- Około piętnastu.

- Pamięta pani, kto to był ten chłopiec?

- Myślę, że nazywał się Sherry. Był w starszej klasie i nie znałam go. Nigdy nie wrócił już do szkoły. Laurel też nie. Uczyła się w domu, prywatnie, póki nie poszła na uniwersytet.

- I już nie miała chłopców?

- Miała na uniwersytecie i później. Ale żaden z nich przy niej nie wytrwał.

Laurel, jak mówiłam, jest trudna. Potrzebowała kogoś opanowanego i wiernego, jak Tom.

- Podobno spotkali się u niego w drogerii.

- To prawda. Byłam z nią tego dnia. Laurel weszła do drogerii, żeby zrealizować receptę. Tom zrobił się taki podniecony i zdenerwowany, kiedy ją zobaczył, że minął chyba kwadrans, nim wydał jej leki. Kiedy wreszcie wyszliśmy, odprowadził ją aż na parking. To było naprawdę śmieszne, tylko że on traktował to z wielką powagą. Był taki blady i przejęty w tym swoim białym fartuchu, wyglądał jak jakiś średniowieczny fanatyk. Laurel mówiła mi później, że co dzień do niej dzwonił... znał jej nazwisko i adres z recepty... i w kilka miesięcy później byli po ślubie.

- Jest pani pewna, że to było ich pierwsze spotkanie?

- Oczywiście. Laurel wcale go nie знаła. Mówiła mi, że nigdy przedtem nie była w tej drogerii. To „Save More” w Westwood.

- Na co była ta recepta, którą realizowała?

- Zdaje się na jakieś tabletki nasenne... jakieś barbiturany.

- Czy ona ich dużo używa?

- Wydaje mi się, że tak. Właśnie w ubiegłym tygodniu pokłóciłyśmy się trochę o to. Zajadała Seconale, jakby to były słone orzeszki. A potem spała jak zabita.

- Czy pani zdaniem ma skłonności do samounicestwienia?

Kobieta zastanowiła się nad moim pytaniem, siedząc w zamyśleniu, z zastygłą

twarzą.

- W pewnym sensie chyba tak. Ale nie wiem dobrze, do czego pan zmierza.

- Powiem wprost, skoro jest pani jej dobrą przyjaciółką.

- Staram się być. Czasem trudno to mi przychodzi. Niezupełnie cieszą mnie pewne rzeczy, o jakich przed chwilą panu mówiłam.

- Powiedziałbym, że zrobiła jej pani przysługę. Niedawno Laurel wzięła fiolkę Nembutalu z szafki z lekarstwami z mojego mieszkania. Nie wiem, dokąd z nią poszła i co może z nią zrobić. Oczy Joyce ściemniały i rozszerzyły się.

- Czy coś ją wyprowadziło z równowagi?

- Parę rzeczy. Jedną z nich jest ropa koło Pacific Point. Potraktowała to jakoś bardzo osobiście... może dlatego, że jej rodzina jest w to uwikłana. Próbowwała ocalić usmarowanego ropą ptaka i ptak zdechł na jej rękach. Prosiła, żebym przywiózł ją tutaj...

- Do mnie? - spytała Joyce w miłym zaskoczeniu.

- Do jej męża. Ale gdy zadzwoniła do niego z mojego mieszkania, on nie chciał po nią przyjechać. Okazało się, że musiał iść do pracy, a ona przyjęła to za odprawę. Zaraz potem chwyciła tabletki i poszła. A ja się przestraszyłem.

- Ja też się boję - powiedziała cicho.

- Czy kiedykolwiek próbowała popełnić samobójstwo?

- Nie. Nie sędzę. Ale mówiła o samobójstwie.

- Jako czymś, co mogłaby zrobić?

- Tak. Chyba tak.

- Czy mówiła, w jaki sposób?

- Wspominała zdaje się o tabletkach, ale to było dawno, przed ślubem. Nieraz mawiała, jakby to było dobrze zasnąć i już się nigdy nie obudzić.

- A mówiła czemu?

- Biorąc pod uwagę jej sposób rozumowania, nie musiała mieć specjalnego powodu. Nie była dziewczyną szczęśliwą. - Głos Joyce zabrzmiał głucho. - Jakaś jej część zawsze pragnęła śmierci.

- To brzmi nieomal jak epitafium.

- Ale nie zamierzone. - Ścisnęła pięści i zrobiła przesadny ruch, jakby chciała otrząsnąć przejmującą chłodem myśl. - Jestem pewna, że ona żyje. Jestem pewna, że zażyła te tabletki tylko po to, żeby się dobrze wyspać.

- One jej zapewnią sen bardzo głęboki. Gdzie mam jej szukać, Joyce?

- Naprawdę nie wiem. Czy ma przy sobie jakieś pieniądze?

- Wątpię. Zastanawiałem się, czy nie spróbować jej szukać w Bel-Air, u jej wuja. Jak on się nazywa... Somerville?

- Kapitan Beniamin Somerville. To emerytowany kapitan marynarki, który ożenił się z siostrą ojca Laurel. Jego numeru nie ma w książce telefonicznej, ale mogę dać panu jego adres.

Przepisała adres z notesu i odprowadziła mnie do drzwi.

- Dawno zna pan Laurel?

- Poznaliśmy się dziś po południu na plaży.

Nie zapytała mnie jak, co mnie ucieszyło. W przeciwnym razie może musiałbym jej powiedzieć, że szedłem za Laurel tak samo jak Tom Russo, który odprowadził ją aż na parking w swym białym fartuchu.

Rozdział ósmy

Bel-Air spowijały ciemności tak gęste, że można by się niemal na nich oprzeć. Sporą chwilę krążyłem w koło, nim wreszcie wypatrzyłem skrzynkę na listy z białym nadrukiem: „Kpt. Beniamin Somerville Mar. St. Zjed. (emer.)”. W skrzynce było kilka dziur od kul.

Poszedłem w górę asfaltowym podjazdem. Dom i zabudowania gospodarcze stały na wierzchołku wzgórza pod otwartym niebem. Widziałem gwiazdy nad sobą, a niżej nocne przestrzenie miasta, które wyglądało jak ogrodzone blaskiem i również usiane gwiazdami.

W wielkim parterowym domu nie widać było żadnych świateł. Zapukałem i stałem czekając; po chwili zapukałem znowu. Z drugiej strony drzwi usłyszałem odgłos stłumionych kroków. W świetliku nad drzwiami i wszędzie wokół domu zablęskły światła. Drzwi uchyliły się na długość łańcucha.

Z ciemnej twarzy łypnęły na mnie ciemne oczy.

- Czego pan chce?

- Chcę się zobaczyć z kapitanem Somerville.

- Nikogo nie ma w domu. - Głos czarnego był głuchy i bezbarwny.

- Ty jesteś.

- Prawda, ale ja pana nie znam.

Nie miał też specjalnej ochoty mnie poznać. Zacząłem mu dość szczegółowo zdawać sprawę, kim jestem i jak się stało, że tu przyszedłem. Przerwał mi i poprosił, żebym pokazał mu legitymację. Pokazałem mu ją przez szczelinę w drzwiach.

Nawet wtedy mnie nie wpuścił. Odpiął łańcuch i wyszedł na zewnątrz zamykając drzwi za sobą i upewniając się, czy dobrze są zamknięte. Miał klucze w rękę i wpuścił je do kieszeni. Druga kieszeń była wypchana czymś ciężkim, co wyglądało na rewolwer.

Był wielkim mężczyzną mniej więcej w moim wieku. Wyraz twarzy miał nieodgadniony. Ubrany był w niebieską koszulę i spodnie przypominające mundur. Jego lewe ramię wyglądało na okaleczone, zauważyłem, że dłoń pozostawała wciąż na wpół zaciśnięta. Mówił głosem cichym i bezosobowym.

- Dziś wieczorem nie było tu siostrzenicy kapitana Somerville. Nie oddalałem się dziś z domu ani na chwilę, przysięgam. Ona podobno mieszka u swojej babki w Pacific Point.

- Wyszła dziś stamtąd po południu. Czy nie mogła tutaj przyjść?

- Dawniej, jak była młodsza, przychodziła dosyć często. Ale teraz już nie.

- A kapitan Somerville?

- Człowieku, on tutaj mieszka. Mieszka już prawie trzydzieści lat.

- Ale gdzie jest teraz?

- Nie wolno mi mówić. Mieliśmy kilka nieprzyjemnych wizyt w ostatnich dniach.

- W związku z rozlaną ropą?

- Właśnie. Kapitan jest wiceprezesem spółki. Więc naturalnie jego się za wszystko wini, chociaż jest czysty jak świeżo spadły śnieg.

- Zauważyłem dziury od kul w skrzynce na listy.

- A tak. Niektórzy czują się dopiero wtedy szczęśliwi, jak postrzelają sobie w cudzą własność.

- W proteście przeciw rozlanej ropie?

- Nie tłumaczyli się. Przyjechali na motocyklach. Myślę, że to zwykłe zbiry, które chciały sobie postrzelać. - Popatrzył na drogę, a potem obrzucił mnie długim, taksującym spojrzeniem. - Ale pan nie przyszedł tu, żeby rozmawiać ze mną o chłopakach na motorach.

- Oni mnie też interesują. Kiedy tutaj byli?

- Wczoraj wieczorem. Zajechali z rykiem silników na wzgórze, postrzelali i odjechali. Kapitana Somerville'a nie było wtedy w domu. Siedziałem i oglądałem go w telewizji, kiedy to się stało. Kapitan i młody pan Lennox, ojciec Laurel, występowali w dzienniku o dziesiątej i tłumaczyli ludziom, czemu ta ropa się rozlała.

- A jak tłumaczyli?

- Głównie, że to dopust boży. - W jego głosie dało się wyczuć nieco ironii, ale nie dopatrzyłem się jej ani śladu w jego twarzy. - Mówili, że przyroda od czasu do czasu płata takie figle, a im nie pozostaje nic innego jak po niej sprzątać.

- Czy to nie jest zbyt surowe dla przyrody?

- Skąd ja mogę wiedzieć? - Odetchnął głęboko wonnym powietrzem nocy. - Ja tylko troszczę się odom kapitana i nic więcej nie wiem.

Wyglądał i mówił jak człowiek, który wie znacznie więcej.

- Dawno tu pan pracuje, panie...

- Smith. Nazywam się Smith. Pracuję tu od przeszło dwudziestu pięciu lat, odkąd razem z kapitanem skończyliśmy służbę w marynarce. A jeszcze wcześniej pełniłem obowiązki osobistego stewarda kapitana w jego ostatnim rejsie. Byliśmy razem pod Okinawą. Tam gdzie kapitan stracił okręt. A ja zyskałem to. - Dotknął prawą ręką okaleczającą lewej.

- Więc zna pan Laurel od dziecka?

- Raz lepiej, raz gorzej, można powiedzieć. Znałem ją lepiej, kiedy była mała. Po wojnie jej rodzice mieszkali w Palisades. - Wskazał ręką w dół, w stronę oceanu. - Przywozili ją tu, kiedy ją trzeba było przypilnować. Było z niej słodziutkie dziecko, ale czasami potrafiła dać mi się we znaki.

- A co robiła?

- Uciekała, tak jak ucieka panu. Czasem musiałem jej szukać całymi godzinami. Nie byłoby tak źle, gdyby robiła to dla zabawy. Ale nie. Czasem bywała naprawdę wystraszona. Pomyślałby kto, że ją biję. A ja nigdy nie podniosłem ręki na smarkulę. Lubilem ją. - Głos i spojrzenie złagodniały.

- A czego się bała?

- A wszystkiego. Nie mogła znieść żadnych awantur... jak ktoś podniósł rękę albo się rozgniewał. Wystarczyło, żeby jakiś ptaszek uderzył w szybę i się zabił, ona już dygotała przez pół dnia. Pamiętam, że kiedyś rzuciłem kamieniem w obcego kota. Wcale nie chciałem go trafić, tylko wystraszyć. Ale trafiłem i kot miauknął, i panna Laurel to widziała. Poszła i schowała się na resztę popołudnia.

- Gdzie się zazwyczaj chowała?

- Miała kilka takich miejsc. Ciągłe je zmieniała. W komórce za garażem. W kotłowni. W szopie.

- Pokaże mi je pan?

- Teraz, po nocy?
- Ona może nie dożyć ranka. Zajrzał uważnie w moją twarz.
- Naprawdę myśli pan, że mogła się gdzieś tutaj schować?
- Niewykluczone. Czasem, jak człowiek jest mocno wstrząśnięty, wraca do

dziecinnych przyzwyczajęń.

Pokiwał głową.

- Rozumiem, o co panu chodzi. Mnie też to się czasem zdarza.

Poprowadził mnie za dom, do garażu, i otworzył drzwi. Stały tam trzy samochody: podniszczony Continental, nowy Ford i półtonowy GMC pick-up. Nie było poza tym miejsca na żaden samochód, co mi kazało przypuszczać, że kapitan Somerville jest jednak w domu.

Nie było Laurel w żadnym z samochodów ani w komórce z narzędziami, ani w umywalni za garażem. Smith wziął latarkę elektryczną z komórki. Zeszliśmy po zadrzewionym zboczu uderzając głowami o niedojrzałe pomarańcze. Otworzył szopę.

Zbudowana była z ociosanych pni sekwoi, teraz już pobielających, i zagracona nagromadzonymi z upływem lat rupieciami: starymi meblami, półkami wyblakłych książek, zakurzonymi walizkami z zagranicznymi nalepkami, rdzewiejącą stalową szafą na akta, narzędziami ogrodniczymi, środkami owadobójczymi i trutką na szczury. Laurel nie było. Latarka elektryczna Smitha zgłębiała mroki zakamarków.

Smuga światła zatrzymała się na chwilę na drewnianym kuferku marynarskim, pomalowanym na niebiesko i z wypisanym czerwonymi literami nazwiskiem i stopniem kapitana i nazwą okrętu marynarki Stanów Zjednoczonych, „Canaan Sound”. Potem Smith skierował światło na fotografię wiszącą nad kuferkiem. Była w czarnej skrzywionej ramce i za zakurzoną popękaną szybką uśmiechał się z niej młody mężczyzna w czapce kapitańskiej.

- To kapitan przed utratą statku - rzekł Smith. Oświetlał fotografię, gdy się jej przyglądałem. Kapitan był przystojny i pewny siebie, choć jego lekko uśmiechnięte usta nie miały w sobie tej śmiałości co oczy. Gdy weszliśmy, spytałem:

- Jest pan pewien, że nie ma kapitana?
- Skąd panu przyszło do głowy, że jest?

- Bo pan mi pokazuje wszystko, oprócz samego domu. Poszliśmy wykładaną płytami kamiennymi ścieżką do kotłowni. Mieszcząca się wewnątrz pompa sapała jak maratończyk. Poprzez to sapanie słyszałem coś jakby odgłosy biegania małego zwierzątka.

Smith podał mi latarkę i wyjął rewolwer z kieszeni. Rewolwer wyglądał na kaliber 0.38 z pięciocentymetrową lufą.

- Co pan chce robić?

- Słyszę w środku szczura. Niech pan spróbuje go oświetlić.

Szarpnął drzwi okaleczając ręką. Kotłownia była pełna pełgających świateł z paleniska pieca ogrzewczego. Skierowałem blask latarki na cementową podłogę, przez chwilę przestraszony, że może tam być Laurel i Smith niechętnie ją postrzeli.

Blask latarki padł na szczura ze świecącymi oczyma. Skoczył ku studziennie kanalizacyjnej. Ale nim zdążył do niej dobiec, padł strzał. Szczur legł w czerwonej kałuży, drgnął i znieruchomiał.

Rozdział dziewiąty

Zupełnie jakby wystrzał rewolweru Smitha był ustalonym sygnałem, gdzieś na wzgórzu nad nami zaczął dzwonić telefon. Zadzwoił trzy razy i umilkł. W tym momencie Smith był już na wierzchołku wzgórza, a ja tuż za nim.

Zatrzymaliśmy się na cementowym pomoście basenu koło domu. Usłyszałem wewnątrz domu męski głos, ochryply i napięty.

- Więc jednak kapitan jest w domu? - powiedziałem.

- Tak. Ale zabronił, aby mu przeszkadzano.

- A teraz, skoro mu już przeszkodzono, dopuści mnie pan do niego?

- W jakiej sprawie?

- Laurel.

- Jej tu nie ma. Sam pan widział.

- Może właśnie teraz dzwoni.

- Zapytam.

Otworzył rozsuwane szklane drzwi i wszedł do domu pozostawiając mnie na zewnątrz. Spacerowałem po pomoście, starając się wyzbyć uczucia frustracji.

Wszystko, co osiągnąłem po całym wieczorze pracy, to zabity szczur i uporczywa wizja Laurel leżącej gdzieś z pustą fiolką obok.

Z wnętrza domu dochodził mnie słyszany niby we śnie głos kapitana. Potem usłyszałem głos Smitha. Po chwili Smith podszedł do szklanych drzwi i rozsunął je dokładnie na tyle, abym mógł wejść.

- Kapitan prosi pana. Ale niech pan nie siedzi długo. Dwie noce prawie nie zmrzył oka.

Kapitan siedział w piżamie za biurkiem w swoim gabinecie. Był szary i

zmizerowany. W kruszącej się strukturze jego twarzy z trudem rozpoznałem mężczyznę, którego fotografia wisiała w szopie. Na ścianach gabinetu nie było żadnych fotografii.

Wstał i żywo uściskał mi dłoń, ale ten uścisk nie zdołał wywołać wrażenia energii.

- Podobno jest pan prywatnym detektywem, panie Archer. Ale nie jest dla mnie całkiem jasne, dla kogo pan pracuje?

- Dla Toma Russo, męża pana siostrzenicy.

- Gdzie jest moja siostrzenica?

- Nie wiem. Umknęła z fiolką Nembutalu. Jego głos przeciął moje słowa:

- Kiedy i skąd?

- Dziś wieczorem przed ósmą z mojego mieszkania w Zachodnim Los Angeles.

- Z kim?

- Sama.

- Jest pan pewien? - Jego oczy patrzyły na mnie badawczo ze spalonej słońcem twarzy.

- Może ktoś ją wziął do samochodu na ulicy - odparłem.

- Więc ktoś ją wziął do samochodu?

- Mówię, że to nie jest wykluczone.

- A kto to mógł być?

- Nie wiem. Nic mi o tym nie wiadomo.

Odwrócił się i przeszedł kawałek, do końca pokoju. Jego bosych stóp nie było słychać na dywanie. Okręcił się na pięcie i ruszył z powrotem w moją stronę mierząc we mnie palcem jak prokurator.

- Czemu pan tu przyszedł?

- Bo chodzę wszędzie tam, gdzie mi się zdaje, że mogę ją znaleźć. Do jej męża. Jej przyjaciół, Joyce Hampshire. Rozmawiałem z jej rodzicami.

- Dawno?

Spojrzałem na zegarek. Było po jedenastej.

- W ciągu ostatnich paru godzin. Nie rozumiem, czemu zadaje mi pan te pytania?

- Nie rozumie pan?

Kapitan stanął na palcach. Był najniższy z nas trzech. Smith górował nad nim,

ale stał nieruchomo i milcząco, zastygł w wojennej hierarchii, która powinna była już dawno rozpuścić się w historii.

- Jest pan dość tajemniczy, kapitanie.

- Więc powiem otwarcie. Nim zgodzę się dalej rozmawiać z panem, chcę znać nazwisko kogoś, kto by za pana zaręczył. Kogoś, kogo cenię lub znam osobiście.

- To trochę trudno o tej porze.

- Sytuacja też nie jest łatwa - rzekł.

- Dobra. Zna pan Johna Truttwella w Pacific Point?

- Tak. Trochę. Lepiej znam jego dawnego wspólnika, Emersona Little'a. Jest on doradcą prawnym mojej teściowej.

- Niech go pan zapyta o mnie.

Kapitan siadł za biurkiem, nakręcił numer i połączył się z Emersonem Littlem. Bez dłuższych wstępów zapytał, jakie ma o mnie zdanie. Wysłuchał, co adwokat miał do powiedzenia, bez dostrzegalnej zmiany wyrazu twarzy. Potem podziękował mu i odłożył słuchawkę.

- Little wystawił panu świadectwo zdrowia. Spodziewam się, że wie, co mówi.

- Ja również.

- A więc życie mojej siostrzenicy może być w niebezpieczeństwie?

- Takie jest właśnie moje zdanie.

Jego twarz ścisnęła się jak pięść, którą mnie szturchnął.

- Czy wie pan, że ją porwano?

- Nie.

- A więc uprowadzono ją. Jej ojciec otrzymał dziś po powrocie do domu żądanie okupu.

- Listowne czy telefoniczne?

- Chyba telefoniczne. Suma jest dość duża... znacznie przerastająca jego możliwości.

- Jaka?

- Sto tysięcy dolarów, gotówką. A ponieważ Jack i Marion nie mają tej sumy, zwrócili się o pomoc do jego matki. Jego matka, babka Laurel, telefonowała do mnie przed kilkoma minutami. Jack prosił, aby nikomu o tym nie mówiła, lecz ona doszła do wniosku, że lepiej skonsultować się ze mną. Można by powiedzieć, że jestem rzeczywistą głową tej rodziny, choć należę do niej tylko przez małżeństwo.

Zauważyłem, że jego trosce o siostrzenicę, siostrzenicę tylko przez

małżeństwo, towarzyszy nieco dziwny odcień próżności.

- Kiedy należy dostarczyć te pieniądze? - zapytałem.

- Żądano, aby jeszcze tej nocy. Ale to jest oczywiście niemożliwe, zważywszy, że porywacze chcą gotówki. Muszą nam dać więcej czasu.

- Mają jeszcze raz zadzwonić?

- Podobno, w ciągu nocy. Jack spróbuje ich nakłonić, żeby poczekać przynajmniej do południa.

- Czy zamierza dać znać na policję?

- Nie sędzę. Ostrzegli go, żeby tego nie robił. Rozumie pan, że nie rozmawiałem z Jackiem. Wszystko to wiem od mojej teściowej. Sylwia jest naturalnie bardzo zdenerwowana i niełatwo się z nią porozumieć.

- A czy chce dać te pieniądze?

- Oczywiście. Sylwia bardzo kocha Laurel. Wszyscy ją kochamy. Z pieniędzmi nie ma problemu.

- Ale może być z czym innym. Zanim rodzina wpłaci pieniądze, proszę się upewnić, czy osoba lub osoby, które wezmą te pieniądze, rzeczywiście mają w swoich rękach Laurel. I proszę się upewnić, czy ona żyje.

Somerville spojrzał na mnie z przerażeniem.

- Ja nie mogę wziąć na siebie tej odpowiedzialności. Mam pełne ręce roboty w związku z rozlaną ropą.

- Sądzi pan, że ta rozlana ropa miała coś wspólnego z tym, co się zdarzyło z pana siostrzenicą?

- Nie rozumiem. Uważa pan, że mógł to zrobić jakiś maniak ochrony środowiska?

- Ja nic nie sugeruję. Sam jestem zwolennikiem ochrony środowiska. A także była nią... - Przyłapałem się, że jestem na wpół przekonany o śmierci Laurel. - Siostrzenica pana też.

- Więc co pan chciał przez to powiedzieć? - spytał.

- O waszej rodzinie dużo się mówi w ostatnim tygodniu, i dobrze, i źle. Pan i ojciec Laurel występowaliście wczoraj wieczorem przed kamerami telewizyjnymi. Jego fotografia ukazała się w prasie.

- Ale nie fotografia Laurel.

- Nie, ale to Laurel jest narażona na ciosy. To ją porwano.

Z hallu rozległ się głos kobiecy:

- Kogo porwano?

Stojącego w drzwiach Smitha minęła dobrze zbudowana kobieta, która wyglądała, jakby ubrała się w pośpiechu i nie zdążyła uczesać swoich blond włosów. Kapitan Sommerville wstał.

- Dziś wieczorem porwano Laurel. - Podał jej kilka szczegółów: wysokość okupu, fakt, że Sylwia Lennox wyraziła ochotę jego zapłacenia. Następnie zwrócił się w moją stronę. - Pan Archer jest prywatnym detektywem. Właśnie chciałem go zapytać, czy nie mógłby nam w tej sprawie pomóc. Widział Laurel nieco wcześniej dziś wieczorem.

Kobieta obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem, a potem podała mi rękę.

- Jestem Elizabeth Somerville, ciotka Laurel.

Dostrzegłem jej podobieństwo do brata, Jacka, w pięknie ukształtowanych kościach twarzy. Jej oczy były jednak inne i stanowiły o jej urodzie. Były niebieskie i szczerze i spoglądała spoza nich głębia wydrążona ludzkimi uczuciami nie wyłączając bólu.

- Kiedyście się widzieli?

Opowiedziałem wszystko, nie pomijając tabletek nasennych.

- Biedna Laurel. Czy może pan jej jakoś pomóc? I nam?

- Mogę spróbować. Ale do tego potrzebna mi współpraca pani brata.

- Jestem pewna, że ją pan uzyska.

Myliła się. Kiedy Somerville zadzwonił do Jacka Lennox do Pacific Point, ten nie chciał go nawet słuchać. Krzyczał tak, że wszyscy obecni w gabinecie mogli go słyszeć. Somerville odłożył z trzaskiem słuchawkę.

- Jack nie chce ze mną rozmawiać. Powiedział, że czeka na telefon od porywaczy. Nie chce, aby ktokolwiek się wtrącał.

- Ale my się wtrącimy - powiedziała Elizabeth. - Nie ufam Jackowi, że potrafi załatwić to sam. Jest strasznie zdenerwowany... poznałam to po jego głosie... a jak mój brat jest zdenerwowany, wówczas podejmuje błędne decyzje.

- Ja teraz nie mogę tam jechać - rzekł kapitan płaczącym tonem. - W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spałem niespełna dwie, a jutro będę miał naprawdę ciężki dzień. Jutro będziemy próbowali zatkać przeciek.

Żona patrzyła na niego z mieszanym uczuciem odmalowującym się na ładnej twarzy, trochę litości a trochę zniecierpliwienia, co pozwoliło mi zdać sobie sprawę, że była znacznie młodsza od niego.

- A czy nie można wykorzystać ludzi z waszej ochrony? - spytałem.
- Niezła myśl - odparł kapitan. Ale jego żona powiedziała:
- Nie, to nie jest dobra myśl. Zapytałem ją, dlaczego.
- Bo mój ojciec jest prezesem spółki. W ciągu paru godzin dowie się o porwaniu, a jest bardzo ważne, żeby się nie dowiedział. Przynajmniej do chwili, gdy wszystko się skończy i Laurel znajdzie się bezpiecznie w domu.

- Czy ojciec pani jest bardzo stary?

- Nie przyznaje się do tego, ale jest. Już miał jeden atak serca, bardzo ciężki. Czy zawiezie mnie pan do Pacific Point, proszę pana? Jack mnie posłucha i jestem pewna, że zgodzi się na współpracę z panem.

Ja, po spotkaniu z Jackiem, nie byłem tego taki pewny, ale odparłem, że pojadę.

- A co ja mam robić? - spytał kapitan Somerville.

- Ty idź spać - powiedziała żona. - Smith będzie przy tobie czuwał. Prawda, Smith?

- Tak jest, proszę pani. Przyjrzała mu się uważnie.

- Co to był za strzał, który mnie obudził?

- W kotłowni był szczur - odparł Smith z lekkim zażenowaniem.

- Przecież mówiłam ci, żebyś nie strzelał do szczurów. Chwytaj je w pułapkę, jeśli już musisz.

- Dobrze, proszę pani. Spróbuję.

- Więc spróbuj.

Kapitan chrząknął i dobył z siebie surowszy głos niż dotąd:

- Smith podlega tylko moim rozkazom. Pamiętaj o tym, Elizabeth.

Nie dała znać po sobie, że to słyszała. Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie. Uśmiechnęli się leciutko. Odniosłem wrażenie, że to, co ich łączyło, było głębsze i silniejsze niż stosunki łączące Somerville'ów.

Przed wyjściem spróbowałem zadzwonić do Toma Russo. Nikt nie podnosił słuchawki w jego domu, a drogeria była zamknięta.

Rozdział dziesiąty

Elizabeth Somerville wyszła przez frontowe drzwi w piaskowych norkach, które miały odcień jej blond włosów. Sprawiała wrażenie zbyt eleganckiej jak na tego rodzaju wyprawę. Zapewne wyczytała to z mojego spojrzenia, bo wróciła i przebrała się w zwyczajny ciemny płaszcz.

- Moja rodzina - powiedziała w samochodzie - ma fatalny zwyczaj ostentacji.
- W tym płaszczu wygląda pani jeszcze lepiej.
- Dziękuję... bardzo panu dziękuję. - Jej głos brzmiał poważnie, jakby od dawna nie słyszała żadnego komplementu.

Zjeżdżaliśmy w milczeniu z pogrążonego w mrokach wzgórza. Polubiłem tę kobietę od pierwszego wejrzenia tak samo jak Laurel i prawie z tych samych powodów: ich szczerości, żarliwej bezpośredniości, ich troski. Ale Laurel była dziewczyną niespokojną, a siedząca obok mnie kobieta zdawała się nad wszystkim panować.

Wszystkim z wyjątkiem być może własnego małżeństwa, które wyraźnie ją w tej chwili zaprzętało.

- Nie mam zamiaru niczego wyjaśniać i za nic przepraszać. Ale pan musiał sobie wyrobić o nas dość dziwny pogląd. Ten okropny wypadek z rozlaniem się ropy spowodował kryzys w rodzinie. A teraz, kiedy doszło jeszcze to, co stało się z Laurel... - Odetchnęła głęboko.

Skreśliłem na oświetlony bulwar wiodący na autostradę San Diego.

- Wiem, co pani czuje.

- A to skąd?

- W takiej jak ta sytuacji łatwo się poznaje ludzi. Zwłaszcza, gdy ma się wszystkie składniki.

- Nuklearne?

Spojrzałem na nią z ukosa. Uśmiechała się troszkę złośliwie.

- Nie sądzę, aby między nami miała nastąpić eksplozja

- powiedziałem. - Proszę mnie źle nie rozumieć... jestem przekonany, że jest pani bardzo wybuchowa, podobnie jak Laurel.

- Naprawdę? Sądzi pan, że jestem podobna do Laurel?

- Wydawała się tym mile połączona a zarazem przestraszona. - Istotnie mówię, że ciotka i siostrzenica mają około trzydziestu procent tych samych genów... prawie tak samo bliskie pokrewieństwo jak matka i córka. I prawie taki mam do niej stosunek. - Schyliła się ku mnie. - Co się stało z Laurel?

- Nie wiem. Myślę, że była gotowa na wszystko i bardzo bliska załamania emocjonalnego. Nie chcę wysnuwać żadnej teorii, ale nie dziwiłbym się, gdyby to porwanie zostało dokonane impulsywnie, w nie przemyślany sposób. Może ktoś ją rozpoznał na ulicy, zobaczył, że jest bezbronna, i postanowił porwać. Może był to

ktoś, kogo znała. Mogła nawet pójść z nim z własnej woli.

- Nie sugeruje pan chyba, że współdziałała w tej próbie wymuszenia okupu?

- Nie, ale nie wykluczam tego. - Myślałem o tym, co powiedziała mi Joyce Hampshire o incydencie w Las Vegas, kiedy Laurel miała piętnaście lat.

Postanowiłem nie mówić o tym Elizabeth.

- Ale nie miałyby po temu powodów - zauważyła Elizabeth. - Ona nie dba o pieniądze. A gdyby nawet, mogłaby je zawsze dostać od moich rodziców.

- Nie swoich własnych?

- Jack i Marion nie mają wiele gotówki. Oczywiście spółka płaci mu bardzo dobrze, ale oni prowadzą życie na wysoką stopę, może nawet ponad stan. Nie znaczy to, że nie mogliby lub nie chcieli postarać się o pieniądze dla Laurel, gdyby musieli.

- W próbach wymuszenia pieniądze nie zawsze grają główną rolę.

Wymuszającemu może się tak tylko wydawać. Ale w rzeczywistości może chodzić o coś w rodzaju emocjonalnej satysfakcji. Rodzaj pomsty na życiu. Czy Laurel byłaby zdolna do zrobienia czegoś takiego rodzicom?

- Nie wiem. Bezsprzecznie mieli z nią mnóstwo kłopotów. A ona z nimi - dodała po namyśle. - Jack i Marion nie mają ze sobą łatwego życia. Ale cała trójka naprawdę troszczy się o siebie wzajem. Przypuszczam, że jest w tym związku miłość i nienawiść. Odi et amo. Excrucior.

- Co to znaczy?

- „Kocham i nienawidzę. I to boli”. Moje tłumaczenie z Catullusa.

Wydrukowali to w roczniku szkoły River Valley.

- Tej samej, do której chodziła Laurel.

- Tak. Wie pan o niej bardzo dużo.

- Ale o wiele za mało. Nie miałem należytej okazji wypytać o nią męża. Jest w pracy.

- I tak nie mógłby panu wiele powiedzieć - odparła z lekką wzdargą.

- Czemu pani tak mówi?

- Bo on nie zna Laurel. Jakże by mógł, ze swoim pochodzeniem? Spędziłam z nimi sporo czasu i jeśli widziałam kiedykolwiek niedobre małżeństwo...

- Wydaje mi się, że Tom ją kocha.

- Cokolwiek by to miało znaczyć - powiedziała. - Dla Toma Laurel jest tworem romantycznej fantazji. Traktuje ją, jakby była królewną z bajki. Laurel naprawdę zasługuje na coś lepszego.

W jej głosie brzmiała zaskakująca gorycz. Zastanawiałem się, czy nie myśli również i o własnym małżeństwie.

- A jaki był... jaki jest stosunek Laurel do męża? Jaki jest pani stosunek do męża, pani Somerville?

- Sądzę, że go kochała na swój sposób i była mu wdzięczna. Laurel nie jest łatwo z kimś się zżyć, a zwłaszcza z mężczyzną. Ale naprawdę zasługuje na kogoś lepszego niż Tom Russo. To wspaniała dziewczyna. Gdyby spotkała w życiu kogoś równego sobie, ta straszna rzecz by się nie zdarzyła.

- A co pani zdaniem się zdarzyło?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. Jej włosy rozsypały się i pochwyciły blask światła jadącego za nami samochodu. - Po tym, co pan powiedział o możliwości jej współudziału, sądzą, że nie powinnam spekulować na ten temat.

- Ja spekulowałem.

- Niewątpliwie.

- Ale sądziłem, że powinienem poruszyć tę kwestię. Nie sugeruję, że pomysł wyszedł od Laurel. W najlepszym razie mogła po prostu zgodzić się na współudział..

- Czemu miałyby to robić?

- Mogła chcieć się wydostać i być tak zrozpaczona, że każdy sposób wydawał się dobry. Jeśli założymy, że dała się komuś porwać i ten ktoś zadzwonił do jej rodziców żądając okupu, to czy stało się to z jej wiedzą, czy bez, wcale nie znaczy, że Laurel nie grozi niebezpieczeństwo. Wręcz przeciwnie.

- Chodzi o to, że jeśli zna porywacza, to on równie dobrze może ją zabić?

- Właśnie. On lub oni.

- Ale pan sobie to wszystko po prostu wyobraża - powiedziała z udawaną wzgardą.

- A cóż innego mogę robić? Mówiłem, że nie wysnuwam teorii, tylko niektóre możliwości. A pani je, zdaje się, przyjmuje poważnie. Ja też. Proszę pamiętać, że spędziłem z Laurel parę chwil przed jej zniknięciem. Sprawiała wrażenie, że wszystko mogłoby się z nią stać i na wszystko była gotowa. A jeśli trafiła na kogoś, kto był w tym samym stanie...

- Wówczas nastąpiłaby reakcja wybuchowa?

Jej głos brzmiał poważnie. Wjechaliśmy estakadą na pogrążoną w mrokach nocy autostradę. Przypomniałem sobie, jak przed zaledwie kilkoma godzinami wiozłem tędy Laurel.

- Mówiąc o bombach nuklearnych - powiedziała Elizabeth takim tonem, jakby chciała zmienić temat - nie pierwszy raz dziś o nich słyszę. Wspominał o nich mój mąż, zanim skłoniłam go, aby położył się do łóżka. Wiem, że mężczyźni nie powinni popadać w histerię, ale on był niej bardzo bliski. Oczywiście przeszedł znacznie więcej ode mnie, zwłaszcza w ciągu ostatnich paru dni. Muszę to wziąć pod uwagę a także fakt, że jest starszy.

Zdawało się, że prowadzi spokojną debatę z samą sobą na temat charakteru męża.

- A cóż mąż pani miał do powiedzenia na temat bomb?

- Naprawdę nic szczególnego. Gdyby to powiedział kto inny, zaśmiałabym się mu prosto w twarz. Wpadł na szaloną myśl, że nasz szyb zaczął przeciekać, ponieważ wróg umieścił pewnie jakieś urządzenie nuklearne na dnie oceanu. Oczywiście był bardzo zmęczony i nie umie pić...

- Wróg Stanów Zjednoczonych?

- Nie posunął się aż tak daleko. Jakiś osobisty wróg lub wróg spółki naftowej. Albo ktoś, kto chciałby ukazać przemysł naftowy w złym świetle.

- A to niemożliwe, co?

- Nie. - Ton był zdecydowany. - Sądzę, że mój mąż zaczyna mieć paranoiczne urojenia. To całkiem zrozumiałe. Jest człowiekiem wrażliwym i wiem, że czuje się okropnie winny. Sam powiedział mi kiedyś, że jest zbyt uczuciowy, aby móc być oficerem liniowym. Mówił, że zdał sobie z tego sprawę, kiedy zobaczył urzędowe fotografie bombardowania Tokio. Był przerażony ich widokiem.

- Czy miał coś wspólnego z bombardowaniem Tokio?

- Nie. Nie o to chodzi. Ale ta sprawa z naftą nie jest jego pierwszą klęską. Jest druga, którą... za którą uczyniono go odpowiedzialnym. Na jego statku „Canaan Sound” wybuchł pod Okinawą pożar i część załogi zginęła.

- Z jego winy?

- Był kapitanem. Naturalnie więc wziął odpowiedzialność na siebie. Ale Ben nigdy o tym nie mówi. Ani Jack. Nie sądzą, aby któryś z nich wiedział, jak zaczął się pożar.

- Czy pani brat, Jack, też był na „Canaan Sound”?

- Tak. Jako młody oficer po Szkole Łączności. Ben załatwił mu ten przydział, żeby mieć Jacka pod swoim opiekuńczym skrzydłem. Ale niestety, skrzydło okazało się niezbyt opiekuńcze. Jack spędził na lotniskowcu zaledwie dwa tygodnie, gdy

„Canaan Sound” został wysłany pod Okinawę i spłonął. To był koniec służby morskiej Jacka i koniec kariery marynarskiej mego męża.

- To znaczy, że wylano go z Marynarki?

- Niezupełnie. Przeniesiono do służby przybrzeżnej na Wielkie Jeziora. Ben bardzo to odczuł: Ja też. Ale dla niego był to większy cios niż dla mnie. Kiedy pobieraliśmy się, był strasznie ambitny. Mawiał, że kiedyś zostanie Głównodowodzącym Flotą Pacyfiku. Praca na Wielkich Jeziorach nic nie dawała i do niczego nie prowadziła. Gdy tylko wojna się skończyła, Ben wystąpił z Marynarki. Na szczęście był moim mężem i mój ojciec przyjął go do swojej spółki naftowej.

Jej głos nabrał na wpół świadomego rytmu wspomnień. Zdawała sobie sprawę z mojej obecności, co pozwalało jej mówić, ale nie mówiła tylko do mnie.

Opowiadała sobie samej dzieje własnego życia, by się przekonać, jak brzmią.

- A czy to jest koniec kariery pani męża w przemyśle naftowym?

- Nie wiem. Dla mnie to jakby koniec wielu spraw. - Umilkła, ale nadal wyczuwałem niemy rytm jej wspomnień. Potem stały się znów słyszalne: - Obawiam się, że ojciec odwrócił się do nas plecami. Rozczarowaliśmy go, ponieważ me mamy dzieci. Znalazł sobie kobietę nazwiskiem Connie Hapgood. Była kiedyś nauczycielką w szkole w River Valley i jest młodsza ode mnie. Młodsza niż ja kiedykolwiek byłam - dodała z przewrotnym i gniewnym humorem. - Ojciec jest po siedemdziesiątce, ale poślubi ją, gdy tylko uzyska rozwód z matką. Mówi nawet o założeniu nowej rodziny.

- Mówić można dużo.

- Ale on mówi poważnie. Dał się przekonać tej kobiecie, że może rozpocząć nowe życie. A ta kobieta zrobi oczywiście wszystko, żeby pozbyć się Bena i wciągnąć do interesu własną rodzinę. Mówiło się o tym jeszcze przed wybuchem ropy, a teraz, kiedy ten wybuch nastąpił, obawiam się, że Ben jest skończony.

- Ale ten wybuch to czysty przypadek, prawda?

- Zapewne. Oczywiście. Ale ojciec będzie winił Bena. Ojciec zawsze musiał kogoś winić. - Były to słowa ciężkie i zimne jak kwintesencja dziejów jej młodości. Po chwili dodała: - Jedna z planet... nie pamiętam która... traci sto sześćdziesiąt pięć lat na to, by okrążyć słońce. To bardzo długi rok. I chyba taki właśnie rok nasza rodzina obecnie przeżywa.

- Neptun?

- Może Neptun. To bóg mórz, prawda? Może się rozgniewał i rozsądził nasz szyb. Ale niech pan nie sugeruje tej możliwości mojemu mężowi. On byłby aż nadto

skory w to uwierzyć.

Rozdział jedenasty

Jechaliśmy w milczeniu, jak towarzysze podróży w głąb wspomnień, póki nie zjechaliśmy z autostrady przy Pacific Point. Elizabeth powiedziała mi, jak trafić do domu jej brata, domu położonego na południu od granic miasta na przedmieściu zwanym Montevista.

Kiedy skręciliśmy na drogę dojazdową, sklepione korony drzew zaczerniły nocne niebo. Potem znów się odsłoniło zalane blaskiem księżycy i wsparte na połyskliwym oceanie. W tej perspektywie dom, który wisiał na skraju urwiska, wydawał się mały i niski. Wszystkie okna były oświetlone.

Zaparkowałem samochód przy kamiennym murze po lewej stronie podjazdu.

- Pan pozwoli, że ja z nim porozmawiam - powiedziała Elizabeth.

- Dobrze, ale ja też chcę wejść. Spojrzała mi w oczy.

- Dlaczego? Łatwiej mi będzie rozmawiać z Jackiem i Marion, jeśli będę sama.

- Nie przyjechałem tu dla samej przejażdżki albo żeby pani coś ułatwić.

- Dobrze. Więc proszę, jeśli pan ma ochotę.

- Nie mam ochoty. Wolałbym być teraz w łóżku. Sapnęła z irytacji, ale opanowała się. Jej dłoń w rękawiczce ścisnęła moje ramię.

- Niech się pan nie złości. Dość będę miała kłopotów z samym Jackiem.

Jakby dla zademonstrowania słuszności jej słów, przez furtę w kamiennym murze wyszedł Jack Lennox. W ręku miał sztucer z lunetą celowniczą i nim zdążyłem się połapać, o co chodzi, już był koło samochodu celując mi w głowę.

Zastygłem na wpół wychylony z drzwiczek. Przeszył mnie lęk śmierci.

Ostrożnie powiedziałem:

- Niech pan to odłoży, panie Lennox. Czy pan mnie nie poznaje?

Przez chwilę patrzył na mnie złowrogo sponad lufy. Zdawało się, że nie dba o to, kim jestem. Potem uniósł nieco sztucer, tak że nie mierzył już bezpośrednio we mnie. Wyprostowałem się.

Wrzałem cały z gniewu i zimnego lęku. Miałem ochotę wyrwać mu ten sztucer i cisnąć za dom, za krawędź urwiska, w morze.

Siostra Jacka wyczuła mój stan. Obiegła samochód i stanęła między nami mówiąc do brata głosem, jakiego dorośli używają zwracając się do dzieci:

- Daj mi ten sztucer, Jack. Po co ci on. Pan Archer przyszedł, żeby ci pomóc.

- Nie chcę jego cholernej pomocy. - Głos Jacka był ochryply od gniewu i whisky.

- No, no, Jack. Weź się w garść. Wiem, że jesteś bardzo zdenerwowany, ale broń tylko pogarsza sprawę.

Trzymał sztucer wymierzony w przybliżeniu w księżyc, który wisiał nisko jak balon strzelniczy. Kobieta sięgnęła po broń. Zmagali się chwilę, ale było to raczej zmaganie się woli niż mięśni. Jej wola zwyciężyła. Pani Somerville zabrała bratu sztucer.

Teraz miał jakoś dziwnie puste ręce. Należał do tych, którzy muszą mieć broń, aby być w pełni sobą.

Wszyscy troje ruszyliśmy nieco zakłopotani do domu.

Marion Lennox czekała za drzwiami, jakby się bała wyjść na zewnątrz.

- Mówiłam ci, że to Elizabeth - powiedziała do męża. Jej głos był monotony, a ruchy ociężałe, jakby po silnym napięciu nastąpiło w niej odprężenie. Wzięła jednak sztucer od szwagierki i postawiła w kącie hallu. Lennox spojrzał spode łba na dwie kobiety, a potem zwrócił się z tym samym wyrazem twarzy do mnie.

- Nie miał pan prawa tu przychodzić. Wszystko pan zepsuje.

Był gniewny i rozżalony, i palił się do bójki. Ja nie. Powiedziałem:

- Prosiła mnie o to pana siostra. I słusznie. Ludzie nie powinni sami próbować załatwiać takich rzeczy.

- Radzimy sobie całkiem dobrze - rzekł bez przekonania.

- Czy był już drugi telefon od porywaczy?

- Nie.

- A co dokładnie powiedzieli za pierwszym razem? Spojrzał na mnie podejrzliwie.

- A po co panu ta wiadomość?

- Chciałbym się zorientować, z kim mamy do czynienia... czy to amatorzy, czy zawodowcy...

- Nie pan ma z nimi do czynienia, tylko my.

- Rozumiem. Wcale nie chcę się wtrącać.

- Jak to nie! Wchodzi pan nieproszony i niepożądany do mojego domu. Nic pana nie obchodzi, ani my, ani co się stanie z moją córką.

- A jednak obchodzi. Dlatego tu jestem. Potrząsnął głową.

- Pan jest szpiegiem Toma Russo. Skąd mogę wiedzieć, czy on nie jest w to

wmieszany? A może nawet i pan sam, skoro o tym mowa.

Znowu wpadł w furję i pozwolił jej mówić za siebie. Nie wiedziałem, jak poważnie należy go traktować. Sztucer stał ciągle w kącie, a kobiety, jakby umyślnie, ustawiły się między nim a Jackiem.

Zdawało mi się, że jestem w tym hallu z Jackiem, jego siostrą, żoną i tym cholernym sztuczerem już nie wiadomo jak długo. Było to brzydkie, zimne i ciemne pomieszczenie bez jakichkolwiek mebli, niczym cela aresztu dla więźniów oczekujących na warunkowe zwolnienie, które nie nadchodzi.

Do Jacka podeszła z wyciągniętą ręką żona. Była blada, miała szeroko rozwarte, ogromne oczy i niezgrabne ruchy, jakby spędziła długie lata w izolatce. Jej ręka zamarła na chwilę w powietrzu, zanim dotknęła męża.

- Nie wolno ci się tak unosić, Jack. Sam to mówiłeś. Musimy zachować jasny umysł, jeżeli nasza rodzina ma wyjść z tego cało. On może zadzwonić w każdej chwili.

- Czy groził, że zabije córkę państwa? - zapytałem nieopatrznie.

Lennox rzucił się na mnie z zaciśniętymi pięściami. Żona chwyciła go za uniesione prawe ramię. Pchnął ją, że o mało nie upadła.

- Na miłość boską, Jack - powiedziała Elizabeth - uspokój się.

- To zabierz stąd tego węszącego skurwiela. Przeszła obok niego do drzwi i otworzyła je.

- Proszę wyjść, panie Archer.

Ciężkie drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem. Czułem na twarzy chłodny powiew. Księżyc piął się w górę ponad morzem. Z dala dochodziły krzyki sówki, tajemnicze i zrzedliwe, niby głos przyrody wyzywającej świat ludzi.

Ale mnie nic nie interesowało. Chciałem być wewnątrz tego domu, w tej celi, czekać razem z jej więźniami na drugi telefon.

Tak przeszła prawie godzina. Wlokła się jak na planecie Neptun. Od czasu do czasu pokrzykiwała sówka. Nie miałem jej co rzec w odpowiedzi.

Potem w domu zadzwonił telefon, tylko raz. Trzeba było dużo siły woli, żeby usiedzieć w samochodzie. Czułem się w części odpowiedzialny za niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Laurel, i nie wierzyłem, że jej ojciec zdoła ją uratować.

Sięgnąłem po papierosa. Nie wypaliłem ani jednego już od lat, ale poczułem się oszukany, kiedy nie mogłem go znaleźć. Siedziałem, gryzłem wargi i słuchałem

powolnych, miarowych uderzeń fal o skały podnóża urwiska.

Elizabeth wyszła sama. Zbliżała się bardzo wolno, jakby dom za jej plecami przyciągał ją jak magnes. Wsiadłem i otworzyłem jej drzwi samochodu. W świetle księżycy wydawała się blada i jakaś pokonana.

- Czy porywacze już dzwonili?

- Tak. Jack rozmawiał z jednym z nich. To mężczyzna.

- I co ten mężczyzna powiedział?

- Jack prosił, żebym panu nie mówiła. Chce to sam załatwić. Zawsze jest taki, zwłaszcza gdy chodzi o Laurel.

- Robi błąd.

- Mówiłam mu. Ale równie dobrze mogłabym mówić do ściany. - Wskazała kamienny mur okalający dom. - Obawiam się, że on panu nie ufa. Nikomu nie ufa, nawet mnie.

- Zawsze był taki nieufny?

- Nie. Sądzę, że po prostu już nie wytrzymuje tego całego napięcia. - To naprawdę niesprawiedliwe wobec Jacka. On aż się pali, żeby zrobić co należy i zrobić to samemu. Wcale nie jest najlepszym i najbardziej wyrozumiałym ojcem w świecie i między nim a Laurel było bardzo wiele zatargów. Z pewnością uważa, że jeśli ją teraz uratuje i okaże, jak bardzo ją kocha, to... - Umilkła znowu, jakby nie mogła sobie wyobrazić następstw tego osiągnięcia.

- Kiepska to pora na takie gierki. Życie Laurel jest w niebezpieczeństwie. Może biedactwo już nie żyje. Jaką ma pewność, że tak nie jest?

- Nie wiem.

- Prosił, żeby mu dali z nią porozmawiać?

- Nie wiem - powtórzyła. - Rozmawiał ze swojego gabinetu, a drzwi były zamknięte. Obiecał jutro dostarczyć sto tysięcy. To wszystko, co mi powiedział o tej rozmowie.

- Kiedy jutro?

- Chyba wczesnym popołudniem, bo Jack mówił, że będzie potrzebował tych pieniędzy około południa.

- Czy byłby sens, żeby spróbować z nim porozmawiać teraz?

- Żeby pan spróbował?

- Ja czy pani. Albo my oboje. Zastanowiła się.

- Obawiam się, że nie, proszę pana. Lepiej mu się nie naivzać, gdy jest w

takim nastroju jak teraz. Może jutro...

Obróciłem kluczyk i włączyłem silnik. Kiedy cofałem się od muru, otworzyły się frontowe drzwi domu. Wyszła z nich Marion potykając się na kamiennych płytach ścieżki i machając do nas ręką. Wyglądała jak ogłupiały ptak, który wpadł w światła reflektorów.

Wysiedliśmy oboje i wyszliśmy jej na spotkanie.

- Cóż tam znowu, Marion? - spytała Elizabeth trochę takim tonem, jakim się mówi do chorych.

- Jack dostał zawrotów głowy. Zmusiłam go, żeby się położył.

- Ale to nie atak serca?

- Nie. Przejdzie mu.

- Może wezwać lekarza?

- To by go tylko zdenerwowało. Elizabeth objęła ją ramieniem.

- Zostanę z tobą, jeśli chcesz.

- Nie. Jesteś strasznie dobra. Ale my z Jackiem musimy uporać się z tym sami.

On tak chce.

- A ty?

- A ja robię tak, jak mi mówi. To mocny człowiek.

- Ty też okazałaś dużo siły, Marion.

Marion potrząsnęła głową i odeszła kończąc tę chwilę czułości.

- Robię tylko to, co muszę - powiedziała. - Dopilnuj, żeby Sylwia wystarała się o te pieniądze do południa. O to jedno cię prosimy.

- Nie martw się, kochanie.

Przed wejściem do domu Marion odwróciła się do mnie. Jej twarz wyglądała w świetle księżyca jak gliniana maska.

- Bardzo pana przepraszam, panie Archer. Fatygował się pan do nas taki kawał drogi, a myśmy pana tak źle przyjęli.

- Nie szkodzi.

- Proszę nas zawiadomić, jeśli się pan czegoś dowie. Obiecałem, że to zrobię.

Ruszyła dalej ku domowi, jakby się bała zarówno tego, co ją tam oczekuje, jak i tego, co ma już za sobą. Weszła do domu frontowymi drzwiami.

- Biedna Marion - powiedziała Elizabeth. - Biedni obydwójce. Tak bym chciała im pomóc.

- Czy brat pani miał już kiedyś atak serca?

- Nie, ale ojciec o mało nie umarł na atak serca przed kilkoma laty... - Po chwili namysłu dodała: - To był prawdziwy początek kłopotów rodzinnych. Ojciec nagle zdał sobie sprawę, że jest śmiertelny, i postanowił korzystać z życia, jakie mu jeszcze pozostało. Toteż jak tylko powrócił do zdrowia, związał się z Connie Hapgood. Matka jest kobietą dumną. A także ma trochę własnych pieniędzy. Wyprowadziła się ze starego domu w El Rancho i kupiła nowy, tutaj na wybrzeżu.

- I właśnie tam teraz jedziemy?

- Tak, to tylko około półtora kilometra stąd. - Wskazała ręką na południe. - Co jest ogromnie kuszące dla Sylwii. Jack zawsze był jej faworytem. - W jej głosie dało się wyczuć chłód, ale nie gorzycz. - Powinna była zostać i stoczyć walkę z Connie. Mogła zatrzymać przy sobie ojca, gdyby chciała. Ale jej na tym nie zależało. Zostawiła go tej kobiecie. A teraz pozwala mu rozwiązać małżeństwo bez najmniejszego sprzeciwu.

- A czemu to jest takie ważne?

- Ojciec jest po siedemdziesiątce. Nie będzie żył wiecznie. A jeśli Connie odziedziczy spółkę naftową lub nawet jej część, będzie to koniec rodziny Lennoxów. Pieniądze są spoiwem, które nas łączy... pieniądze i nafta.

Skreśliłem na południe, wzdłuż ciemnej, obsadzonej drzewami drogi, która biegła równoległe do wybrzeża.

Przez skrawek nie osłoniętego gałęziami drzew nieba przemknęła sówka płomykówka poruszając się bezgłośnie niby ryba w wodzie.

Kobieta była przez chwilę równie cicha. Wreszcie powiedziała z niechęcią:

- Ojciec kocha Laurel. To jego jedyna wnuczka. I jeśli Jack stara się w jakiś sposób ją osłonić, to sam pan rozumie, czemu tak robi. Laurel jest jego ostatnim atutem.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że zdaniem pani Laurel wcale nie została porwana?

- Tak. Przynajmniej dopuszczam tę możliwość.

- Co sprawiło, że zmieniła pani zdanie?

- Doprawdy nie wiem. - Rozważyła moje pytanie w milczeniu. - Mam wrażenie, że tu dzieje się coś dziwnego. Jakaś dziwna atmosfera panuje dziś w domu Marion i Jacka... atmosfera, którą można by nazwać atmosferą współwiny.

- Sądzi pani, że wiedzą, iż Laurel stara się ich nabrać?

- Myślę, że coś wiedzą, przynajmniej wie Jack. Nie pierwszy to raz Jack stara

się osłonić Laurel.

- Proszę mi powiedzieć o tych innych razach.

- Uważam, że lepiej będzie, jeżeli nie powiem. Pan tego nie ujrzy w należytych świetle, a nie chcę, aby się pan zwrócił przeciw niej. Może będzie potrzebowała pana pomocy. Może wszyscy będziemy jej potrzebowali.

- Dobrze. Więc jakie jest to należyte światło? Zastanowiła się i odpowiedziała ogólnikowo:

- Kiedy w rodzinie są jakieś kłopoty, najczęściej przejawiają się w poczynaniach najsłabszego jej członka. A inni członkowie rodziny wiedzą o tym. Biorą to pod uwagę i starają się osłaniać i chronić tego, który został zagrożony, bo wiedzą, że sami są w to wmieszani. Czy pan to rozumie?

- Nauczyłem się tego już dawno w mojej pracy. A gdzie ty się tego nauczyłaś, Elizabeth?

- W mojej rodzinie. Tak, mówmy sobie po imieniu.

Rozdział dwunasty

Skręciliśmy w prawo w Seahorse Lane, która opadała stromo ku morzu, a potem znowu zawróciliśmy przy skrzynce na listy pani Lennox. Jej imię i nazwisko były wypisane świeżo namalowanymi literami: SYLWIA LENNOX. Dom przy końcu gęsto obsadzonej cyprysami alejki był parterowy i rozległy jak tynkowany labirynt na skraju morza.

Przez oświetlony dziedziniec wyszedł na nasze spotkanie młody człowiek. Był normalnego wzrostu, ale w tym otoczeniu sprawiał wrażenie karła. Szedł na palcach jak tancerz, gotów każdej chwili skrócić w którąkolwiek stronę. Z jego wilgotnych piwnych oczu przeglądała chęć przypodobania się.

- Jak się pani miewa, pani Somerville?

- Dziękuję, dobrze - odparła tonem, który temu przeczył i zwróciła się do mnie. - To jest Tony Lashman, sekretarz mojej matki.

Uścisnęliśmy sobie dłonie. Tony powiedział Elizabeth, że jej matka czeka na nią w swoim pokoju, i Elizabeth przeprosiła nas.

Z okna frontowego pokoju, do którego Lashman mnie zaprowadził, widziałem plażę i wodę, i oświetloną platformę wiertniczą. Nie wiedziałem, jak bardzo nafta zbliżyła się do brzegu, ale czułem jej woń, która wtargnęła do wnętrza domu.

Młody człowiek pociągnął nosem.

- Paskudztwo.

- A co pani Lennox na to?

- Ona ma co do tego dość ambiwalentne uczucia. - Obrzucił mnie szybkim, byстрыm spojrzeniem, czy zrozumiałem, o co mu chodzi. - Ostatecznie większość życia spędziła jako żona nafcjarza.

- Zna pan starego pana Lennox?

- Szczerze mówiąc, nie. Pracuję u pani Lennox, odkąd postanowiła żyć w separacji. - Przeciągnął palcami po czarnych falistych włosach. - Jestem tu tylko chwilowo. Jesienią wracam na uniwersytet. Albo do szkoły fotograficznej. Jeszcze się nie zdecydowałem. Przyjąłem tę pracę, aby trochę pomóc pani Lennox.

- Podobno mieszka tu jej wnuczka.

- Tak jest, korzystała z domku gościnnego. - Obrócił się twarzą do mnie. - Słyszałem, że gdzieś znikła.

- Tak.

- Wcale się nie dziwię. Nie czuła się tu zbyt szczęśliwa. Ani nigdzie indziej, jeśli o to chodzi. Robiłem, co mogłem, aby ją rozweselić, ale nie na wiele się to zdało.

W jego oczach odzwierciedliło się lekkie współczucie, które zaraz znikło. Gdzieś na ich dnie widać było jakiś niespokojny ruch, bezustanne wirowanie jakby światło migacza na dachu karetki pogotowia.

- W jaki sposób pan ją rozweselał?

- Dużo graliśmy w tenisa... ona całkiem nieźle gra. Prowadziliśmy ze sobą długie, serdeczne rozmowy, rozumie pan? Ona chce coś zrobić ze swoim życiem. Ja jestem taki sam... mam pasję twórczą. My z Laurel mamy wiele ze sobą wspólnego, Ja też mam za sobą nieudane małżeństwo.

- Jej małżeństwo jest nieudane?

- Właściwie nie to chciałem powiedzieć. - Dotknął palcami ust. - Laurel nie miała jeszcze wyrobionego zdania, ale przewidywałem, czym to się może skończyć. Trudno ją sobie wyobrazić jako żonę aptekarza.

- Czemu? - spytałem.

- No, wie pan, dziewczyna o takim uroku, z taką klasą. I na dodatek z takimi pieniędzmi w rodzinie.

Ogarniającym gestem objął cały pokój. Ciężkie, ciemne meble, pozbawione uroku, nie poparły jego zdania. Tak, tu są pieniądze, pomyślałem, ale nie całkowicie zhumanizowane.

- A dużo jest tych pieniędzy w rodzinie?

- Miliony, grube miliony.

Myśl o pieniądzach zdawała się go podniecać. Zastanawiałem się, czy to nie one są jego niezaspokojoną namiętnością. Wątpiłem bowiem, że jest nią Laurel.

Zdał sobie sprawę, że Elizabeth jest w pokoju. Jak przy zmianie oświetlenia, zakłopotanie odmieniło jego twarz czyniąc ją nieomal brzydką. Ale jeśli nawet Elizabeth słyszała, jak mówił o pieniądzach jej rodziny, nie dała tego po sobie poznać.

- Moja matka chciałaby się z tobą zobaczyć - powiedziała do mnie.

Poprowadziła mnie przez całe skrzydło domu do zamkniętych białych drzwi i otworzyła je przede mną. - Oto pan Archer, mamó.

Sylwia Lennox była szczupłą i elegancką i siedziała na łóżku z baldachimem. Na okrągłym nocnym stoliku stał różowy telefon, szklanka wody i leżały dwie czerwone tabletki. Uniosła głowę przybierając świadomie ładną pozę. Jednakże mimo jedwabnego czepeczka i szlafroka oraz tego pokoju, w którym siedziała niby wewnątrz różowej chmurki, wyglądała raczej jak starzejący się chłopak.

- Mój adwokat, Emerson Little, mówi, że pan zna Johna Trattwella.

- Pracowaliśmy kiedyś wspólnie nad pewną sprawą.

- Ma bardzo wysokie mniemanie o panu.

- Miło mi to słyszeć. Cieszę się również, że porozumiała się pani ze swoim adwokatem.

- Tak. Emerson przyjedzie rano poczynić przygotowania. - Zwróciła się do córki: - Czy mogę porozmawiać chwilę z panem Archerem sam na sam?

- Oczywiście, mamó. - Elizabeth czuła się trochę nieswojo w jej obecności.

- Czy mogłabyś nie nazywać mnie mamą, kochanie? Prosiłam cię, żebyś mówiła mi Sylwia.

- Dobrze, Sylwio.

Elizabeth wyszła trzaskając drzwiami nieco mocniej, niż było to konieczne, ale nie dość mocno, aby naruszyć delikatną równowagę pomiędzy nią a jej matką. Pani Lennox skinieniem ręki zaprosiła mnie na krzesło stojące przy łóżku.

- Ogromnie kocham moją córkę - powiedziała bez zapału - ale ona przesadnie podkreśla różnicę pokoleń. Przypuszczam, że kobiety robią się takie, kiedy wychodzą za mąż za starszych od siebie mężczyzn. Kiedy Elizabeth poznała kapitana Somerville'a, był już wtedy dosyć stary, by móc być jej ojcem. W 1944, kiedy się pobierali, dopiero co ukończyła Vassar i miała zaledwie dwadzieścia jeden lat.

Myślała, że to bardzo romantyczne być żoną kapitana Marynarki i mój mąż zgodził się na ten ślub. On myślał oczywiście o przyszłości spółki... ilekroć coś robił, zawsze miał jeszcze jakiś powód, aby to robić. - W jej głosie była cierpkość, która wyźłobiła linie na jej twarzy.

- Ale - dodała nieco za późno - pana nie interesuje nasza historia rodzinna.

- Owszem, interesuje. Pani i pani córka jesteście obie bardzo szczerze.

- Chyba tego jednego zdołałam ją nauczyć. Była tatusiną córką. - Utkwiła we mnie spokojne spojrzenie swych niebieskich doświadczonych oczu. - Co Elizabeth mówiła o mnie?

Postanowiłem dorównać jej szczerością.

- Że pani opuściła swego męża z uzasadnionych przyczyn, że ma pani własne pieniądze. Że pani bardzo lubi Laurel.

- Kocham ją bardziej niż samą siebie. To moja jedyna wnuczka. - Wokół jej oczu utworzyły się cieniutkie zmarszczki, a spojrzenie stało się na wpół trwożne, na wpół zakłopotane. - Mówi pan, jakby się pan interesował moimi pieniędzmi. Niech pan nie traktuje tego jako oskarżenia. Większość ludzi się tym interesuje.

- Ja niespecjalnie. Pieniądze ludzi starszych mogą drogo kosztować.

Podniosła głowę w górę, jakbym ją obraził. Ale uspokoila się wyczytawszy z mojej twarzy, że nie zamierzałem tego uczynić.

- Interesuje się pani pieniędzmi tylko do pewnego stopnia - powiedziałem. - Słyszałem, że składa pani okup za Laurel.

- Tak. Nie stać mnie na to, ale robię to z ochotą. Gdyby Laurel potrzebowała pieniędzy, oddałabym jej wszystko, co posiadam. - Poruszyła chudą ręką w geście, który obejmował dom i wszystko, co się w nim znajduje.

- Jest pani bardzo szczodra.

- Wcale nie. Nie wyrzekłabym się moich dóbr doczesnych dla nikogo oprócz Laurel. Ale gdyby odeszła na zawsze, nie miałabym po co dalej żyć. - Schyliła się ku mnie z ożywieniem. - Elizabeth wspomniała, że pan ją widział dziś wieczorem.

- Tak. - Opowiedziałem jej szybko, co zaszło pomiędzy Laurel a mną. - Nie powinienem był pozwolić jej odejść. Wiedziałem, że potrzebuje pomocy, ale nie chciałem sam przed sobą tego przyznać. Chyba nie byłem gotów tej pomocy udzielić.

Wyciągnęła wąską opaloną dłoń i dotknęła mojego kolana.

- Pan ją też lubi, prawda?

- Lubi to nie jest odpowiednie słowo. Wywarła na mnie głębokie wrażenie i

boję się o nią.

- Jakiego rodzaju wrażenie?

- Że jest smutna i zmartwiona - powiedziałem. - A jednocześnie na swój sposób silna, wartościowa, nawet piękna. Nigdy nie spotkałem dziewczyny, która by się czymś tak bardzo przejmowała. To, co działo się na morzu, bolało ją tak, jakby sama tego doświadczała. Starsza pani kiwnęła głową.

- Świetnie pan to ujął. Ona potrafi tak bardzo się wczuwać, że to graniczy aż z psychozą. Moim zdaniem właśnie ta wylana ropa i fakt, iż jej rodzina jest w to zamieszana, są wszystkiemu winne.

- A czy ona jest naprawdę psychotyczką?

- Kilku lekarzy dopatrzyło się u niej skłonności psychotycznych. Jeden z nich wyraził opinię... to było kilka lat temu, jeszcze nim Laurel wyszła za mąż i właśnie przechodziła szczególnie trudny okres... prawdę mówiąc nawet się bałam, że popełni samobójstwo... - Jej niebieskie oczy rozszerzyły się i napełniły łęką, który był skierowany do wewnątrz, nie ku mnie. Po chwili wróciła do rzeczywistości: - O czym to ja mówiłam?

- Miała mi pani powiedzieć opinię lekarza.

- Ach tak, pamiętam. Otóż jego zdaniem Laurel przeżyła jakiś lęk lub wstrząs we wczesnym dzieciństwie i to pozostawiło trwałe ślady w jej psychice. Nie zdołał dociec, co było źródłem tego wstrząsu... ona sama tego nie pamiętała.

- Czy to był psychiatra?

- Tak. Laurel leczyła się u kilku psychiatrów. Ale przy żadnym z nich nie wytrzymała długo. Może to brzmi dziwnie, gdy chodzi o dziewczynę, która wycierpiała tyle co moja wnuczka i popełniła tak wiele błędów. Ale sądzę, że ona nie chce być inna. Oczywiście miała też w życiu szczęśliwe chwile. Wydawała się całkiem zadowolona z życia w tym tygodniu, który spędziła u mnie.

- Chciałbym zobaczyć jej pokój.

- Proszę bardzo. Elizabeth pokaże go panu. Laurel sypiała w domku gościnnym. Lubiła samotność.

- A co robiła za dnia?

- Dni miała dość wypełnione. Czytała, słuchała muzyki, spacerowała po plaży...

- Sama?

- Tak, o ile mi wiadomo. Grywała trochę w tenisa z Tonym, ale on sam jej nie

interesował, tego jestem pewna. Wciąż jest zakochana w swoim mężu, sama mi to mówiła.

- Więc czemu go porzuciła?

- Powiedziała mi, że ją denerwował. Nie mogła znieść tego życia we dwoje, zwłaszcza w tym ponurym małym domku. Chętnie pomogłabym im kupić inny dom, ale jej mąż nie chciał o tym słyszeć. Jest bardzo przywiązany do tego okropnego domu. Spędził w nim całe życie.

- Jest bardzo niezależny.

- Tak. Sądzę, że to zaleta u mężczyzny.

- A u kobiety nie?

- Nie wiem. Sama zawsze byłam trochę za bardzo niezależna. I na ostatek zostałam samotna. - Trwożne, zakłopotane spojrzenie znowu zwięzło jej oczy. - Zaczynam skarżyć się na swój los, a to znaczy, że już pora spać. Budzę się bardzo wcześnie. Niech pan będzie tak dobry i poda mi moje tabletki nasenne.

- Jedną chwileczkę. Czy Laurel zażywała barbiturany?

- Nie.

- Nigdy?

- O ile mi wiadomo, nie.

- A inne leki?

- Odnosiła się do leków bardzo ostrożnie. Ja ją tego nauczyłam. Nigdy w nie nie wierzyłam. Sama zaczęłam brać Seconal tylko dlatego, że się tak bardzo wcześnie budzę. Budzę się na długo przed świtem, słucham, jak mijają sekundy mojego życia, i zastanawiam się, co mogłabym zrobić dla Laurel. - Poruszyła się niespokojnie. - Teraz przynajmniej mogę coś zrobić.

- Myśli pani o tych pieniądzech.

- Tak. Myślę o pieniądzech. Chciałabym, aby pan przypilnował, żeby Jack zrobił wszystko jak należy. Mój syn ma wiele zalet, ale w krytycznych chwilach za bardzo się podnieca.

- Zauważyłem to.

- Czy pójdzie pan z nim, gdy będzie doręczał te pieniądze?

- Chce pani, abym wziął na siebie nie lada odpowiedzialność, proszę pani.

- Elizabeth mówi, że jest pan człowiekiem odpowiedzialnym.

- Jack może być innego zdania.

- Jutro z nim porozmawiam. Postawię warunek, że pan musi z nim iść. Nie

chcemy żadnych potknięć. Zgadza się pan?

Odparłem, że tak, ale dodałem:

- Tylko zanim cokolwiek zrobimy, musimy zastanowić się nad jednym.

- W związku z Jackiem?

- W związku z Laurel. Mówiono mi, że kiedy miała około piętnastu lat, pojechała z jakimś chłopcem do Las Vegas. Zabrakło im pieniędzy i symulowali porwanie. Podobno wymusili tysiąc dolarów od jej rodziców.

Twarz jej stężała.

- Czy to Jack i Marion powiedzieli panu o tym?

- Nte. Wiem to z innego źródła.

- Nie wierzę.

- Naprawdę, proszę pani.

- Z jakiego źródła?

- To nie jest ważne. Ważna jest możliwość powtórzenia teraz tej samej sztuczki, tylko na większą skalę.

Popatrzyła na mnie z niesmakiem.

- Moja wnuczka nie jest przestępczynią.

- Nie, ale czasem ludzie płatają takie figle rodzinie, jakich nie przyszłoby im do głowy spłatać innym. Zwłaszcza młode kobiety pozostające pod wpływem jakiegoś mężczyzny.

- Jakiego mężczyzny? Nie ma żadnego mężczyzny.

- Wczoraj wieczorem do pani syna dzwonił jakiś mężczyzna i żądał pieniędzy.

Oparła się o poduszki wchłaniając te implikacje. Pod ich wpływem jakby skurczyła się w sobie.

- Ja po prostu w to nie wierzę - powiedziała słabym głosem. - Laurel nigdy by mnie czegoś takiego nie zrobiła.

- Ona nie wie, że pani jest w to wciągnięta.

- Laurel nie zrobiłaby czegoś podobnego również swoim rodzicom.

- Kiedyś zrobiła.

Pani Lennox lekceważąco machnęła ręką.

- Jeżeli to, co pan słyszał, jest prawdą... w co poważnie wątpię. A jeśli nawet to jest prawda, była wówczas bardzo młodą dziewczyną. Od tego czasu zdążyła wyrosnąć i naprawdę lubi swoich rodziców. Przecież jeszcze dziś chodziła ich odwiedzić.

Była zmęczona i urażona, i nagle postarzała. Wstałem, żeby odejść.

Wyciągnęła do mnie rękę.

- Proszę mi podać tabletki, dobrze? I łyżeczek wody. Musi być już strasznie późno, a ja tak wcześnie się budzę.

Podaliśmy jej tabletki na dłoni. Dziobnęła je palcami i umieściła na bladym języku. Piła wodę, jakby to była cykuta.

- Tak czy owak - powiedziała - nie dbam, co zrobiła, chcę tylko, żeby wróciła. Jestem gotowa zapłacić te pieniądze w ciemno.

Rozdział trzynasty

Znalazłem Elizabeth w wielkim frontowym pokoju.

- No i jak ci poszło z matką? - zapytała.

- Dobrze. Odpowiedziała na moje pytania.

- Czy nigdy cię nie męczy to zadawanie pytań?

W jej głosie była lekka uszczypliwość. Zastanawiałem się, czy nie żałuje teraz, że powiedziała mi tak wiele o swoim życiu.

- Jestem zmęczony - odparłem. - Ale wolę zadawać pytania, niż musieć na nie odpowiadać.

Spojrzała na mnie z żywym zaciekawieniem, jakbym nagle ujawnił jakąś słabość.

- Zapamiętam to. A co z jutrem? Powiedziałem, jaki powzięliśmy plan.

- Jack nie będzie chciał, żebyś z nim jechał. Wiesz o tym.

- Może będzie musiał zechcieć - odparłem. - A teraz chciałbym zobaczyć ten domek gościnny, w którym mieszkała Laurel.

Spojrzała na zegarek.

- Jest prawie druga.

- Ale to jedyna pora, jaką dysponuję.

Zapaliła zewnętrzne światło, wyprowadziła mnie przez rozsuwane drzwi na osłoniętą daszkiem ścieżkę wiodącą do domku gościnnego. Owiał nas chłodny wiatr niosący z morza zapach ropy. O kilka kilometrów od brzegu platforma, która znaczyła miejsce wytrysku ropy, jaśniała blaskiem świateł jak choinka.

Domek gościnny był nowy, z płaskim dachem, i stał jednym bokiem na palach nad plażą. Był odpływ i widziałem fale rozpryskujące się bielą na plaży i osuwające się znów w ciemność. Wyglądało na to, że ropa nie sięgnęła jeszcze brzegu.

Gdy weszliśmy, Elizabeth zapaliła światła. Wnętrze domku dzieliło się na

część sypialną i bawialną. Łóżko było nie posłane, zmięte prześcieradła wyglądały bardzo nie zachęcająco. W szafie nad parą starych pantofli wisiał płaszcz i parę sukien. W szufladzie komody leżał sweter, kilka pończoch i rajstopy. Ani tu, ani w łazience nie znalazłem żadnych leków, legalnych czy nielegalnych.

Jedyną osobistą rzeczą, jaką znalazłem, był list włożony między kartki tomiku opowiadań zatytułowanego „Wieczne błędy”. List był napisany na maszynie, na papierze z nadrukiem drogerii „Save More”, i podpisany „Tom”. Stałem pod lampą i przeczytałem go, podczas gdy Elizabeth nie spuszczała ze mnie wzroku.

„Najdroższa Laurel!

Ruch w interesie jest dobry. Przynajmniej mam co robić. Mało mam powodów, żeby wieczorami chcieć wracać do domu, więc zastępuję innych farmaceutów na nocnej zmianie. Wolę pracować w nocy, niż wracać do pustego domu. Dni jeszcze bywają znośne, ale noce bardzo mnie przygnębiają. Kiedy pobraliśmy się i byłaś ze mną, leżałem obok Ciebie w nocy i czułem się najszcześniejszy w świecie. Liczyłem Twoje oddechy i czułem się jak król.

Ale czasami zdawało mi się, że przestawałaś oddychać, i wpadałem w panikę, póki znów nie usłyszałem Twojego oddechu. Twój oddech stawał się dla mnie najważniejszą rzeczą w życiu.

I nadal jest, Laurel. Jeśli nie możesz żyć w tym domu, dobrze, sprzedamy go. Jestem gotów zaraz dziś dać ogłoszenie, powiedz tylko słowo. Przeniesiemy się do wynajętego mieszkania albo kupimy, co zechcesz. Nie musimy mieszkać w Los Angeles, jeśli nie masz ochoty. Przy moich rekomendacjach z «Save More», wszędzie mogę dostać pracę. Chętnie to zrobię, jeśli tylko do mnie wrócisz. Wcale nie musisz mi zaraz odpowiadać, Laurel. Nie śpiesz się. Chcę tylko, żebyś ułożyła sobie życie jak najlepiej. A jeśli uwzględnisz w swoich planach i moją osobę, będę najszcześniejszy w świecie. Znów będę się czuł jak król.

Twój kochający Tom”

Podąłem list Elizabeth. Przeczytała. Kiedy skończyła, miała łzy w oczach. Otarła je nieporadnie palcami i odwróciła się.

- Co się stało?
- Bardzo mi ich żal.
- Sądziłem, że nie bardzo aprobujesz Toma.
- Jako męża Laurel, nie. On jest taki prosty, a Laurel tak skomplikowana.
- To może stanowić dobrą kombinację.

- Wiem, że może. Ale w tym konkretnym wypadku nie stanowi. On myśli, że może ją zwabić z powrotem i zniwelować dzielącą ich przepaść przez przeniesienie się do innego domu lub zmianę miejsca pracy.

- To człowiek pełen dobrej woli - powiedziałem. - Bardziej, niż mi się zdawało. Gdybym miał choć połowę jego dobrej woli, zapewne wytrzymałbym przy swojej żonie.

Zajrzała mi w oczy pogodnym spojrzeniem, które nie pasowało do jej łez. Przeszło mnie na wskroś jak wiązka promieni laserowych analizujących jakiś niezidentyfikowany obiekt. Serce zabiło mi nieco mocniej i zastanawiałem się, czy płacząc nad Tomem nie płakała również nad sobą.

Odwróciła list na drugą stronę.

- Tu jest coś jeszcze na drugiej stronie. To pismo Laurel. Przeczytała głośno: „Jesteś miły i kocham Cię naprawdę. Myślę, że zawsze Cię kochałam. Tylko Ciebie. Wrócę do Ciebie. Kupimy inny dom. Albo mieszkanie, jeśli nas nie stać na dom. I może koniec końców będziemy mieli dziecko. Ale musisz mi dać trochę czasu, Tom. Popadam w te okropne depresje i wtedy w ogóle nie chce mi się żyć na świecie. Nawet z Tobą. Ale staram się je zwalczać”.

Głos Elizabeth załamał się. Oczy znów powilgotniały.

- Nie płakałam już od lat - powiedziała. - Co się ze mną dzieje?

- Zaczynasz być ludzką istotą. Pokręciła szybko głową, jak dziecko.

- Nie śmieję się ze mnie.

- Lepiej śmiać się, niż płakać.

- Nie zawsze. Nie wtedy, kiedy należałoby płakać. Odwróciła się i podeszła do okna. Miała piękne plecy, kiedy tak stała wzruszona. Jej wąska kibić rozkwitała w dobrze rozwinięte biodra, które zwęzły się przechodząc w parę pięknych nóg.

Przed nią, na wodzie, płonęły zimnym blaskiem światła platformy.

- Wygląda jak płonący statek. - Powiedziała to jak dziecko, które widzi coś po raz pierwszy. Później dodała chłodniejszym, dorosłym głosem: - To wciąż powracający temat. Inni palą za sobą mosty. My, w naszej rodzinie, robimy wszystko na większą skalę. Palimy statki i rozlewamy ropę. W najlepszym amerykańskim stylu.

Zaczęła wyzbywać się nastroju, jaki w niej wzbudził list Toma i nie wysłana odpowiedź Laurel. Staiałem tuż za nią, ale nie dotykałem jej.

- Bardzo boleśnie przeżywasz to rozlanie ropy.

- Chyba tak.

- Laurel też to podobnie przeżyła.

- Wiem. - Ale najwyraźniej nie o Laurel chciała mówić.

- To mi kazało ponownie przyjrzeć się własnemu życiu. Wychowano mnie tak, abym wszystko traktowała pod kątem zysku. Nie po prostu finansowego zysku... to nam nie było potrzebne... ale zdobywania punktów, jak w tenisie. Abym miała dobre stopnie w szkole, więcej przyjaciół niż wszyscy inni i tak dalej. Ale to nie daje nic dobrego, jeśli twój zysk jest czyjąś stratą. Albo kiedy zasady gry są inne, niż się myślało.

- Niezupełnie rozumiem.

- Chodzi mi o to, że człowiek myśli, że zyskuje, a naprawdę traci. I właśnie jestem przegrana i wiem o tym od dawna, ale nigdy nie miałam dość odwagi, żeby wyciągnąć z tego konkretne wnioski. Zrezygnowałam z chłopca, którego poznałam w Nowym Jorku i który prawdopodobnie ożeniłby się ze mną, gdybym na niego zaczekała. Ale ten związek nie dawał żadnych punktów... byliśmy tylko zakochani w sobie. Wyszłam za Bena, ponieważ była wojna, a on był kapitanem, który kiedyś miał zostać Głównodowodzącym Floty Pacyfiku. A także dlatego, że ojciec chciał, abym za niego wyszła. Ostatecznie ojciec był nacierzem i właśnie zaopatrywał Flotę w paliwo. Niegdyś takie małżeństwo nazywano dynastycznym, opartym na wzajemnym zysku. Ale ja tylko straciłam.

- Co straciłaś?

- Życie. Trwałam przy Benie, a ono tymczasem mi umknęło. Powinnam go była porzucić w pierwszym roku małżeństwa. Ale wstyd mi było się przyznać, że przegrałam. Bałam się, że ojciec zwróci się przeciwko mnie. A teraz właśnie ojciec się odwrócił i zrobił, co ja powinnam była zrobić.

- A co się stało w tym pierwszym roku waszego małżeństwa? Myślisz o pożarze statku twego męża?

- Częściowo, ale decydująca rzecz zdarzyła się wcześniej. Utraciłam Bena albo dowiedziałam się, że go utraciłam, zanim on utracił statek. W rzeczywistości nigdy do mnie nie należał. W tym samym czasie, kiedy się do mnie zalecał, miał kochankę, i nie zerwał z nią, nawet kiedy się ze mną ożenił. Sądzę, że z męskiego punktu widzenia była to ładna istotka, ale ja byłam nią przerażona. Ona nie potrafiła nawet mówić gramatycznie.

- Znałaś ją?

- Widziałam ją raz. Przyszła mnie odwiedzić w naszym nowym domu w Bel-

Air. Ben był na morzu, a ja w domu sama. Przyszła kiedyś do drzwi ze swoim małym synkiem i powiedziała, że potrzebuje pieniędzy... ot tak, po prostu. Kiedy spytałam, kim jest, wyjaśniła, że dziewczyną Bena. Postawiła sprawę tak rzeczowo, że nie mogłam się na nią gniewać... a w każdym razie nie przy tym małym chłopczyku. Dałam jej trochę pieniędzy i odjechała swoim rozklekotanym samochodem.

Po tym fakcie coś się ze mną stało. Nie mogłam już mieszkać w tym domu. Chciałam go spalić. Któregoś wieczoru przyniosłam kanister benzyny do gabinetu Bena. Chciałam spryskać benzyną podłogę, meble i książki Bena i podpalić. Powstrzymałam się od tego w ostatniej chwili.

Ale stwierdziłam, że nie mogę tam dłużej mieszkać. Zamieszkałam u rodziców i wynajęłam dom Jackowi i Marion. Jack właśnie ukończył Szkołę Łączności we wschodniej części Stanów i czekał na Zachodnim Wybrzeżu na statek Bena. Wszystko wtedy działo się tak szybko... Statek zawinął do portu Long Beach po kilku tygodniach, postął noc czy dwie i znów wyszedł w morze, tym razem z moim mężem i bratem na pokładzie. A potem na statku wybuchł pożar, gdzieś koło Okinawy, i taki był koniec kariery Bena we Flocie. Nie wiem, czy minął miesiąc od chwili, kiedy przyniosłam kanister z benzyną do gabinetu Bena, do chwili wybuchu pożaru na statku. Dopatrywałam się jakiegoś związku pomiędzy tymi dwoma zdarzeniami.

- Czy wyobrażałaś sobie, że to ty podpaliłaś statek?

- Niezupełnie - odparła. - Ale coś w tym rodzaju. Od czasu, kiedy ta kobieta przyszła do mnie z synkiem, musiałam chyba być trochę zbzikowana. Uważałam, że taki chłopczyk jest nieślubnym synem Bena, chociaż mówiła, że tak nie jest.

Patrzyła na oświetloną platformę wiertniczą, jakby zimny blask jej świateł odzwierciedlony w zanieczyszczonym morzu symbolizował sens jej życia.

Cofnęła się i dotknęła mnie plecami, a potem zastygła w bezruchu, jakby przestraszona. Objąłem ją.

- Nie rób tego - szepnęła nagle.

- Czemu? To lepsze od palenia statków i rozlewania ropy. Albo podpalania domów.

Rozdział czternasty

Śniło mi się, że śpię z Laurel, i obudziłem się z poczuciem winy i spocony w jej łóżku. W oknie był świt i Beth. Wychylone w chłodny morski ranek jej nagie ciało wyglądało jak figura dziobowa okrętu.

Odrzuciłem koc, którym mnie nakryła. Odwróciła się spłoszona, z rozkołysanymi piersiami.

- Tam jest jakiś człowiek.

- Co robi?

- Unosi się na wodzie.

Zawiązałem sobie ręcznik kąpielowy wokół bioder i wyszedłem. Człowiek leżał z rozpostartymi ramionami na powierzchni wody tuż za linią, gdzie załamywały się fale. Leżał twarzą w dół, jakby badał dno, i poruszał się bezwładnie zgodnie z ruchem fal. Wszedłem w wodę. Fale jak płynny ból objęły moje ciało. Woda była przejmująco zimna i zabarwiona na brązowo. Dalej od brzegu ropa leżała na powierzchni jak krostowata pofałdowana skóra.

Popłynąłem trzymając twarz nad wodą. Kiedy zbliżyłem się do topielca, zdawało mi się, że wpłynąłem w obszar szczególnego zimna. Spróbowałem chwycić go za włosy, ale dłoń zsunęła mi się z jego czaszki. Głowę miał czarną od ropy i niemal bezwłosą.

Mocno pracując nogami chwyciłem go za ramiona i obróciłem na plecy. Jedna z rąk zwisała jak złamane skrzydło. Twarz miał zmasakrowaną... nie wiedziałem jak bardzo, bo była czarna od ropy.

Wziąłem go za kołnierz koszuli i pohołowałem do brzegu. Nad nami załamała się fala i wessała go wyrywając mi jego kołnierz z ręki. Zanurzył się w brązowy surf, obrócił się uderzając w piach i zaczął się toczyć i toczyć.

Beth czekała na niego tuż za najdalszą linią zasięgu fal w pełni ubrana, tylko bosa. Podbiegła i przytrzymała topielca, póki się nie zbliżyłem. Wzięliśmy go oboje za ręce i wyciągnęli na suchy piasek plaży, jak gdyby woda albo ropa mogły mu jeszcze bardziej zniszczyć znoszone tweedowe ubranie.

Wytarłem mu twarz rogiem swojego ręcznika. Była bardzo rozbita, jeden oczodół był całkiem wgnieciony. Z boku twarzy i na czaszce miał ślady jakby od oparzeń. Ale te blizny nie były świeże.

- Jak myślisz, co mu się mogło stać? - spytała Beth. - Czy to możliwe, że spadł z platformy wiertniczej?

- Możliwe. Ale platforma jest daleko stąd... pięć do siedmiu kilometrów. Nie sądzę, aby był w wodzie aż tak długo. I nie jest w roboczym ubraniu. Może wypadł za burtę albo przypiływ zaskoczył go na plaży i fale rzuciły o skały. Wygląda na pogruchotanego.

W chwili, gdy to mówiłem, przypomniałem sobie, że widziałem go żywego. To ten sam łysy człowieczek, którego widziałem z młodszym towarzyszem w restauracji Blanche na nabrzeżu.

- Znasz go, Beth?

Schyliła się, żeby się przyjrzeć.

- Nie. Nigdy dotąd go nie widziałam. On nie ma z nami nic wspólnego.

Wyprostowała się i odwróciła. Z domu wyszła jej matka i zaczęła schodzić po schodkach na plażę.

- Proszę cię, nie nazywaj mnie Beth przy matce. Nikt nie nazywa mnie Beth - powiedziała półgłosem.

- Dobrze, Liz.

- Ani tak. Bardzo cię proszę. Jeżeli w ogóle musisz mnie jakoś nazywać, to mów pani Somerville.

Sylwia podeszła do nas otulona grubym wełnianym szlafrokiem, który sprawiał, że wyglądała bepcłciowo i jak mnich.

- A skąd ten się tu wziął?

- Pan Archer był w domku gościnnym. Zobaczył tego człowieka w wodzie, więc popłynął i wyciągnął go na brzeg.

Sylwia spojrzała na mnie, w jej jasnych oczach w pomarszczonej chłopięcej twarzy kryła się niepewność.

- Co według pana powinniśmy teraz uczynić?

- Najlepiej wezwijmy policję - poradziłem.

- Wolalabym tego nie robić, chyba że będziemy wiedzieli, kto to jest i w jaki sposób zginął. Wie pan, jak prasa i reporterzy to rozdmuchają. Niech pan popatrzy, ile wrzawy narobili wokół kilku zdechłych ptaków.

Schyliła się z rękami opartymi o kolana i spojrzała na pogruchotane zwłoki jak na zwiastuna własnej śmierci. Podniosła wzrok z obrazem śmierci w oczach.

- Spójrzcie. On ma ropę w nozdrzach, ropę w ustach. To wystarczy, żeby nas zniszczyli.

- Nie możemy go tak po prostu zostawić - powiedziałem.

- Nie. Zabierzemy go stąd, do domku gościnnego.

- Wtedy dopiero zaczną się kłopoty. To nie jest dobry pomysł, proszę pani.

Spojrzała na mnie ostro.

- Nie pytam pana o zdanie.

- Ale ja je wypowiadam. Niech pan zadzwoni na policję.

- Zróbmy to, mamó. Jeśli chcesz, to ja zadzwonię. Poszły obie w stronę domu, starsza powłócząc nogami po piasku. Na plaży wiał świeży poranny wiatr i trzęsłem się, że aż mi migąło przed oczyma. Mokry ręcznik wisiał jak zimny ołowiany fartuch wokół moich bioder. Miałem czerwony jak rak tułów, rybio sine kończyny i nie mogłem zbyt jasno myśleć.

Przeszukałem ubranie zmarłego. Kieszenie tweedowego ubrania były puste. Ale w prawej wewnętrznej kieszeni marynarki znalazłem etykietkę krawca, który szył to ubranie:

USZYTE DLA RALPHA P. MUNGANA JOSEPH SPERLING SANTA MONICA, KALIFORNIA GRUDZ. 1955

Z domu wyszedł Tony Lashman i zbliżał się po pochylej plaży. Był całkowicie ubrany, ale włosy miał nieuczesane i mrugał w porannym blasku powiekami.

Na widok trupa przestał mrugać. Zafascynowany schylił się nad nim i przyjrzał się rozbitej twarzy.

- Zna go pan? - spytałem.

Lashman wydawał się zdumiony moim pytaniem. Wyprostował się, jakbym go przyłapał w kompromitującej pozie.

- Nie, nigdy przedtem go nie widziałem. Kto to jest?

- Nie wiem. Właśnie go wyciągnąłem z wody.

- Co się stało z jego twarzą? - Mówiąc to dotknął własnej, jakby podejrzewał, że mogło się to przytrafić jemu samemu.

- Może go ktoś uderzył tępym narzędziem. A może fala rzuciła o skały.

- Myśli pan, że został zamordowany?

- Bardzo możliwe. Jest pan pewien, że go pan nigdy nie widział?

- Najzupełniej.

Cofnął się od trupa, jakby śmierć była zaraźliwą chorobą. Ale zatrzymał się nie opodal i po krótkiej chwili znów zaczął mówić:

- Pan jest prywatnym detektywem, prawda?

- To mój zawód.

- Dużo pan zarabia?

- Sto dolarów dziennie plus koszty. Dlaczego? Czy pani Lennox chce wiedzieć?

- Pytam z własnej ciekawości. Czasem myślę, czy nie zająć się samemu pracą detektywa. Ale myślałem, że w tym są większe pieniądze.

- Są. Dla nielicznych, ale to nie jest sposób na szybkie wzbogacenie się, jeżeli o to panu chodzi. Ponadto trzeba mieć pewne zaplecze.

- Jakiego rodzaju zaplecze?

- Większość prywatnych detektywów to dawni policjanci. Ja sam byłem w policji w Long Beach.

- Aha. - Spojrzał na mnie ze zniechęceniem i wrócił do domu.

Zostałem przy zwłokach, póki nie przyjechała policja. Powiedziałem, że widziałem denata, kiedy jeszcze żył, w restauracji Blanche, ale nie wspominałem o etykiecie krawca w kieszeni ubrania. Niech ją sobie sami znajdą.

Wróciłem do pokoju gościnnego i wziąłem gorący prysznic. Kąpiel nie uwolniła mnie jednak od zapachu ropy ani chłodu, jaki zmarły we mnie pozostawił.

Miałem niejedną powód, aby traktować jego śmierć osobiście. Po pierwsze, sam wyciągnąłem go z wody, a po drugie, był on związany z młodym człowiekiem w golfie, który wystraszył Laurel z plaży.

Rozdział piętnasty

Przed wjazdem na autostradę do Santa Monica zatrzymałem się przy przystani. Plastikowa bariera, zamykająca wejście do przystani, złamała się w nocy. Poranny przypływ przyniósł z sobą ropę, która pokryła powierzchnię wód przystani, kładąc się czarną warstwą na kadłubach jachtów stojących na kotwicy i obryzgując skały i mury okalające przystań. Tego czarnego widoku nie rozweselała obecność kilku białych mew z powalnymi ropą nóżkami.

Przyjechałem zbyt wcześnie i frontowe drzwi restauracji Blanche były zamknięte. Skądś z głębi dochodził rumor, który w moich świeżo uczulonych uszach brzmiał, jakby ktoś chciał zatłuc kogoś drugiego na śmierć.

Okazało się, że to człowiek w kuchni tłucze drewnianym młotkiem ślimaki abalone. Zapytałem go przez drzwi siatkowe, czy jest Blanche.

- Blanche nigdy nie przychodzi tak wcześnie. Najczęściej zjawia się o dziesiątej.

- A gdzie mieszka? Wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem? Robi z tego tajemnicę. Numeru telefonu też nie daje. Czy to coś ważnego?

Nie wiedziałem. Z miejsca, w którym poprzedniego dnia siedziałem, zdawało

mi się, że młody mężczyzna towarzyszący starszemu, w tweedowym ubraniu, zapytał o coś Blanche, na co ona wskazała w dół wybrzeża, na południe. Niewykluczone więc, że mogłaby mi powiedzieć, dokąd się udali.

Podziękowałem i wróciłem do samochodu. Na parkingu restauracji zatrzymały się dwa auta i wysiadło z nich kilku ludzi. Byli w garniturach i kaskach ochronnych i wyglądali jak inżynierowie albo pracownicy reklamy udający inżynierów.

Jednym z nich był kapitan Somerville. Twarz miał ściągniętą i znekana. Uniosłem rękę w geście pozdrowienia, ale nie dostrzegł mnie nawet. Kapitan i jego świta przeszli obok restauracji do rampy, gdzie z ciężarówki wyładowywano jakieś wielkie bębny.

W drodze do Santa Monica wysłuchałem porannych wiadomości i dowiedziałem się, że Lennox i ska sprowadza specjalistów od studni wiertniczych z Houston i przystępuje do zatrzymania wylewu. Wyłączyłem radio i napawałem się ciszą zakłócaną tylko szumem silnika i innych samochodów.

Ruch był jeszcze miewi elki, a dzień dość pogodny, by móc widzieć góry wznoszące się na wschodzie niby krańce jakiejś nie odkrytej krainy. Pogрузyłem się na chwilę w zwykle dla mnie na autostradzie marzenia: że jestem wolny i nieskrępowany, dość młody, by móc wyruszyć tam, gdzie jeszcze nigdy nie byłem, i dość zdolny, aby zacząć robić coś nowego, kiedy tam się znajdę.

Moje marzenia rozwiały się, gdy dojechałem do Santa Monica. Oto znalazłem się w jeszcze jednej części tego megalopolis, które ciągnie się od San Diego do Ventury, i stałem się znów mieszkańcem nie kończącego się miasta.

Znalazłem pracownię Josepha Sperlinga w bocznej ulicy od Lincoln Boulevard. Pamiętałem ją jako miłą uliczkę pełną sklepów, ale teraz czas i ruch samochodowy dały się jej we znaki. Biura handlu nieruchomościami obok pracowni krawieckiej świeciły pustką, a fotografie nie sprzedanych domów porastały kurzem w oknie wystawowym.

Drzwi pracowni Sperlinga były zamknięte. Ruchoma wskazówka tekturowego zegara za szybą wierciła, że właściciel otwiera pracownię o ósmej. Było kilka minut przed ósmą. Zamknąłem samochód i poszedłem do restauracji za rogiem na śniadanie. Po drugiej filiżance kawy wreszcie rozgrzałem się i przestałem się trząść.

Tym razem, kiedy wróciłem do pracowni, już zastałem Josepha Sperlinga. Był to drobny, łagodny mężczyzna o siwych kręjących się włosach i jasnych oczach za okularami bez oprawy. Patrzył na mnie, jakby oceniał moje wymiary i dobierał krój.

- Czym mogę panu służyć?
- Zna pan Ralpa P. Mungana?

Jego oczy rozszerzyły się jakby rejestrując zmartwienie, a później się zwężyły, jakby w obronie przed nim.

- Znałem go kiedyś dosyć dobrze. Czy Ralph wpadł w jakieś tarapaty?
- Najgorsze, jakie można.

Oparł się o leżącą na stole sztukę materiału.

- Co to znaczy, najgorsze, jakie można?
- Nie żyje.

- Och, jak mi przykro.

- Był pan z nim w bliskich stosunkach? Pod wpływem wstrząsu zaczął wspominać.

- Dawno już nie jesteśmy z sobą blisko... to znaczy naprawdę blisko. Ale znałem Ralpa we Fresno, skąd obaj pochodzimy. Byłem o kilka lat starszy od Ralpa i Marthy, i przyjechałem tu, do wielkiego miasta, wcześniej. Nim oni się tu przenieśli, byłem właścicielem i tego budynku, i sąsiedniego, i wynająłem go im. - Trochę jakby się bał, że mogę mu nie uwierzyć.

- Dawno to było?

- Dawno, dawno. Oni tu przyjechali ponad dwadzieścia lat temu. A wyjechali blisko dziesięć. A co takiego się z nim stało?

- Utonął w morzu koło Pacific Point. Twarz Sperlinga zbladła.

- Pan jest z policji?

- Jestem prywatnym detektywem.

- Czy to było samobójstwo?

- Wątpię. A Ralph zdaniem pana miał skłonności samobójcze?

- Mówił o samobójstwie czasami, zwłaszcza jak sobie popił. Był gorzko rozczarowany życiem... nie wychodziło mu tak, jak pragnął. Nie chcę obrażać pamięci zmarłego, ale Ralph pił bardzo dużo. Oboje, on i jego żona Martha, pili i bili się, bili się i pili. Czasami, kiedy szłem w pracowni tam w głębi - machnął ręką w stronę przegradzającej pomieszczenie zielonej zasłony - słyszałem ich przez dwie ściany.

- Chciałbym porozmawiać z jego żoną. Widział ją pan ostatnio?

- Nie... Nie widziałem obojga od lat. W każdym razie słyszałem, że poszli własnymi drogami.

- Rozwiedli się?

- Tak słyszałem. Ale wszystko jedno Marthę trzeba zawiadomić. Wolałbym, żeby to pan zrobił, nie ja. A może ona już wie?

- Wątpię. To się zdarzyło tej nocy albo wczesnym rankiem. Sam go wyciągnąłem z wody.

Spojrzał na mnie ze współczuciem.

- Właśnie zauważyłem, że jest pan trochę sinawy. Czemu pan nie siada? Poszukam, może znajdę panu jej numer.

Przysunął mi krzesło i wyszedł. Opadła za nim zielona zasłona. Usiadłem i słuchałem szumu, warkotu, jęku i ryku dochodzącego z bulwaru.

Po chwili Sperling wrócił z notesem w dłoni. Wyrwał kartkę i podał mi.

- W książce telefonicznej nie ma ani Marthy, ani Ralpa. Ale wziąłem jego telefon i adres od naszego wspólnego przyjaciela, który zajmuje się handlem nieruchomościami. Ralph mieszka teraz w Beverly Hills... to znaczy mieszkał. Wygląda na to, że w końcu się dorobił.

Wątpiłem w to. Ten drobny, łysy, stary mężczyzna wyglądał w restauracji Blanche, jakby nigdy nigdzie do niczego nie doszedł. Ale w adresie wypisanym na karteczce widniała ulica Botlebrush Drive, zamożna ulica w bardzo zamożnym mieście.

- Myślę, że mógłby pan tam zadzwonić - powiedział Sperling. - Może tam jest ktoś, kto powinien o tym wiedzieć. A może Ralph się ponownie ożenił. Jedni z nas to robią, inni nie. Ale Ralph to człowiek, który był do tego zdolny, jeśli pan chce wiedzieć, jakie jest moje zdanie.

Mimo to wahałem się, czy zadzwonić. Miałem uczucie, że popełniłem jakiś błąd albo mogę popełnić.

- Czy może mi pan powiedzieć coś więcej o Ralphie?

- Ale o co panu chodzi?

- No, szył mu pan ubranie w roku 1955.

- To prawda, szyłem. Jego nie było stać na to, ale dałem mu ten garnitur po cenie kosztów na prezent urodzinowy. - Umilkł, a jego wrażliwe oczy zarejestrowały wszystkie implikacje tego, co powiedział. - Czy miał na sobie mój garnitur, kiedy go pan znalazł?

- Tak, miał.

- To musiał stracić na wadze. Ostatni raz, kiedy go widziałem, był w pasie

dużo za gruby, żeby móc się wcisnąć w to ubranie. Żartowaliśmy sobie wtedy z tego. Był za gruby, żeby mu to mogło wyjść na zdrowie, ale ciągle jeszcze przystojny.

- Przystojny?

- Zawsze tak uważałem. Tak samo moja żona, kiedy żyła.

- A skąd miał te oparzenia na twarzy i głowie?

- Oparzenia?

- Tak. Był poważnie zeszpecony.

- To się musiało stać już po naszym ostatnim spotkaniu.

- A kiedy spotkaliście się ostatni raz?

- Co najmniej dwa lata temu, a bardziej prawdopodobne trzy. Natknąłem się na niego na Century Plaża. Śpieszył się i nie spędziliśmy z sobą wiele czasu. Ale na pewno nie miał śladów po oparzeniach na głowie. Właśnie zwróciłem uwagę, jakie ma wciąż ładne włosy.

- Może mi pan go opisać, panie Sperling?

- No, więc był w średnim wieku, około pięćdziesiątki, ze skłonnością do tycia, ale zawsze zwinny i ruchliwy. I zawsze wesoły, chyba że się spił i był przygnębiony.

- Patrzył poza mnie, na blask padający przez frontowe okno. - Aż trudno mi uwierzyć, że Ralph nie żyje.

Ja sam w to nie wierzyłem. Było jasne, że zaszła pomyłka. Poprosiłem Sperlinga, żeby pozwolił mi skorzystać ze swego telefonu. Zaprowadził mnie do pokoju w głębi, gdzie na manekinach, jak części sztucznych ludzi, wisiały garnitury w różnych stadiach szycia, a następnie wycofał się dyskretnie, kiedy wykręcałem numer telefonu w Beverly Hills.

Odpowiedział mi spokojny kobiecy głos:

- Mieszkanie państwa Mungan.

- Czy mogę mówić z panem Mungan?

- A kto dzwoni?

Podałem jej swoje nazwisko i zawód. Po jakiejś minucie czekania podszedł do telefonu.

- Mówi Ralph Mungan. Gospodyni mojej żony twierdzi, że jest pan detektywem.

- Prywatnym detektywem współpracującym z policją okręgu Orange. Dzisiaj rano koło Pacific Point przypląw wyrzucił na brzeg ciało mężczyzny.

- Jakiego mężczyzny?

- W tweedowym ubraniu z naszytym pana nazwiskiem. Mungan milczał przez chwilę.

- To mi się nie podoba. Czuję się, jakby koło mnie przeszła śmierć. Jak to się mogło stać?

- Nie wiem. Chciałbym przyjechać i porozmawiać o tym z panem.

- Czemu? Czy to ktoś z moich znajomych?

- Możliwe. W każdym bądź razie chciałbym, aby mi pan pomógł ustalić jego tożsamość. Mogę przyjechać? Nie zabiorę panu dużo czasu.

Niechętnie, ale się zgodził. Pozostawiłem Sperlinga z nieco pogodniejszą miną.

Rozdział szesnasty

Ralph Mungan mieszkał w ładnym hiszpańskim domu datującym się z czasów przedwojennych. Trawnik od frontu był gładki i zielony. Na krzewach ognika siedziały jemioluski niby beżowo-żółte ozdoby umocowane wśród szkarłatnych jagód, które jadły.

Zapukałem do drzwi i czekałem. Widziałem ze swego miejsca wieżę ratusza rysującą się z feudalnym majestatem na tle nieba.

Drzwi otworzył Mungan z żoną depczącą mu po piętach. Jego piękne ciemne włosy zaczynały siwieć. Był niski i tęgi - tak tęgi, że trudno go było sobie wyobrazić w garniturze, który miał na sobie topielec.

Pani Mungan miała twarz jak kość słoniową, gładką i twardą, i czarne loki, które zapewne nie były jej własne. Figura pod różowym szlafrocikiem też nie wydawała się w całości jej własna... Mimo albo właśnie z powodu tych sztuczności wyglądała o kilka lat starszej od męża. Ale oczy miała bystre i zaciekawione. Zaprowadziła nas do salonu, gdzie usiedliśmy wszyscy troje w równej od siebie odległości na sztywnych krzesłach.

Czułem napięcie, które jak mocno naciągnięte druty przebiegało przez pokój. Mungan, mimo że siedział nieruchomo, sprawiał wrażenie, jakby się wił.

- No więc - zagadnęła mnie pani Mungan - co się stało?

Opowiedziałem im o człowieku w wodzie. Pochyliła się ku mnie odsłaniając część gorsetu.

- I zdaniem pana człowiek ten miał na sobie ubranie Ralph'a?

- To nie moje ubranie - powiedział Ralph. - To jakaś pomyłka. Nigdy nie miałem takiego ubrania i nigdy nie znałem tego człowieka.

- Sperling, krawiec, mówi, że je panu uszył.

Twarz mu nabrzmiała i pociemniała jak dojrzewająca śliwka. Żona spojrzała na niego, uśmiechnęła się raczej z przymusem i powiedziała z fałszywą żarliwością:

- Cóż to za ciemne tajemnicze sprawki ukrywasz przede mną, kochanie?

Mungan nie odpowiedział od razu. Spoglądał nieobecny wzrokiem w głąb tunelu przeszłości. Zdobył się na niemal nadludzki wysiłek, i odpowiedział z równie wymuszonym uśmiechem:

- Więc dobrze, przyznam się. Sam go zamordowałem. Jesteś teraz zadowolona?

- A jaki był motyw twojej zbrodni, kochanie?

- Zazdrość - odparł Mungan. - Cóż by innego? Groził, że mi cię odbierze, więc wziąłem i utopiłem go w oceanie.

Pani Mungan zaśmiała się sztucznie, ale odpowiedź męża jej nie zadowoliła. Obrzuciła go szybkim urażonym spojrzeniem, jakby wyraził życzenie, aby ktoś mu ją zabrał albo utopił.

- Nie możemy chyba teraz jechać do Palm Springs - powiedziała - kiedy to spadło ci na głowę, prawda, Ralph?

- Nic mi nie spadło na głowę. Ja tylko żartowałem. - Uśmiechnął się szerokim, bezzębnym, bezradosnym uśmiechem. - Ja chcę jechać. Jestem umówiony na golfa i mam tam interesy.

- Jakie interesy?

- Nie zapominaj, że otrzymaliśmy ofertę na ten dom w Palm Springs.

- Postanowiłam, że go nie sprzedam. Nie mam ochoty tam jechać. Jedź sobie sam.

- Tego nie zrobię - odparł. - To byłaby wątpliwa przyjemność.

- Ja bym na twoim miejscu pojechała. Czasami myślę, że za dużo przebywamy z sobą.

Wydawało się, że przeraziła go ta myśl, jakby mu nagle zaproponowała rozwód.

- Dobrze, zrezygnujemy z wyjazdu do Palm Springs. Mogę odwołać te spotkania. A co do tego domu, jego cena musi pójść w górę.

- To wcale nie znaczy, że nie możesz pojechać do Palm Springs. Jedź sobie. Nie krępuj się moją osobą.

- Nie chcę jechać. Czuję się samotny. Tęskniłbym za tobą.

Spojrzał na nią z tęsknotą, która nie spelzła z jego twarzy, gdy się odwrócił w moją stronę. Ale nie tęsknił ani za nią, ani za mną.

Zaczynałem się niecierpliwić.

- Nie miał pan biura handlu nieruchomościami w Santa Monica?

- Tak, ale ja tylko dzierżawiłem ten budynek.

- I Joseph Sperling miał w sąsiednim domu pracownię krawiecką?

- Taa, pamiętam starego Joe. - Przybrał odpowiedni do wspomnień wyraz twarzy, oczy mu się rozszerzyły i rozbłysły fałszywą przyjemnością. - Rzeczywiście, przypominam sobie, że kiedyś szył mi ubranie. To było gdzieś w latach pięćdziesiątych.

- Szare, tweedowe ubranie?

- Właśnie.

- Co się z nim stało?

- Przykro mi, ale nie mam zielonego pojęcia. Chyba oddałem do Armii Zbawienia.

Nie wierzyłem mu. Nie wierzyła mu też żona. Spytała go pogodnie:

- Jesteś więc pewien, że nie utopiłeś tego człowieka?

- W jaki sposób? Przecież byłem z tobą w łóżku.

Jej oczy zwęziły się, jakby spotkała się z nową obrazą lub groźbą. Nie było to szczęśliwe stadło, nawet w oczach człowieka tak obcego jak ja.

Wstałem.

- Jeśli przypomni sobie pan coś więcej, proszę mnie zawiadomić. Zostawię panu numer telefonu.

- Dobrze.

Podąłem Munganowi numer mojego biura kontaktowego. Zapisał sobie. Potem odprowadził mnie aż za drzwi. Gdy drzwi się zamknęły, obejrzał się za siebie i poszedł ze mną dalej mówiąc zmienionym, cichym, niespokojnym głosem:

- Pamiętam jeszcze coś. Nie wiem, czy powinienem to panu mówić. To znaczy chciałbym, aby pan obiecał, że to nie dojdzie do mojej żony.

- Nie mogę tego obiecać. Nie wiem, co to takiego.

- Stawia mnie pan w ciężkiej sytuacji.

- Bardzo mi przykro, ale to nie ja. Niedługo zjawi się tu policja. A jeśli pan sobie wyobraza, że uniknie rozgłosu, jeśli będzie ukrywał dowody, to z całą pewnością pana fotografia dostanie się do gazet.

Mungan ukrył twarz w dłoniach i spojrzał na mnie spomiędzy palców.

- Niech pan tego nie mówi. To by zniszczyło moje małżeństwo.

- Jeżeli małżeństwo jest dla pana takie ważne, to niech się pan lepiej dogada z żoną i ze mną.

Kiwnął głową ociężale.

- Taa. Ja wiem - rzekł nie podnosząc głowy. - Ale czasami to nie takie łatwe.

- Czy ma pan coś wspólnego ze śmiercią tego człowieka?

- Nie. Skądże. Za kogo mnie pan bierze.

- Powiem, jak będę więcej wiedział o panu - odparłem. Opuścił ręce rozkładając je szeroko. Był pośrednikiem sprzedaży nieruchomości, eks-pośrednikiem, który nie mógł znieść braku sympatii.

- Niech pan posłucha - rzekł. - Przejdźmy się kawałek, dobrze? Nie wiem, co potem powiem Ethel, ale postaram się coś wymyślić.

- Czemu nie powie jej pan prawdy?

- Nie mogę. Rozumie pan, jest w moim życiu coś, o czym Ethel nie wie.

- Czy nie najwyższa pora, aby się dowiedziała? Odwrócił się przy otwartych drzwiczkach samochodu i spojrzał na mnie, jakbym mu zaproponował, że wrzucę go w szyb windy. - Nie! To niemożliwe.

- To niech pan wsiada i pozwoli dowiedzieć się mnie. Wsiadł, a ja zatrzasnąłem za nim drzwi. Objechaliśmy kawał miasta, zanim zaczął mówić:

- Byłem już raz żonaty. Ethel o tym nie wie.

- Ale ja wiem. Nazywała się Martha. Spojrzał na mnie z nieszczęśliwą miną.

- Czy ktoś pana zaangażował do zajęcia się moimi sprawami?

- Ktoś to zrobi, jeśli pan będzie dalej tak postępował.

- To brzmi jak groźba.

- Raczej jak przepowiednia.

Zatrzymałem samochód przed domem z mansardowym dachem, gdzie na podjeździe stał stary czarny Rolls.

- Niech mi pan powie, co pana pierwsza żona ma wspólnego z tym człowiekiem, którego wyciągnąłem z morza?

- Nie wiem. Może ona to panu powie. Jestem pewien, że kiedy ją opuściłem, zostawiłem to ubranie w domu.

- Kiedy to było?

- Zaraz... w przyszłym miesiącu będzie cztery lata.

- A gdzie pana eks-małżonka teraz mieszka?

- Ostatnio administrowała domem czynszowym w Hollywood. Dom się nazywa Excalibur Arms.

Wiedziałem, gdzie to jest.

- Tylko niech pan nie wspomina o mnie, dobrze? - poprosił Mungan.

- Czemu to jest takie ważne?

- Bo ja tak mówię. Idę panu na rękę. Więc pan powinien iść na rękę mnie.

- To nie będzie łatwe. Choćbym nie wiadomo co robił, na tym ubraniu jest pana nazwisko. Znajdzie je policja, jeżeli już nie znalazła. I wkrótce zastuka do pana drzwi.

Osunął się na siedzeniu, jak trafiony kulą.

- Jestem w sytuacji bez wyjścia.

- Bo już raz był pan żonaty? To częste zjawisko.

- Pan nie zna Ethel. Potrafi być bardzo mściwa. Martie też. Jeśli te dwie się dogadają, będę skończony.

- W tym musi być coś więcej.

- Taa. Jest. - Rozejrzał się trwożnie po ulicy. - Wcale bym się nie dziwił, gdyby Martie mi to zrobiła. Nigdy mi nie wybaczyła, że ją porzuciłem, wiem doskonale.

- Chce pan powiedzieć, że ona zabiła człowieka i ubrała go w pana ubranie, żeby odegrać się na panu?

- Nie. - Sprawiał potulne wrażenie. - Chyba nawet Martie nie byłoby na to stać.

- Więc co się za tym wszystkim kryje, Mungan?

- Nic się nie kryje.

- Wiem, że tak. Co to?

Odpowiedział na pytanie, którego nie zadałem, wysokim pełnym przejęcia głosem, jakiego dotąd u niego nie słyszałem:

- Człowiek powinien mieć prawo zmienić żonę i nie cierpieć piekła przez resztę życia. Miałem wszelkie powody, żeby porzucić Martie. Pod koniec prawie nigdy już nie trzeźwiała. Ja też popadłem w alkoholizm, przyznaję. Ale chciałem przestać pić, skończyć z takim życiem.

I spotkałeś starszą kobietę z pieniędzmi.

Zupełnie jakby słysząc moją myśl Mungan ciągnął dalej:

- Człowiek ma prawo spróbować zacząć od nowa. Dowiodłem tego rzucając picie. A Ethel mi pomogła. Są między nami sprzeczki jak w wielu małżeństwach. Ale Ethel była dla mnie dobra. Skierowała mnie na nowe drogi. - Brzmiało to jak cytat, być może nawet słowa Ethel. - A teraz pan mnie chce wciągnąć z powrotem w to bagno.

Jedyne, czego teraz pragnąłem, to odczepić się od niego. Jeżeli nawet rzucił picie, pozostały mu pijackie uczucia, przez które przewijało się tremolo litości nad sobą.

Włączyłem silnik. Mungan przyjął to jako odprawę i zaczął szukać sposobu, żeby mnie zatrzymać.

- Jest jeszcze coś, czego nie powiedziałem.

- Więc niech pan powie. - Przyspieszyłem nieco obroty silnika.

- Mam z Martie meksykański rozwód. Nie jestem całkowicie pewien, czy ten rozwód jest legalny.

- Chce pan powiedzieć, że pan doskonale wie, że nie jest legalny?

- Właśnie. Dałem adwokatowi w Tihuanie dwieście pięćdziesiąt dolarów, ale później dowiedziałem się, że rozwód nie został przeprowadzony. Byłem już wtedy mężem Ethel.

- W pewnym sensie.

- Taa, w pewnym sensie. Ale Ethel nie spuszcza mnie z oka i mam związane ręce. Więc teraz wie pan, w jakich jestem tarapatach. O jedno tylko proszę, niechaj pan nie mówi Martie, gdzie i z kim mieszkam. Występowałem o rozwód w dobrej wierze. Skąd mogłem wiedzieć, że ten adwokat z Tihuany to oszust? A nam z Ethel dał ślub pastor w Las Vegas. Więc jedno, czego naprawdę się boję, to

Martie i jej mściwości. - Dotknął leciutko palcami mojego łokcia. - Niech pan nie mówi nic Martie, dobrze?

Obiecałem, że nie powiem. Kiedy odwiozłem go pod dom, Ethel już czekała na niego przed drzwiami.

Rozdział siedemnasty

Dom czynszowy Excalibur Arms mieścił się w bocznej uliczce niedaleko Bulwaru Zachodzącego Słońca. Stał tam od niepamiętnych czasów. Jego trzypiętrowa fasada wyglądała w bladym słońcu jak okryta łuszczącym się pudrem twarz starej kobiety, którą zaskoczył poranek.

Znalazłem mieszkanie administratora, nr 1, na parterze, i zadzwoniłem. Drzwi

otworzył żujący coś mężczyzna w średnim wieku. Był bez marynarki i wyraz jego twarzy sugerował, że to, co żuje, jest gorzkie.

- Nie mamy wolnych mieszkań - powiedział z kęsem tego czegoś w ustach.
- Dziękuję, ale ja szukam pani Mungan. Poruszył szczękami i przełknął.
- Ona już dawno tu nie mieszka.
- Czy nie zostawiła adresu?
- Może i zostawiła. - Odwrócił się i krzyknął w głąb mieszkania: - Czy mamy

adres Marthy Mungan?

- Zobaczę - odpowiedział kobiecy głos. Mężczyzna oparł się o framugę drzwi.
- Nie jest pan przypadkiem komornikiem?
- Nie. Chcę tylko z nią pogadać.

Popatrzył na mnie, jakby mi nie wierzył” jakby nie wierzył nikomu od lat.

Krzyknął jeszcze raz w głąb mieszkania:

- No, jak tam?
- Nie możesz chwileczkę zaczekać? Musiałam przecież znaleźć książkę

adresową.

Obok mężczyzny ukazała się kobieta. Miała twarz pasującą do jego twarzy, ze znużonymi oczyma i liniami goryczy biegnącymi po obu stronach nosa.

- Ostatnio słyszeliśmy, że zarządza motelem zwanym Topanga Court. - Podyktowała mi adres przy Autostradzie Nadbrzeżnej. - Nie mogę przysiąc, że jeszcze tam jest. Ona pije, pan rozumie.

- Niech pan nie mówi, kto panu dał adres - dodał mężczyzna. - Mamy i bez tego dosyć wrogów.

Nie pojechałem wprost do Topanga Court. Minęło kilka dni, odkąd ostatni raz byłem w swoim biurze, należało je zatem odwiedzić.

Mieściło się na pierwszym piętrze piętrowego budynku przy Bulwarze Zachodzącego Słońca. Zaparkowałem samochód na swoim miejscu na parkingu od tyłu i wszedłem na górę tylnymi schodami. Obok, w agencji modelowej, szebiotały dziewczęce głosy.

Nazwisko i zawód na moich drzwiach, „Lew Archer: prywatny detektyw”, wydały mi się jakieś dziwne, toteż zrozumiałem, jakie mogło się wydawać ewentualnym klientom. Ale klientów nie było ani śladu. Stos listów leżących pod drzwiami składał się głównie z reklam i rachunków.

Zabrałem pocztę do pokoju w głębi, odrzuciłem reklamy i zliczyłem w

myślach rachunki. Całość wyniosła około trzystu dolarów, co równało się sumie, rian jaką opiewał czek w mojej kieszeni. Miałem jeszcze kilkaset dolarów na koncie, ale te były przeznaczone na czynsz.

Nie byłem zaniepokojony, chociaż odgłosy ruchu ulicznego dolatujące zza okna miały nieco niespokojne brzmienie, jakby pojazdy nie mogły się doczekać, kiedy się znajdą tam, dokąd zdużąją. Powiedziałem sobie, że stoję lepiej niż kiedykolwiek. Prowadzę sprawę i mam do czynienia z bardzo bogatymi ludźmi.

Ale nie chciałem uzależniać się od tych ludzi. Postanowiłem zadzwonić do Toma Russo i przekonać się, jak stoją sprawy.

Telefon przyjęła jego kuzynka.

- Mieszkanie państwa Russo.

- Mówi Archer. Porzuciła formalny ton.

- Ach, dzień dobry. Czy szczęście panu dopisało?

- Myślę, że robię postępy. Jak się pani miewa?

- Dziękuję, dobrze. Pewnie chce pan porozmawiać z Tomem?

- Właśnie miałem ten zamiar.

- Bardzo nie chciałabym go budzić. Wczoraj w nocy, po pracy, jeździł godzinami po ulicach. Już prawie świtało, gdy wrócił do domu, i był w kiepskim stanie. Mówił o śmierci i zagładzie.

- A co dokładnie?

- Nie chciałabym tego powtarzać przez telefon. Ostatnio nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać. W każdym bądź razie nie było to bardzo sensowne.

Stwierdziłem, że nadal mam klienta i że najwyższa pora złożyć mu drugą wizytę.

Drzwi otworzyła Gloria. Jej ciemne włosy były wilgotne i rozpuszczone, aby schły na ramionach, które osłoniła grubym ręcznikiem.

- Gdyby pan powiedział, że chce pan przyjechać, nie myłabym głowy.

- Postanowiłem porozmawiać z Tomem osobiście.

- On jeszcze śpi. Chce pan, żebym go obudziła?

- Sam go obudzę. - Chciałem mu się bliżej przyjrzeć. Gloria zaprowadziła mnie do jego pokoju i otworzyła drzwi. Stare drewniane żaluzje były opuszczone i Tom chrapał w mroku. Podniosłem żaluzje i do pokoju wtargnęło pokrajane w plastry światło, ale to nie przeszkadzało śpiącemu. Ogród za oknem był porośnięty chaszczami kruszyny poznaczonej tu i ówdzie czerwienią pelargonii, które przebiły

się przez gąszcz ku światłu.

Tom leżał skulony jak noworodek pod lekkim kocykiem z jedną pięścią przy piersi a drugą pod policzkiem. Dolna część twarzy była upstrzona nie ogolonym zarostem. Na jednej zgniecionej poduszce nie dostrzegłem śladów szminki.

Obejrzałem się na Glorię. Jakby czytając w moich myślach odpowiedziała od drzwi:

- Nie spałam z nim, jeśli o to panu chodzi. - Powiedziała to rzeczowym tonem.

- Laurel to jedyna dziewczyna, jaką on dostrzega, a ja mam własnego chłopca.

- A gdzie pani sypia?

- Gdzie spałam tej nocy? W gościnnym pokoju. Było już za późno, żeby iść do domu. A poza tym mój chłopiec ma samochód.

Tom jęknął i obrócił się na plecy osłaniając pięściami oczy. Wziąłem go za przeguby rąk i potrząsałem lekko. W na wpół przebudzonej twarzy był żal, a w oczach łzy. Załkał głośno i odsunął się ode mnie.

- Chciałem ją ogrzać - powiedział. - Ale ona była zimna. Mamusia była zimna.

- Znów coś go napadło - powiedziała Gloria. - To trzeba po prostu przeczekać.

- Niech pani z łaski swojej zamknie drzwi. Spojrzała na mnie urażona, ale zrobiła, o co ją poprosiłem. Ja zostałem z Tomem.

- A czemu mamusia była zimna? - spytałem.

- Pchnąłem ją i ona upadła. - Wydawało się, że naśladuje głos dziecka. - Nie chciałem, żeby upadła, kiedy ją pchnąłem. Nie chciałem, żeby umarła. Ale jej głowa z tyłu była cała lepka. - Spojrzał na swoje czyste ręce aptekarza. - I była zimna. Nie mogłem jej ogrzać.

- Ludzie nie robią się tak od razu zimni, kiedy umierają, Tom.

- A mamusia zrobiła się zimna. - Przetoczył głową z boku na bok. - Nie chciała mi pozwolić, żebym położył się z nimi do łóżka. Kazała mi zostać w pokoju z tą dziewczynką. Wstała z łóżka i chciała mnie zbić. Ten pan powiedział, żeby mnie nie biła, tylko wyrzuciła z pokoju, ale ona nie słuchała. Zbiła mnie i ja ją pchnąłem, i ona upadła na podłogę, i nie mogłem jej obudzić nawet śpiewaniem.

- A co śpiewałeś?

- „Dyń, dyń, dyń”. To łóżko właśnie tak robiło dyń, dyń. A mama czasem tak nazywała tego pana i wtedy się śmiali.

- Jak on wyglądał?

- Zwyczajnie, jak człowiek.

- Stary czy młody?

- Nie wiem.

- Jak chodził ubrany?

- Nie wiem. - Tom spojrział na mnie z niepokojem chwytając się pościeli, jakby warstwa czasu wysunęła się spod niego i bał się, że go przywali. - Powiedział, że wróci i mnie załatwi, jeżeli na niego poskarżę.

- On już nie wróci, Tom. To było dawno temu.. Usłyszał i zdawało mi się, że zrozumiał. Poczekalem, aż rozbudzi się z tego półsnu. Łzy utworzyły teraz ochronne soczewki na jego oczach. Stopniowo oczy wyzbyły się mgiełki i Tom mnie poznał.

- Archer? Czy Laurel nie żyje? Śniło mi się, że umarła.

- To jeszcze wcale nie znaczy, że musiała umrzeć. O ile ja się orientuję, żyje.

- Więc gdzie jest? - Jego głos był wciąż niezbyt przytomny.

- Została jakoby porwana.

- Co pan mówi?

- Do jej rodziców zwrócono się z żądaniem okupu. I rodzice gotowi są ten okup dać. Ale istnieją pewne oznaki, że to porwanie jest sfingowane i Laurel odegrała gierkę, aby samej dostać te pieniądze. Czy sądzi pan, że to możliwe?

- Ależ Laurel ma mnóstwo pieniędzy.

- Jej rodzina. A ona nie jest z nią na zbyt dobrej stopie. I o ile wiem, naciągnęła już ich kiedyś, gdy miała kilkanaście lat, na trochę forsy udając porwanie.

Popatrzył na mnie z taką odrazą, że umilkłem. Jego oczy zmieniły się w ciemne szparki, dolna warga wysunęła się do przodu. Na brodzie miał cętki przedwczesnej siwizny, jakby już kiełkowały w nim nasionka starości. Był dosyć młody, aby być moim synem, i mniej więcej w tym samym wieku, w którym utraciłem żonę.

- Czytałem pana list do Laurel - powiedziałem.

- Który?

- Ten, który pan wysłał na adres jej babki, przy Sea-horse Lane. Laurel napisała odpowiedź na odwrocie. Ale pewnie nie mogła się zdobyć, aby ją wysłać.

- Co napisała?

- Ogólny sens odpowiedzi jest taki, że pana kocha. Sądzę, że zamierza powrócić do pana, kiedy będzie mogła.

- Oby tak się stało.

Ale powiedział to bez prawdziwej nadziei. Siedział na łóżku ze zwieszonymi

nogami, jak człowiek okaleczały w walce z koszmarami. Zostawiłem go ledwie zdolnego utrzymać teren, który zdobył.

W wąskim korytarzu czekała na mnie Gloria. Nie mogłem oprzeć się domysłem, czy nie ludzi się nadzieją, że otrzyma w spadku Toma albo czynnie stanie się to może bez jej świadomych pragnień. I zapytywałem siebie, czy przypadkiem sam nie pragnę nieświadomie otrzymać w spadku Laurel.

Weszliśmy do kuchni, gdzie poprzedniego wieczora tak dobrze nam się rozmawiało.

- Co się stało z matką Toma, Glorio?

Ścisnęła dłońmi ramiona i skuliła się, jakby poczuła chłód.

- Nie chcę o tym mówić. Tom bardzo się denerwuje, gdy się o tym mówi.

- Nie musi wiedzieć.

- Chce pan, abym robiła coś za jego plecami? - odparła nierozsądnie.

- Tom zaangażował mnie, abym dla niego pracował, co prawdopodobnie znaczy, że mi ufa.

- Może i tak. On ufa wielu ludziom. Co wcale nie znaczy, że powinnam im zdradzać rodzinne sekrety.

- Myślę jednak, że powinna mi je pani zdradzić. One mogą rzucić światło na to, co stało się z Laurel.

- A co stało się z Laurel?

- Tego nie wiem. Czy matka Toma została zabita?

- Tak. Zastrzelona. - Oczy Glorii aż pociemniały, ze smutku. - Nie sądzę, aby Tom coś pamiętał, z wyjątkiem chwil, kiedy o tym śni... miewa takie koszmary.

- Często je miewa?

- Nie wiem, jak często. Nie spędzam tu wiele czasu. Myślę, że nachodzą go cyklami. Ilekroć zdarza się coś, co go przygnębia.

- Jak odejście Laurel? Skinęła głową.

- Jest jeszcze jedno, co mogło to również spowodować. Moja matka ostatnio znów poruszyła temat zabójstwa matki Toma.

- Przy nim? Kiwnęła głową.

- Nie mogłam jej powstrzymać. Mama czasem bywa bardzo pobudliwa. Wciąż uważa, że jeśli Tom przypomni sobie tamto wydarzenie, naprawdę przypomni, to może ona dowie się, kto jest mordercą. Nie traci nadziei, że znajdzie mordercę, choć już minęło tyle lat.

- He?

- Ponad dwadzieścia pięć. To się stało, kiedy byłam małym dzieckiem.

- Czemu nie powiedziała mi pani o tym wczoraj?

- Nie mogłam. Nie rozmawiamy o tym nawet między sobą, a cóż dopiero z obcymi.

- Kto ją zastrzelił?

- Nie wiadomo. Zabójca nigdy nie stanął przed sądem. Nie wiem, czemu to panu mówię. Mama by mnie zabiła, gdyby się o tym dowiedziała. - Zaczerpnęła tchu.

- Ja tylko tak mówię. Mama by nigdy nikogo nie skrzywdziła, a cóż dopiero mnie. Jej największy wróg to ona sama. Ona nie skrzywdziłaby nawet muchy. - Poglądziła w roztargnieniu wilgotne włosy.

- Jakie pokrewieństwo łączy ją z matką Toma?

- Były siostrami, prawie w równym wieku, i bardzo z sobą zżyte. Dziwiło mnie, czemu mama jest zawsze taka smutna, póki nie dowiedziałam się, że ma po temu powody.

- Czy zechciałaby porozmawiać o tym ze mną?

- Wątpię. A ja już jej na pewno o to nie poproszę.

- Gdzie mieszka pani matka?

- Nie powiem panu. - W jej głosie pojawił się niespodziewany upór, który kazał mi się zastanowić, co Gloria może chcieć ukryć.

- Czy ciekawi panią, co stało się z pani ciotką? Jak się nazywała?

- Ciocia Allie. Alison Russo. Pewnie, że tak. Ale nie chcę, żeby moja matka jeszcze raz to przeżywała. Już i tak za dużo o tym myśli.

- Tak samo Tom - powiedziałem. - Może to właśnie sposób, żeby oboje przestali o tym myśleć.

Pokręciła głową.

- To nic nie da. To samo powiedziałam swojemu chłopcu, kiedy zapalił się do tej sprawy. W naszej rodzinie jedyny sposób, to dać spokój, porzucić całą sprawę.

- Ale tak nie można. Niech pani spojrzy na Toma. Śmierć matki śni mu się po nocach.

- Gorzej, gdyby myśl o niej nie opuszczała go za dnia.

- Skąd pani wie?

- Bo doświadczyłam jednego i drugiego.

- Czy Tom rozmawiał kiedykolwiek z jakimś psychiatrą?

- Po co? Nie jest chory na głowę.

Spojrzałem na zegarek. Godziny mijały, a ja miałem być w południe na Seahorse Lane. Podziękowałem Glorii i poszedłem do wyjścia. Odprowadziła mnie do drzwi.

- Mam nadzieję, że nie czuje pan do mnie żalu, że nie chcę panu zdradzić pewnych rzeczy.

- Nie mam do pani żalu - odparłem. - Proszę się opiekować Tomem.

Byłem już na dworze, gdy zdałem sobie sprawę, że nie poprosiłem Toma o resztę pieniędzy. A może nie chciałem jego pieniędzy.

Rozdział osiemnasty

Topanga Court, gdzie mieszkała Martha Mungan, mieściło się spory kawał drogi od Excalibur Arms. Było to kilka otynkowanych budynków wciśniętych między Autostradę Nadbrzeżną a erodujące skalne urwisko. U stóp urwiska leżała ziemia, która zsunęła się z góry jak piasek na dno klepsydry, co się już niemal przesypała.

Zaparkowałem przed głównym budynkiem. Wielki napis reklamował mieszkania dla rodzin na dzień lub na tydzień, niektóre z kuchenkami. Nad drzwiami, gdy je otwierałem, zadzwieczał dzwonek.

Za sklepionym przejściem, w którym stało biurko, słychać było z zaciemnionego pomieszczenia dźwięki telewizora. Jakaś kobieta krzyknęła:

- Kto tam?

Na biurku leżała niewypełniona karta meldunkowa. Wypełniłem ją w myślach: Lew Archer, łapacz złodziei, znalazca trupa, nakłaniacz ucha.

- Zna pani Josepha Sperlinga?

- Joe'a? A jakże. Jak się masz, Joe?

Nie odpowiedziałem. Stałem i słuchałem jej powolnych kroków, kiedy zbliżała się do sklepionego przejścia. Twarz miała skrzywioną, kiedy się ukazała - była w średnim wieku, w zmierzwionej rudej peruce i kimonie lśniącem różnymi barwami. Mrugała powiekami oślepiona blaskiem jak jakieś nocne zwierzę.

- Pan nie jest Joe Sperling. Kogo pan chce nabrać?

- Wcale nie mówiłem, że nim jestem. - Podałem jej swoje nazwisko. -

Rozmawiałem dzisiaj rano z Joem.

- A jak on się miewa? Nie widziałam go od lat.

- Wydaje się, że nieźle. Ale chyba się postarzał.

- A my nie? - Spojrzała na mnie zadziwiająco żywymi oczami w tej obwisłej

twarży. - Mówi pan, że rozmawiał pan dziś z Joem. O mnie?

- O pani i o pani mężu.

Leciutka fala niepokoju przepłynęła przez jej twarz pozostawiając za sobą drobne zmarszczki.

- Nie mam męża... już nie mam. - Westchnęła głęboko. - Czy Ralph Mungan jest w jakichś tarapatach?

- Być może.

- Właśnie się zastanawiałam. Słuch po nim zaginął i już myślałam, że jest w więzieniu czy co innego.

- Raczej to drugie - powiedziałem, żeby podniecić jej ciekawość.

Niepewny, błądy uśmiech objął dolną część jej twarzy. Zastąpiła nim na chwilę słowa badając doświadczonej oczami moją twarz.

- Czy aby z pana przypadkiem nie gliniarz?

- Prywatny.

- I chce się pan czegoś dowiedzieć o Ralphie? Kiwnąłem głową. W zaciemionym świetle za sklepionym przejściem głosy z telewizora zdradzały swoje wszystkim znane sekrety. „Kochałbym cię, ale mam złamane serce i nikt mi go nie wyleczył. Kochałabym cię, ale mi przypominasz mego ojca, który mnie podle traktował”.

- Gdzie jest Ralph?

- Nie wiem - skłamałem.

- Po co on panu?

- Po nic ważnego. A przynajmniej mam nadzieję, że to nic ważnego.

Oparła się całym ciężarem o biurko.

- Niech pan nie prowadzi ze mną żadnych gier, dobrze? Chcę wiedzieć, o co chodzi. I co Joe Sperling ma z tym wspólnego.

- Pamięta pani tweedowe ubranie, które Joe uszył kiedyś Ralphowi na urodziny?

Jej wzrok się zaostrzył.

- To było bardzo dawno. I co z tym ubranie?

- Dziś rano znalazło się w morzu.

- Więc co? To było stare ubranie.

- Widziała je pani ostatnio?

- Nie wiem. Po odejściu Ralpa wyrzuciłam większość jego rzeczy. Często się

przeprowadzałam od tamtej pory.

- Więc nie wie pani, kto je nosił?

Wyprostowała się ściskając palcami krawędź biurka. Na jednym z palców coś, co wyglądało jak obrączka, wpiło się w jej ciało niby głęboka blizna.

- Ktoś je miał na sobie? - spytała.

- Mały starszy człowiek ze śladami oparzeń na głowie i twarzy. Zna go pani?

Jej twarz stała się nieprzenikniona, jakby ciężar mojego pytania pozbawił ją uczucia.

- Nie wiem, kto to mógł być - powiedziała lekkim tonem. - Mówi pan, że ubranie było w morzu?

- Tak jest. Sam je wyłowilem.

- Tutaj niedaleko? - wskazała za autostradę.

- O kilka kilometrów na południe, koło Pacific Point. Milczała, a przez jej twarz przesuwały się powolne myśli.

- I co z tym człowiekiem? - spytała wreszcie.

- Człowiekiem?

- Tym małym człowiekiem ze śladami oparzeń, o którym pan przed chwilą mówił.

- A bo co?

- Nic mu nie jest?

- Czemu pani pyta. Zna go pani?

- Nie powiedziałabym, że go znam. Ale mogłam dać mu to ubranie.

- Kiedy?

- Najpierw niech pan mi odpowie - rzuciła ostro. - Czy mu się coś stało?

- Właśnie. Był w ubraniu, kiedy je wyciągnąłem z wody. I był martwy.

Wpatrywałem się w jej twarz szukając oznak wstrząsu, żalu albo nawet wyrzutów sumienia. Ale wydawała się wyzuta z wszelkich uczuć. Jej oczy były barwy miejskiego nieba, pod którym przeżyła szmat czasu.

- Jak to się stało, że dała mu pani to ubranie? Nie kwapiła się z odpowiedzią.

- Niezbyt dobrze to pamiętam. Dosyć dużo piję, jeśli już chce pan znać prawdę, i pamięć mam do niczego. Przyszedł tu kiedyś, jak byłam lekko wstawiona. Stary włóczęga, prawie w łachmanach. Chciałam mu coś dać, żeby mógł się ogrzać, a miałam tylko to jedno stare ubranie Ralpa.

Pilnie wpatrywałem się w jej twarz starając się rozstrzygnąć, która z trzech

głównych możliwości wchodzi tu w grę: czy mówi prawdę, czy jest jednym z tych urodzonych łgarzy, którzy kłamią bardziej przekonująco, niż mówią prawdę, czy też ma tę powiastkę świetnie przygotowaną.

- On przyszedł tutaj, tak?

- Tak. Stał tam, gdzie pan teraz stoi.

- Skąd przyszedł?

- Nie mówił. Przypuszczam, że wędrował wzdłuż wybrzeża. Kiedy odchodził, kierował się na południe.

- Dawno to było?

- Nawet nie pamiętam.

- Ale tak mniej więcej.

- Parę tygodni temu, może więcej.

- Czy był z nim młody człowiek? Taki szeroki w ramionach, około trzydziestki, mniej więcej mego wzrostu?

- Nie widziałam żadnego młodego człowieka. - Ale jej spojrzenie miało obronny wyraz, a w głosie była płaczliwa nuta. - Czemu mi pan zadaje te wszystkie pytania? Byłam dla niego tylko dobrą Samarytanką. Nie można człowieka potępiać za to, że był dla kogoś dobrym Samarytaninem.

- Ale początkowo nie pamiętała pani tego. Myślała pani, że wyrzuciła pani to ubranie razem z innymi rzeczami Ralpa Mungana. A potem przypomniała sobie pani, że dała je zmarłemu.

- Bo właśnie tak jest z moją pamięcią. W każdym razie on żył, kiedy mu je dawałam.

- Teraz nie żyje.

- Wiem.

Patrzyliśmy na siebie ponad biurkiem. Za jej plecami, w zaciemnionym pokoju, widmowe głosy opowiadały dalej swoją przypowieść: „Nie tylko ojciec traktował mnie podle. Wiem, kochanie, a ja nie tylko serce mam złamane”.

Kobieta była już niemłoda, umysł miała wyługowany alkoholem, ciało nabrzmiałe. Ale czułem dla niej sympatię. Nie sądziłem, aby była zdolna do morderstwa. Ale niewątpliwie byłaby zdolna je ukryć, gdyby je popełnił jej syn lub kochanek.

Wyszedłem zamierzając jeszcze tu powrócić.

Rozdział dziewiętnasty

Było prawie południe, kiedy przyjechałem do Pacific Point. Przystań była jeszcze czarniejsza od ropy niż rano. Robotnicy ubrani w nieprzemakalne ubrania i długie gumowe buty czyścili kamienne mola parą pod ciśnieniem.

Inni w małych łódkach rozrzucali słomę na unoszącą się na wodzie ropę, a potem zbierali ją, przesiąkniętą ropą, widłami. Zwieziono skądś ciężarówkami setki bel słomy, która leżała całymi zwałami na brzegu, tworząc jakby zaporę przed spodziewaną inwazją.

Na nabrzeżu były też inne zmiany. U wjazdu na nie krążyło kilkudziesięciu pikietujących ludzi. Obnosili zrobione przez siebie hasła: „Omijajcie z daleka: wydobywanie ropy!”, „Ropa niszczy!”, „Zanieczyszczenia!” Większość pikietujących była w średnim wieku, ale kręcili się też wśród nich młodzi długowłosi.

Poznałem zarośniętego młodego rybaka, z którym rozmawiałem poprzedniego wieczoru. Pomachał w moją stronę trzymanym w ręku hasłem: „Zważcie na słabe połowy!” - i wrzasnął przyjaźnie, kiedy wjeżdżałem obok niego na nabrzeże.

Blanche przyglądała się pikietującym z niemal pustego parkingu swojej restauracji. Poznała we mnie wczorajszego gościa i zaczęła się uskarżać.

- Oni chcą mi uniemożliwić prowadzenie interesu. Niech mi pan powie, czy próbowali użyć siły w stosunku do pana? Albo grozili panu?

- Nie.

- Wielka szkoda. - Pokręciła kędzierzawą głową. - Policja mówi, że jeśli nie używają siły i nikomu nie grożą, to to jest legalne i nic nie mogą im zrobić. Ale mnie się to nie wydaje legalne. Chętnie przerzuciłabym ich za barierkę, żeby sobie popróbowali tej wody z ropą. Że też mają odwagę próbować zająć moje nabrzeże.

- Czy to naprawdę pani nabrzeże?

- Praktycznie biorąc tak. Mam na nie długoterminową dzierżawę, i to mi daje prawo odstąpienia jego części spółce naftowej. Zamierzam osobiście odwołać się w tej sprawie do gubernatora.

Była zaczerwieniona i ciężko dyszała. Z irytacji aż zabrakło jej tchu.

- Wczoraj jadłem tu u pani kolację.

- Sama pamiętam. Nie dojadł pan karmazyna. Nie był chyba zły?

- Był znakomity. Tylko ja nie byłem zbyt głodny. Zauważyłem tu wczoraj paru innych gości... jeden starszy, drugi młody. Ten starszy miał na sobie tweedowe ubranie i blizny od oparzeń na głowie...

- Pamiętam ich. A o co panu chodzi?

- Chciałbym ich zobaczyć. Nie wie pani, skąd oni mogą być?

Pokręciła głową przecząco.

- Nigdy ich przedtem nie widziałam. Oni nie są z tych stron.

- Skąd pani wie?

- Bo pytali mnie o drogę. Chcieli wiedzieć, jak trafić stąd na Seahorse Lane. -

Wskazała ręką na południe, w stronę domu Sylwii Lennox.

- A nie mówili, kogo chcą odwiedzić na Seahorse Lane?

- Nie, ale to właśnie mnie zdziwiło. To bardzo droga dzielnica, prawie na samej plaży. A oni byli jak z Głodowej Wólki... przynajmniej ten starszy. Dosłownie. Trzeba go Ho widzieć, jak zajadał.

Podziękowałem jej i skierowałem się w stronę swego Samochodu. Z innego samochodu wysiadł siwowłosy mężczyzna i niby od niechcienia zaszedł mi drogę. Miał wrażliwe niebieskie oczy, w których jak przezroczysta tarcza widniała obojętność obserwatora.

- Pan nietutejszy, prawda? - zagadnął mnie.

- Nie. To jest wolny kraj.

Jego twarz zmarszczyła się w samopotępiającym uśmiechu, który był niemal wyrazem bólu.

- Jestem ostatni, który by temu zaprzeczył. Należy pan do Spółki Naftowej Lennox?

- Nie. Jestem wolnym strzelcem.

- A ściślej? - Wciąż się uśmiechał.

- Jestem prywatnym detektywem. Nazywam się Archer.

- A ja Wilbur Cox. Z miejscowej gazety. Jakaż to zbrodnię pan tu ściga?

Zbrodnię zanieczyszczenia?

- Nie przeczę, że chciałbym wiedzieć, co spowodowało wylew ropy.

Wydawał się aż nadto skory mnie poinformować.

- Nafciarze mówią, że to dzieło boże, i ostatecznie jest w tym nieco prawdy.

Struktura dna morskiego jest w tym miejscu z natury porowata i bardzo niebezpiecznie w niej majstrować. Można by rzec, że cały obszar jest bardzo wybuchowy. Ale biorąc pod uwagę przyczyny bezpośrednie, winni są nafciarze. Nie wzięli w pełni pod uwagę niebezpieczeństwa wylewu i nie zastosowali odpowiednich zabezpieczeń wierząc na tej głębokości. Rezultat może pan obejrzeć. - Zrobił ręką ruch w stronę platformy rysującej się na horyzoncie.

- A czemu nie zastosowali odpowiednich zabezpieczeń?

- Bo one kosztują, odparł Cox. - Nafciarze są ryzykantami. Wolą ponieść małe ryzyko, niż płacić duże pieniądze.

Albo czekać na rozwój technologi. - Po chwili dodał: - Nie tylko ich to ryzyko dotyczy. Wszyscy jesteśmy w to wplątani. Wszyscy jeździmy samochodami, wszyscy jesteśmy zależni od ropy. Rzecz w tym, jak się uniezależnić od niej, zanim się w niej potopimy.

Kiwnąłem głową na znak, że się z nim zgadzam, i ruszyłem do swego samochodu. Cox szedł za mną.

- Czy to pan wyciągnął z wody trupa dzisiaj rano? Powiedziałem, że tak.

- Potrafi go pan zidentyfikować?

- Jeszcze nie. Pracuję nad tym.

- Mógłby mi pan coś powiedzieć na ten temat?

- Niestety, proszę pana. Wszelki rozgłos zaszkodziłby mi w moich dociekaniach.

- Czy tego człowieka zamordowano? - Spoza maski obojętności oczy dziennikarza płonęły zimnym blaskiem.

- Naprawdę nie wiem. Do zobaczenia.

Nie zajechałem daleko. Wjazd na nabrzeże był zablokowany szeregami pikietujących, którzy stali zwrócenii twarzami w stronę lądu. Za nimi stała wielka odkryta ciężarówka załadowana beczkami płuczki wiertniczej. Kierowca spoglądał złowrogo na pikietujących ze swego wysokiego miejsca i posuwał ciężarówkę centymetr po centymetrze.

Jeden z młodych demonstrantów siedział tuż przed kołami. Był blady i przestraszony, jak gdyby wiedział, jak słaby hamulec dla ciężkich obrotów spraw świata stanowiło jego ciało. Ale siedział nieruchomo, gdy wielkie podwójne koła niemal wjeżdżały na niego.

Kierowca splunął jakimś niedosłyszalnym słowem i wdepnął na hamulce. Wygramolił się z kabiny pomachując łyżką do zdejmowania opon. Wysiadłem z samochodu i przecisnąłem się do niego przez tłum pikietujących. Był płaskonosym młodym człowiekiem o gniewnych oczach.

- Odejdź pan! - warknął. - Ja wiozę towar.

- Przepraszam, ale nie zamawialiśmy łyżki do opon.

- Przydałoby się przejechać nią panu po gębie.

- To nie byłby dobry pomysł - powiedziałem. - Odłóż no to.

- Jak mi zejdziecie z drogi. Ja tu jestem zgodnie z prawem.

- Nie wyglądasz na to z tym żelastwem w ręku. Kierowca spojrział na swą broń z lekkim zdziwieniem.

Może zdał sobie sprawę, że występuje sam przeciwko wszystkim. Wdrapał się z powrotem do swojej kabiny i siedział tam łypiąc gniewnie okiem. O jakieś dziesięć metrów przed nim dziennikarz Wilbur Cox stał oparty o barierkę i pisał coś w notesie.

Przy drugim końcu nabrzeża, za restauracją Blanche, pojawiła się czarna limuzyna i wolno podjechała do nas. Stanęła tuż za moim samochodem. Z limuzyny wysiadł kapitan Somerville, a za nim młody człowiek, który poruszał się jak cień kapitana. Obaj byli zmizerowani, jakby spędzili ciężkie przedpołudnie.

A zakrawało na jeszcze przykrzejsze sprawy. Pikietujący otoczyli limuzynę przyciskając do niej obu mężczyzn. Somerville miał ponurą minę. Jego towarzysz był blady i przestraszony.

- Cofnąć się - powiedział niepewnym głosem. - To jest kapitan Somerville, dyrektor Spółki Naftowej Lennox.

- Wiemy - odparł młody rybak. - Kiedy zastopujecie wylew, kapitanie?

- Jak tylko zdołamy - odparł zagadnięty. - Próbowaliśmy dziś rano. Przykro mi, ale nie udało się. Musimy zgromadzić więcej płuczki wiertniczej, sprowadzić ekspertów i spróbujemy jeszcze raz pod koniec tygodnia. A tymczasem proszę wszystkich o cierpliwość i współpracę.

Pikietujący jęknęli. Jeden z nich krzyknął:

- Kiedy zabierzecie stąd tę waszą platformę? Nie chcemy jej tutaj.

- Platforma stoi tu zgodnie z prawem - odparł Somerville nieugiętym tonem - za zgodą Urzędu Geologicznego Stanów Zjednoczonych. A zatrzymując nasze dostawy, tak jak to teraz robicie, przeszkadzacie nam powstrzymać wylew.

Tłum stawał się coraz hałaśliwszy, pomruki zaczęły przechodzić w ryk. W oczach kierowcy siedzącego w kabinie ciężarówki pojawił się wyraz zniecierpliwienia. Postanowiłem zacząć działać, zanim on zacznie.

Przecisnąłem się przez tłum do kapitana.

- Niech pan lepiej stąd odjedzie, kapitanie. Proszę wsiąść do samochodu i jechać za mną.

Somerville i jego adiutant usiedli na przednie siedzenie limuzyny, młody blady człowiek za kierownicą. Powiedziałem do pikietujących:

- Dajcie im odjechać. Nikt nie chce awantur.
- Słusznie - rzekła jakaś kobieta w średnim wieku. - Nie chcemy awantur.
- Nie chcemy także ropy na naszych plażach - powiedział jakiś młody

człowiek.

- Lepsze to od krwi - zauważyłem.

Tłum przyznał mi pomrukiem rację. Odstąpili powoli, odsuwając się od limuzyny. Wsiadłem do swojego samochodu, przecisnąłem się koło ciężarówki i skierowałem się ku Seahorse Lane. Somerville jechał za mną.

Aż się spościłem z ulgi. Dwa razy w ciągu niespełna dziesięciu minut wisząca w powietrzu groźba gwałtu omal nie została wprowadzona w czyn. W oddali wyły syreny, jak zapowiedź dalszej groźby.

Rozdział dwudziesty

Pod cyprysami na podwórku Sylwii Lennox stało już kilka samochodów. Samochód Somerville'a zatrzymał się tuż koło mojego. Kapitan wysiadł i uściśnął mi dłoń - dość serdecznie, choć nie patrzył mi w oczy.

- Muszę panu podziękować za interwencję. To jest Leroy Ellis z naszego biura prasowego. Zaraz, zaraz, pan się nazywa Archer, prawda?

Ellis wysiadł zza kierownicy i podał mi sflaczałą rękę. Nie był naprawdę młody, raczej w moim wieku, ale należał do tych mężczyzn, którzy nigdy nie wyzbyli się manieryzmów młodości. Oczy miał wilgotne i wyraziste. Jechało od niego, jakby udało mu się gdzieś dorwać do whisky.

- Leroy jest moim starym kolegą ze statku - powiedział Somerville z raczej wymuszoną nostalgią. - Był ze mną pod Okinawą. A dziś przeżyliśmy właśnie chwile, jakich chyba nie mieliśmy od tamtego czasu, nie, Leroy?

Leroy odparł, że tak. Wydawał się zdenerwowany i skrępowany i odniosłem wrażenie, iż kapitan, z rodzajem czułego sadyzmu, nie żałował mu subtelnie wbijanych szpileczek. Weszli obaj do domu, Leroy nieco z tyłu za kapitanem. Odczekałem chwilę nasłuchując gołębi rozprawiających w cyprysach.

Koło garażu ukazał się Tony Lashman. Twarz miał bladą i pełną napięcia i poruszał się jak człowiek, który się czuje czymś urażony. Wskazał gestem dom.

- Co się tam dzieje?
- Właśnie chciałem pana o to zapytać. Dopiero co przyjechałem.
- Urządził i sobie jedną ze swoich rodzinnych konferencji. Jestem zaufanym sekretarzem pani Lennox, ale ona kazała mi się trzymać z dala. Czy wpuszczą tam

pana?

Mam nadzieję. Ruszyłem w stronę domu, ale Lashman zastąpił mi drogę. Zaczynał się robić natrętny.

- Słuchaj pan - powiedział - Chcę wiedzieć, co się tam dzieje. Zapłacę panu, jeżeli mi pan powie.

- Re?

- Nie wiem, ile. Ale to może być dużo... znacznie więcej niż sto dolarów dziennie.

- Z czyjej kieszeni?

Połapał się, że chce go pociągnąć za język, i ogarnęła go złość.

- Dobra. Sam sobie poradzę. Odwrócił się na pięcie i odszedł.

Przy drzwiach czekał na mnie Emerson Little, adwokat. Był łysem mężczyzną gustującym w czerni i przesadnych pozach przedsiębiorcy pogrzebowego.

Obdarzył mnie miękką dłonią i twardym spojrzeniem.

- Jest pan trochę spóźniony, Archer.

- Wiem. Przepraszam.

- Miałem nie lada kłopoty, żeby utrzymać Jacka Lennox w ryzach. To nieprzejednany człowiek.

- Gdzie on jest?

- U swojej matki. Sylwia Lennox jest moją klientką. Nie chce wypuścić z ręki tej setki tysięcy, póki pan nie przyjdzie, a ja ją w tym popieram. Zasadniczym celem całej operacji jest bezpieczne sprowadzenie do domu jej wnuczki. Pieniądze są sprawą drugorzędną. Mimo to nie chcemy ich na darmo tracić.

- W jakiej formie są te pieniądze?

- Nie oznaczone dwudziestki w zwykłym kartonowym pudle, tak jak żądano.

- Gdzie mają być dostarczone?

- Jack Lennox nie chce tego wyjawić. - Przez uprzejmą twarz Little'a przeszedł skurcz irytacji. - No cóż, musimy radzić sobie, jak możemy.

Poszedłem za nim do frontowego pokoju. Zastaliśmy tam Sylwię z rodziną. Kapitan Somerville siedział obok Elizabeth roztargniony i nieobecny.

Elizabeth uśmiechnęła się do mnie leciutko. Jack Lennox nawet na mnie nie spojrział, a jego żona, Marion, patrzyła niewidzącymi oczyma.

Na szybach były bryzgi ropy. Na podłodze, koło fotela Sylwii, leżało szare tekturowe pudło, które przyciągało uwagę jak cykająca bomba zegarowa.

Stara kobieta uniosła rękę.

- Proszę, niech pan usiądzie na chwilę koło mnie, panie Archer.

- Tracimy czas, mamó - powiedział Jack.

- Postaraj się być cierpliwy, synu. - Następnie zwróciła się do mnie: - Mój mąż... mój eks-mąż pragnie widzieć u siebie pana i Jacka w El Rancho po doręczeniu pieniędzy. Potrzebowałam jego pomocy, bym mogła zebrać je dziś rano. Daje to mu pewien udział w całej sprawie, a William nigdy nie był człowiekiem, który rezygnuje ze swego udziału.

- To jest udział całkiem naturalny, mamó - rzekła Elizabeth. - Laurel jest jego jedyną wnuczką.

Somerville obrócił się i spojrział na Elizabeth, jakby poddała w wątpliwość jego potencję.

- Nie sugeruję, że w jego stosunku do Laurel jest coś nienaturalnego - powiedziała Sylwia sucho. - Jestem pewna, że ma pełne ręce roboty z tą swoją młodą kobietą. I obawiam się, że ta sprawa nie polepszy jego stosunku do nas. Bardzo źle, że musiał się o tym dowiedzieć.

- To nie jest ważne - rzekła Marion. - Ważne jest tylko, żebym odzyskała córkę. Reszta się nie liczy. - Powiodła udręczonym spojrzeniem po wszystkich, jakby chciała zobaczyć, kto jej spróbuje zaprzeczyć.

- Zgadzam się całkowicie - powiedział Emerson Little. Jack na wpół uniół się z fotela.

- Więc czemu nie ruszamy w drogę?

Było to bardzo nerwowe zebranie, aż tętniące od niewypowiedzianych myśli. Zanim się skończyło, zapytałem Sylwię Lennox, czy nie widziała wczoraj mężczyzny w tweedowym ubraniu albo jego towarzysza.

- O której tu byli?

- Nie jestem pewien, czy byli właśnie tutaj. Ale jeżeli tak, to około ósmej.

- Byłam o tej porze w mieście, na kolacji. Może Tony Lashman ich widział.

Zastanie go pan prawdopodobnie nadąsanego w swoim pokoju.

- Nadąsanego?

- Uznałam za stosowne wskazać mu jego właściwe miejsce. Za bardzo się interesuje moimi sprawami. - Spojrzała na mnie bystrymi oczami. - Pan też jest dość wścibski, prawda?

Nie musiałem odpowiadać. Jack Lennox wstał i dramatycznie spojrział na

zegarek.

- Jedziemy?

Miał na sobie brązową zamszową marynarkę i boczną kieszeń wyraźnie wypychał mu rewolwer. Odwrócił się i wyszedł na podwórko. Poszedłem za nim niosąc pudło z pieniędzmi. Człowiek w tweedowym ubraniu musiał poczekać.

- Weźmiemy mój samochód - zdecydował Lennox. - Jest w nim telefon, który może nam się przydać. Ja poprowadzę.

- Dobrze.

- Nie pytam pana o pozwolenie - rzekł zniecierpliwiony - tylko mówię, co zamierzam zrobić. Wolałbym jechać sam. Ale z jakichś przyczyn matka uparła się, żebym zabrał pana. Wbrew moim życzeniom. Jasne?

Pod jego zniecierpliwieniem wyczuwałem głębokie zmęczenie. Byłem zdecydowany z nim jechać.

- Nawet bardzo jasne.

Położył pudło z pieniędzmi na siedzeniu między nami.

Lennox wyjechał z podwórka z piskiem opon, co miało zapewne dać jego rodzinie do zrozumienia, że nikt nie przejmuje się losem Laurel bardziej niż on.

Nie odzywałem się, póki nie znaleźliśmy się na starej szosie biegnącej na południe.

- Dokąd jedziemy?

- Nad jezioro Sandhill. To jest między Pacific Point a El Rancho.

- Tam nad jeziorem jest zdaje się klub łowiecki.

- Był kiedyś. Ojciec do niego należał. - Przejechał ponad półtora kilometra, nim dodał: - Tam się nauczyłem strzelać.

- Kto wybrał jezioro Sandhill?

Po następnej chwili milczenia odparł:

- Nie rozumiem, o co panu chodzi.

- Pan czy porywacz obrał to miejsce na przekazanie okupu?

- Oczywiście on.

- Niezły zbieg okoliczności, co?

- Jaki zbieg okoliczności?

Wydawał się szczerze zaskoczony. Zastanawiałem się, ile wypił w ciągu nocy i ile potem spał.

- Że wybrał miejsce, które pan zna - odparłem. - Klub, do którego należał

pana ojciec.

Odpowiedział dopiero po chwili.

- Rozumiem, co pan ma na myśli.

- To nasuwa myśl, że zna pana rodzinę. - Albo przynajmniej zna Laurel -
dodałem w duchu. - Domyślam się, że rozmawiał z nim pan osobiście.

- Kiedy?

- Wczoraj wieczorem.

- Tak. Rozmawiałem.

- Poznał go pan?

- Skądże. Do czego pan zmierza?

Obrzucił mnie gniewnym, badawczym spojrzeniem i czarny Cadillac skręcił na pobocze. Lennox ściągnął go z powrotem na jezdnię nie zmniejszając prędkości. Jechaliśmy około stu trzydziestu na godzinę.

Nie miałem odwagi odpowiedzieć mu wprost, że podejrzewam jego córkę o oszukiwanie jego i całej rodziny. Miał w sobie trochę dzikości Laurel - a raczej ona miała trochę jego dzikości - i mógł wpaść w szal i rozbić samochód.

- Ja tylko głośno myślę, szukam jakichś wskazówek, które by mogły coś powiedzieć o tych ludziach.

- Jest tylko jeden człowiek, o ile mi wiadomo.

- Mężczyzna?

- Tak.

- Ale nie poznał pan jego głosu przez telefon?

- Nie, nie poznałem. Skoro już jesteśmy przy tym, wcale mi nie zależy, żeby go przyskrzynić, czy to jasne? To nie są i tak moje pieniądze. Należą do moich rodziców, którzy mają ich więcej, niż potrzebują.

- Zdaję sobie sprawę, że pieniądze nie są ważne.

- To bardzo się cieszę - rzekł. - Przynajmniej to jedno wyjaśniliśmy.

- Ale nawet po dostarczeniu pieniędzy pozostaje jeszcze kwestia odzyskania pana córki. Czy orientuje się pan, gdzie ona może być?

- Skądże. Ale nie ma problemu. On dostanie pieniądze, my dostaniemy Laurel.

- A jeśli nie dostaniemy?

- Dostaniemy - odparł. - Jestem tego pewien.

- Sądzi pan, że Laurel jest z nim nad jeziorem Sandhill? Obrócił się do mnie twarzą nabiegłą krwią.

- Skąd, do diabła, mam wiedzieć? - Cadillac znowu zjechał ze swojego pasma, gdy Lennox odwracał się do mnie. Chwyciłem obiema rękami kierownicę, namacałem stopą hamulec i zatrzymałem ciężki samochód z piskiem opon na poboczu autostrady.

- Co pan usiłuje zrobić? - spytał.

- Nie dać się zabić.

- To niech pan wysiada i idzie piechotą.

- Otrzymałem polecenie jechać z panem.

- Zmieniam to polecenie. Wysiadać.

Nie ruszyłem się ze swojego miejsca, obok pudła z pieniędzmi. Lennox wsadził rękę do kieszeni marynarki i wymierzył kieszeń we mnie.

- Wysiadać.

Nie wydawało mi się, że mógłby strzelić z rozmysłem. Ale swoim zachowaniem aż dopraszał się jakiegoś nieszczęścia i dłoń miał ukrytą w kieszeni. Tylko tego mi jeszcze brakowało, żebym dostał kulę w nerki. Otworzyłem drzwi, wysiadłem i patrzyłem, jak odjeżdża.

Potem poszedłem za nim piechotą. Cadillac wspiał się na długie wzniesienie i znikł za jego grzbietem. Mało było samochodów na tej starej szosie i żaden się nie zatrzymał, żeby mnie zabrać. Dzień był jednak pogodny i sprawiało mi przyjemność, że jestem sam i idę sobie nasłuchując śpiewu ptaków pośród pól.

W końcu dotarłem do grzbietu wzniesienia. Po drugiej stronie widniał szereg wydm postępujących miarowym rytmem wzdłuż morza. Jezioro Sandhill ciągnęło się w głębi łądu nieregularnym owalem, który wyglądał jak odprysk nieba.

Na brzegu widziałem zielone zabudowania klubu łowieckiego, a obok nich zaparkowany czarny Cadillac Lennox. Daleko, po drugiej stronie jeziora, stała drewniana wieża obserwacyjna z szarymi okrytymi gontem ściankami. Od zabudowań do wieży biegła miękka droga.

Jack szedł właśnie tą drogą niosąc w rękach pudło. Doszedł do wieży i znikł w jej wnętrzu. Usłyszałem stłumiony wybuch, potem drugi. Na jeziorze poderwały się do lotu kaczki, rożeńce i płaskonosy. Poruszały się jak widzialne echa wielkimi rozszerzającymi się kręgami. Z wieży wyszedł z próżnymi rękami Lennox, przebiegł kawałek drogi, upadł, poczołgał się kawałek i legł nieruchomo.

W drzwiach wieży ukazał się inny mężczyzna z pudłem z pieniędzmi w rękach. Zatrzymał się na chwilę przy Lennoxie, potem odwrócił się i zaczął biec,

utykając, w kierunku lasku eukaliptusowego, rosnącego pomiędzy wieżą a szosą.

Mimo że utykał, poruszał się jak ktoś młody i mógł być tym samym człowiekiem, którego widziałem w restauracji Blanche z tym starym, w tweedowym ubraniu. Był jednak za daleko, żebym mógł mieć absolutną pewność. Zacząłem biec szosą żałując, że nie mam przy sobie broni i lornetki.

Był to długi bieg. Zanim zdążyłem dobiec do stóp wzgórza, kaczki zatoczyły krąg nad brzegiem morza, wróciły i zaczęły opadać na wody jeziora. Jakby dla zachowania naturalnej równowagi, która wymagała, aby w powietrzu były stale żywe stworzenia, z lasku eukaliptusowego wystrzeliło w górę stadko gołębi.

A potem z jego przeciwnego krańca wypadł mały zielony samochód i pomknął szosą oddalając się ode mnie. Był za daleko, żebym mógł dostrzec numer rejestracyjny, ale wyglądał na starego dwudrzwiowego Forda Falcona.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Lennox leżał w miejscu, w którym upadł. Był nieprzytomny, ale oddychał. W rękę ścisnął rewolwer, trzydziestkę dwójkę, którego lufa pachniała jak po strzale. Kula otarła się o czaszkę Lennox'a i urwała mu górny koniuszek lewego ucha. Nie wyglądało to na śmiertelną ranę, ale biegły od niej grube robaczki krwi tworząc na piasku spirale.

Przewiązałem mu głowę chustką, żeby zatamować krew. Potem zostawiłem go i posłużyłem się telefonem w samochodzie, żeby wezwać karetkę i policję.

Wróciłem, żeby czuwać przy rannym. Opanowało mnie jednak irracjonalne uczucie, że ktoś nas obserwuje z wieży. Podeszedłem do wpół otwartych drzwi i zajrzałem do środka. Nie było wewnątrz nic, prócz naniesionego wiatrem piasku z odcisniętymi na nim śladami stóp. Rozpadająca się drabina wiodła na platformę obserwacyjną.

Nie wspiąłem się na drabinę, nie wszedłem nawet do środka wieży. Na szczeblach mogły być odciski palców, a ślady na piasku mogły się przydać do identyfikacji. Tak czy owak wyzbyłem się uczucia, że jestem obserwowany. Oparłem się o zewnętrzną ścianę wieży i stałem w słońcu patrząc, jak kaczki znów podrywają się do lotu spłoszone syrenami karetki i radiowozu policyjnego, które przyjechały jednocześnie.

Przywiązali Lennox'a do noszy i zabrali. Dwaj policjanci zostali ze mną i opowiedziałem im, jak Lennox wysadził mnie z samochodu na szosie i co widziałem i słyszałem z wierzchołka wzniesienia.

Policjanci nazywali się Dolan i Shantz. Dolan, kapitan, trzymał się prosto, był przyszyty, z siwym wąsikiem i badawczymi oczyma. Sierżant Shantz, młody, barczysty, przypominał atakującego piłkarza.

Kapitan wyjął Lennoxowi z ręki rewolwer i okręcił bębenek. Tylko jeden nabój był wystrzelony. Dolan pokazał mi to, ale nie skomentował. Poszliśmy we trójkę drogą w stronę lasu eukaliptusowego, uważając, by nie nadebrać na ślady pozostawione przez biegnącego człowieka.

Dolan schylił się, by zbadać jeden z nich.

- Krwawił. Na śladach prawej nogi jest krew. Zupełnie jakby wypełniła but i zaczęła się wylewać. Zobaczcie sami - powiedział do Shantza i do mnie.

Schyliliśmy się. Na odbiciu buta była grudka mazi powstałej z piasku i krwi, która z każdym następnym śladem stawała się coraz większa.

- Powiedziałeś, że słyszałeś dwa strzały, prawda? - Dolan spojrzał na mnie, jakbym jednak mimo wszystko miał jakiś promyczek nadziei. - Wygląda mi na to, że mamy do czynienia z podwójnym postrzeleniem.

- Sądę, że tak. Jeden postrzelił drugiego.

Idąc krwawymi śladami weszliśmy pod szarozielone eukaliptusy. Gołębie nie powróciły, ale wśród wierzchołków drzew panoszyły się gajówki pokrzewki. Przyłapałem się na pragnieniu, abyśmy wszyscy mogli żyć jak ptaki i poruszali się w przyrodzie nie niszcząc ani jej, ani siebie samych.

Obok głębokich śladów opon zobaczyliśmy kałużę krwi. Opisałem im Falcona i człowieka, który nim odjechał. Sierżant Shantz zrobił kilka notatek.

- Źle, że nie dostrzegłeś numeru rejestracyjnego - rzekł Dolan. - Trzeba sprowadzić ruchome laboratorium, zrobić parę odlewów i poszukać w wieży odcisków palców. Zadzwoń po nich, Shantzie, dobrze?

Sierżant poszedł do radiowozu, a Dolan oparł się o łuszczący się pień eukaliptusa i założył ręce. Wzrok miał ponury i pełen przejęcia jak u strzelca, który szykuje się do oddania strzału.

- Wiesz, że to poważna sprawa - rzekł spokojnie. - Po pierwsze, podwójne postrzelenie. A poza tym wiąże się z nazwiskiem Lennox. W ostatnich dniach to nazwisko występuje we wszystkich gazetach, a teraz zyska jeszcze większy rozgłos. Ta sprawa może zniszczyć niejedną reputację. Nie wyłączając mojej - dodał. - Spójrzmy prawdzie w oczy.

- Tak, sprawa jest poważna.

- Wiesz o tym dobrze. Lepiej niż ja. Kwestia w tym, Archer, kiedy ty wyzbędziesz się swoich oporów i powiesz mi, o co tu chodzi?

- Sam chciałbym wiedzieć.

- Nie mydl mi oczu. Chciałbym móc wiedzieć to co ty. Dziś rano wyciągnąłeś trupa z wody przed domem pani Sylwii Lennox. Sześć czy siedem godzin później zastaję cię na miejscu innego przestępstwa. Jak to wytłumaczyć?

- Po prostu takie szczęście. Skrzywił się i przygryzł wąsa.

- Chcę, żebyś mi odpowiadał poważnie. Czy wiedziałeś, że ta strzelanina ma się tutaj odbyć?

- Na pewno nie.

- Więc co cię tutaj sprowadziło?

- Jack Lennox przyjechał tu w prywatnej sprawie. Jego rodzina prosiła mnie, abym mu towarzyszył.

- W prywatnej sprawie do człowieka, który go postrzelił?

- Chyba tak.

- Jaki charakter miała ta sprawa?

Chętnie bym mu powiedział, ale zawahałem się. Jeżeli Laurel była w to wmieszana, chciałem spróbować ją ochronić. Jeżeli nawet była niewinną ofiarą, nie wyszłoby jej akurat w tym momencie na dobre rozdmuchiwanie całej sprawy.

- Nie mogę tego powiedzieć - odparłem.

- Nie możesz czy nie chcesz?

- Musiałbym najpierw omówić to z Lennoxami.

- To radzę ci, zrób to jak najszybciej. - Dolan patrzył w ziemię między nami. - Czy nie jest to przypadkiem jakiś szantaż?

- Nie.

- I nie ma nic wspólnego z trupem, którego wyciągnąłeś dziś rano z morza?

- Może ma. Ale wczoraj wieczorem widziałem dwóch mężczyzn siedzących razem w restauracji Blanche na nabrzeżu. Jednym z nich był ten stary, którego wyciągnąłem z morza dzisiaj rano. Myślę, że to po prostu przypadek, że znalazł się na plaży Sylwii Lennox.

- Możliwe - rzekł Dolan. - Przeleżał w wodzie osiem do dziesięciu godzin, a tam jest prąd płynący na południe, który mógł go przynieść. Mówisz, że widziałeś go z drugim na nabrzeżu?

- W restauracji Blanche, wczoraj wieczorem około siódmej. Ten drugi był

młody, około trzydziestki. Wzrostu ponad średniego, wyjątkowo szeroki w ramionach. Ciemne włosy i oczy. Ciemny golf.

Dolan odstepił od drzewa.

- Wygląda na tego, który odjechał Falconem... tego z krwią w bucie.

- Właśnie tak myślałem.

Rozdział dwudziesty drugi

Kluczyki były w stacyjce, więc wziąłem Cadillaka Lennox. Zamiast skręcić na północ do Pacific Point, zawróciłem na południe, do El Rancho, gdzie mieszkał jego ojciec.

Od ostatniego razu, kiedy tu byłem, zainstalowano u wjazdu do El Rancho bramę z elektronicznym zamkiem. Uzbrojony strażnik nie chciał mnie wpuścić, póki nie zadzwonił do domu Williama Lennox. Wyszedł ze swej budki z wyrazem szacunku na twarzy.

- W porządku, panie Archer. Pan Lennox prosi, żeby pan zaraz przyjeżdżał. Wie pan, jak tam trafić?

- Raczej nie.

Pokazał mi wielką mapę wiszącą na ścianie jego budki.

- Skręci pan w lewo na końcu pola golfowego i minie Szkołę River Valley. Potem skręci pan ostro w prawo, pod górę, i zobaczy skrzynkę na listy pana Lennox na wierzchołku.

Pojechałem zgodnie z jego wskazówkami zwracając szczególną uwagę na Szkołę River Valley. Tworzył ją szereg budynków z sekwojowego drewna, pomniejszych przez otaczające je wielkie dęby. Chociaż nigdy nie byłem w jej wnętrzu, szkoła ta wywołała we mnie pewne skojarzenia. Zarówno Laurel jak Elizabeth uczyły się tutaj. Zastanawiałem się, jak to jest, gdy człowiek rośnie tak w opiekuńczym cieniu tych ogromnych drzew.

Skrzynka na listy Williama Lennox była zrobiona z kamienia i przytwierdzona do kamiennego muru, który się ciągnął, jak okiem sięgnąć, w obie strony równoległe do brzegu. Za murem, po obu stronach alejki wiodącej do domu, pasły się konie. Wyglądały na wyścigowe, a jedna klacz zataczała nieregularne kręgi, najwyraźniej dla własnej przyjemności. Zatrzymała się niepewnie niedaleko muru, o jakieś trzydzieści metrów ode mnie.

Wtedy zobaczyłem kobietę stojącą za murem. Była w kostiumie do konnej jazdy i meksykańskim kapeluszu i trzymała w ręku wzniesiony w górę bat. Trzasnęła

batem w powietrzu. Klacz ruszyła do nowego okrążenia wyginając szyję w łuk, machając łbem jak młotem z boku na bok.

Wysiadłem z samochodu i podszedłem do kobiety.

- Ładna klacz.

Spojrzała na mnie chłodno sponad muru.

- Niezła.

Była niebrzydką kobietą zapewne tuż po czterdziestce, ale mocno trzymała się resztek zachowanej młodości. Jej talia ściśnięta szerokim kowbojskim pasem wydawała się tak cienka, że mógłbym ją chyba objąć dłońmi. Jednak spojrzenie ciemnych oczu świadczyło, iż lepiej było nie próbować.

- Nazywam się Archer. Chciałbym zobaczyć się z panem Lennoxem.

Jej głos nabrał ostrości.

- Czy on pana oczekuje?

- Tak.

- To pan jest tym detektywem? Odparłem, że tak. Spojrzała za mur na Cadillaka.

- Czy to samochód Jacka Lennox'a?

- Tak.

- A co mu się stało?

- Postrzelono go.

- Śmiertelnie?

- Nie wiem. Wątpię.

Patrzyła na mnie z tak kamiennym wyrazem twarzy, że nie wiedziałem, czy odczuła ulgę, czy rozczarowanie. Jej oczy złagodniały, gdy klacz przycwałowała do niej dudniąc o ziemię kopytami. Kobieta oparła bat o mur, pogłaskała klacz po nosie i odprawiła.

Następnie zwróciła się znów do mnie:

- Czy to ktoś z rodziny postrzelił Jacka?

- Nie.

Wyraz oczu stwardniał.

- Nie musi mi pan odpowiadać monosylabami. Nazywam się Hapgood i bardzo interesuję się tym, co zaszło. Staram się ochraniać mę... pana Lennox'a.

- Pani męża?

- To było przejęzyczenie - powiedziała. - Nie jesteśmy jeszcze po ślubie. Ale

ja traktuję swoje obowiązki poważnie. Niech pan wierzy lub nie, ale robię, co mogę, aby ta rodzina się nie rozleciała.

- Czemu?

- Bo tak chce William - odparła. - Więc co stało się Jackowi?

Opowiedziałem jej przez mur, gdy szliśmy do samochodu. Wydostała się przełazem na alejkę i wsiadła do Cadillaka na przednie siedzenie obok mnie.

- Jack zawsze był impulsywny i nieopanowany. On nie powinien był jechać z okupem.

- Wiem. Ale się uparł. I Laurel jest jego córką.

- Nieodrodną.

- Od dawna zna pani Laurel?

- Od bardzo dawna. Ale niech pan z łaski swojej mnie nie przesłuchuje.

- Wcale tego nie robię.

- Nie? A mnie się zdawało, że tak. Moja osoba nie stanowi ani części problemu, który pana pochłania.

- Więc może stanowi częśćkę rozwiązania. Odpowiedziała uśmiechem jak błysk noża z ukrycia.

- W gruncie rzeczy chyba tak. Wyjaśnijmy sobie jedną sprawę. Kocham Williama Lennox. I to jest więcej niż może pan powiedzieć o jego rodzinie, a znacznie więcej niż o jego żonie.

Jechałem długą alejką, która w pewnym punkcie była niemal zupełnie zatarasowana stojącym spychaczem. Wymanewrowałem jakoś Cadillakiem obok niego.

Dom stał na wzniesieniu nad plażą. Był piętrowy, biały, kryty czerwoną dachówką i miał chyba ze sześćdziesiąt metrów długości. Pani Hapgood zaprowadziła mnie do pokoju ze wspartym na dębowych belkach stropem, umeblowanego jak średniowieczne zamczysko krzesłami z wysokimi oparciami, masywnymi stołami i kanapami za dużymi na normalny ludzki użytek. Zostawiła mnie tam i poszła szukać Lennox.

Stałem przy jednym z wielkich okien i spojrzałem na ocean. Dzień był pogodny i widziałem niemal w połowie odległości od horyzontu stadko burzyków jak skrawek ciemnej gazy unoszącej się na błękitnej powierzchni. Ku północy kolor zmieniał się z błękitnego na brunatnawy i ocean wydawał się płaski i bezwładny. Plama ropy przesuwała się pod działaniem prądu podążającego od Pacific Point na

południe.

Do pokoju wszedł William Lennox z panią Hapgood. Nie dotykali się, nie szli nawet blisko siebie, a jednak zdawali się bardzo świadomi własnej obecności.

Poruszali się z jakąś dumą.

Lennox nie był tak wielkim mężczyzną jak jego syn, ale należał do ludzi, których się wszędzie dostrzega. Ubrany był w białą koszulę spiętą pod szyją spinką z zielonym kamieniem. Szedł wyprostowany, z dumnie uniesioną siwą głową, i przemierzył cały pokój z wyciągniętą na moje powitanie ręką.

Była to smukła i wąła ręka, poznaczona siecią wielkich sinych żył. Jego oczy spoglądały na mnie spośród zmarszczek jak dwa niebieskie światelka za zasłoną.

- Pan Archer? Jak się pan miewa? - Uścisk dłoni był mocny. - Mogę panu zaproponować coś do picia?

- Nie podczas pracy, dziękuję.

- Jest pan wielkim służbistą - rzekła sucho kobieta. Staruszek chrząknął.

- Connie mówi, że mój syn został postrzelony. Czy to ciężki postrzał?

- Kula otarła się o czołkę tuż nad uchem. Nie wygląda na to, że ją przebiła.

Natychmiast sprowadziłem karetkę, która go zawiozła do szpitala do Pacific Point.

Ten drugi został również trafiony, ale uciekł z pieniędzmi.

- Jack go postrzelił?

- Prawdopodobnie w nogę.

- Gdzie pan był, kiedy to się stało? - Mówił głosem spokojnym i

zrównoważonym, ale spojrzenie jego niebieskich oczu spoczywało na mojej twarzy z siłą niemal namacalną.

- Kilkaset metrów dalej na szosie. - Wyjaśniłem czemu. Lennox lekko poczerwieniał, a potem pobladł.

- Sprawa została spaprana. Nie winię o to pana, panie Archer. Winę za to żonę i jej głupiego adwokata. Powinienem być sam tam pojechać.

- I dać się zastrzelić? - powiedziała pani Hapgood.

- Strzeliłbym pierwszy. Rozwaliłbym mu łeb. Kobieta dotknęła jego ramienia przypominając mu, że nie powinien się denerwować. Wciągnął głęboko powietrze i odwrócił się. Poszedł w koniec pokoju, postął przez chwilę twarzą do ściany i wrócił do nas.

- Czy wezwano FBI?

- Nie.

- Dlaczego? Co robi Sylwia?

- Pewnie stara się ochronić wnuczkę.

- Ładne mi chronienie. - Obrzucił mnie palącym spojrzeniem zwięzonym oczu. - Pan ją do tego namówił?

- Byłem za tym, żeby nie włączać FBI do akcji. Do tej pory nie powiedziałem wszystkiego policji.

- Czemu?

- Nie denerwuj się, William - upomniała go Connie. - Usiądźmy i porozmawiajmy spokojnie.

- Wolę stać. Nie rozumiem - zwrócił się do mnie - jaki może pan mieć cel ukrywając wszystko przed policją oraz FBI?

- Nie wiem, czy miło będzie panu słyszeć, czym się powoduję.

- Przeciwnie, muszę się tego dowiedzieć.

- Więc dobrze. Mam mówić przy pani Hapgood?

- Oczywiście. Niech pan nie zawraca głowy.

- Zapewne nie mamy tu do czynienia z porwaniem w zwykłym sensie. Sprawa nie wygląda wcale na porwanie.

- A na co?

- Nie wiem. Ale dowiedziałem się wczoraj wieczorem, że Laurel była już raz w podobną sprawę zamieszana. Mając piętnaście czy szesnaście lat uciekła z chłopakiem do Las Vegas. Zażądali od rodziców Laurel okupu... zdaje się tysiąca dolarów. I najprawdopodobniej otrzymali te pieniądze.

Spojrzał na mnie z ukosa spośród sieci zmarszczek.

- Wiedziałem, oczywiście, że wtedy uciekła. Ale Jack nigdy mi nie mówił o żadnych pieniądzech.

- A pewnie - wtrąciła pani Hapgood. - Tym razem też nie miał zamiaru powiedzieć. Ale Sylwia nie mogła zebrać stu tysięcy, więc musieli ci powiedzieć.

Potrząsnął głową, opędzając się od jej słów jak od owadów.

- Nie wierzę, że Laurel mogłaby zrobić coś takiego. Nie jest oszustką. A gdyby potrzebowała pieniędzy, mogłaby przyjść do mnie.

- Ona się ciebie boi - powiedziała Connie. - Zawsze się bała, jeszcze od szkolnych czasów. I pamiętaj, że nie pierwszy raz płata takiego figla rodzinie.

- Nie wierzę w to.

Zwrócił się znów do mnie. Plecy miał teraz wyraźnie pochylone, a ręce

bezwładnie zwieszzone, jakby utracił nagle to, co sprawiało, że był opanowany i trzymał się prosto.

- Wiem, że Laurel miała problemy sercowe. Ale na pewno by mi nie kłamała i nie oszukiwała rodziny. Po prostu nie jest tego rodzaju dziewczyną. - Wydawało się, że jest bliski załamania i płaczu, potem jego żal przemienił się w gniew. - Do diabła, jeśli to nawet zrobiła, musiał ją ktoś do tego namówić. Jeżeli to jej mąż, rozwalę mu łeb. Jak on się nazywa? Russo?

- Tom Russo tego nie zrobił. - Ale gdy wypowiadałem te słowa, zdawałem sobie sprawę, że nie mam zupełnej pewności. Tom też miał swoje problemy. Jego sny a może również i jawę prześladowała śmierć.

Kobieta przypatrywała się pilnie Lennoxowi. Może zdała sobie sprawę, że była za surowa. Wbijając klina w rodzinę Lennoxów mimowolnie wbiła go również w Williama Lennox'a. Podeszła i objęła go ramieniem.

- Pora, żebyś odpoczął, William. Za dużo tego wszystkiego jak na jeden dzień.

- Nie mogę odpoczywać. Kto będzie doglądał spraw? - Mówił ze starczą gderliwością. - Wszystko się rozpada. Jack jest ranny, Laurel zaginęła i nasza nowa studnia wybuchła. A Sylwia tylko siedzi i się śmieje. Niechaj diabli wezmą Sylwię. I niech diabli wezmą Bena Somerville'a. Czemu ja ciągle muszę się otaczać pechowcami?

Kobieta wyprowadziła go za rękę z pokoju. Mijając mnie rzuciła mi szybkie, obiecujące spojrzenie, które kazało mi zaczekać na jej powrót.

Rozdział dwudziesty trzeci

Nie było jej długi czas. Kiedy wróciła, była przebrana w suknię i trzymała w ręku książkę.

- Dałam mu środek na uspokojenie - powiedziała - i skłoniłam, żeby się położył. Ta ponura rzeczywistość ciężko się na nim odbija. William żyje w świecie marzeń, zawsze żył. Przyjechał tu po pierwszej wojnie marząc, że założy imperium i dynastię, a na początek miał tylko kilka tysięcy dolarów, które zdołał zaoszczędzić, i trochę doświadczenia z pól naftowych w Pensylwanii. I urzeczywistnił to marzenie. - Objęła spojrzeniem pokój, który wyglądał na urzeczywistnione marzenie. - Teraz ono rozsypuje się dokoła niego, a on tego nie może znieść.

- Dostyc mocno powiedziała mu pani to o Laurel.

- Musiałam, bo inaczej będzie snuł o niej marzenia. Mężczyźni są tak nierealistyczni, gdy w grę wchodzi kobiety. Już od co najmniej piętnastu lat sprawa

jest jasna, że Laurel jest osobowością achizoidalną. Ale cała rodzina traktuje ją nadal jak osobę zupełnie normalną i jest oniemiała ze zdumienia, gdy okazuje się, że jest inaczej.

- Czy pani jest psychiatrą?

- Nie, nie jestem psychiatrą. - Ale obrzuciła mnie spojrzeniem, które znaczyło, że gdy sprawa dotyczy Laurel, ja też jestem marzycielem. - Studiowałam trochę psychologię i znam Laurel.

- Zna ją pani od piętnastu lat?

- Dłużej. Zaczęłam uczyć w Szkole River Valley osiemnaście lat temu. Znam Laurel od jedenastego czy dwunastego roku życia. Ona zawsze żyła we własnym świecie, niezbyt szczęśliwym świecie, gdzie się dzieją niezbyt miłe rzeczy.

- To się odnosi do bardzo wielu dzieci. Zazwyczaj jednak nie winimy ich za to.

- Ja też jej nie winię, na miłość boską. Staram się tylko wprowadzić w tę sytuację trochę realizmu. Kiepsko byśmy wszyscy na tym wyszli, gdyby Laurel zdobyła trochę pieniędzy lub miłości łamiąc serce dziadkowi. Mówię dosłownie. Jest dostatecznie stary, podatny na ciosy, a także dość ją kocha, aby go to mogło zabić.

- Wcale tego nie pragniemy - powiedziałem, myśląc o wcale nie błahych przyczynach, jakie miała ta kobieta, aby utrzymać go przy życiu.

Jej ciemne spojrzenie zgłębiało moją twarz.

- Ale pan nie traktuje mnie poważnie.

- Traktuję panią bardzo poważnie. I zawsze będę traktował - dodałem na wpół żartobliwie.

Uśmiechnęła się i nagle cały jej wygląd się zmienił, jak wygląd młodej dziewczyny, gdy coś poruszy jej uczucia.

- Więc pokażę panu coś, co może pana zainteresować.

Owo coś znajdowało się w książce, którą trzymała w dłoniach, wielkim cienkim tomie z tytułem „Rocznik River Valley” wydrukowanym na zielonej płóciennej oprawie. Otworzyła ten Rocznik na stojącym przy ścianie refektarzowym stole i przewracała stronicę, a ja patrzyłem zza jej ramienia.

Były tam opowiadania i wiersze uczniów River Valley, sprawozdania z rozgrywek piłki nożnej i dziewczęcego hokeja, klubu dyskusyjnego, odezwa dyrektora szkoły i rozkładówka z fotografiami nauczycieli. Wśród nich rozpoznałem samą Connie Hapgood, wówczas dwudziestokilkuletnią, ze zmierzwionymi włosami

oraz pogodnym i ujmującym wyrazem twarzy.

Zatrzymała się na chwilę przy swojej fotografii, jakby ją zaskoczyła ta dziewczyna, którą kiedyś była.

- Zapomniałam, że jestem w tej książce.
- Niewiele się pani zmieniła.
- Kłamczuch. To było piętnaście lat temu. Piętnaście długich lat.

Zdenerwowana obróciła kilka stron do miejsca, gdzie były fotografie uczniów kończących szkołę. Pod fotografiami były nazwiska uczniów i przewidywania co do ich przyszłości, najwyraźniej poczynione przez kolegów z klasy. Connie wskazała dość puciołowatego chłopca o niepewnym uśmiechu i ciemnych, gniewnych, też niepewnych oczach. Nazywał się Harold Sherry, a jego horoskop brzmiał: „Największy smakosz świata. Poważnie, gdy Harold odkryje siebie, będzie to jedno z większych odkryć!”

Connie przeczytała to głośno, w zamyśleniu, i dodała:

- Ciekawa jestem, czy Harold rzeczywiście kiedykolwiek odkrył siebie.
- Czy to ten Harold, który uciekł z Laurel do Las Vegas?
- Tak, to ten. Oczywiście wyrzucili go ze szkoły, nie licząc kary, jaką wyznaczył mu sąd, i chłopiec nigdy nie skończył nauki. Ale już było za późno, żeby wycofać z Rocznika jego fotografię i nazwisko.

- A co mu sąd zrobił?
- Oddał go pod nadzór sądowy na sześć lat.
- To dość surowa kara.

- Zgadza się. Ostatecznie nic wielkiego nie zrobił, tylko uciekł z dziewczyną, która uczyniła to aż nazbyt chętnie. Laurel mogła go sama nakłonić do tej podróży do Las Vegas. Ale nic jej nie zrobiono, ponieważ była dwa czy trzy lata młodsza od Harolda. A on jeszcze pogorszył sprawę. Uciekł spod nadzoru sądu, a wtedy schwytano go, sprowadzono z powrotem i umieszczono na jakiś czas w więzieniu. Ojciec wyrzekł się go, co mu wcale nie pomogło w sądzie.

- Kto jest jego ojcem?

- Roger Sherry. Był inżynierem i mieszkał w owym czasie tu, w El Rancho. Jego żona nadal mieszka. Pan Sherry i jego żona rozeszli się chyba z powodu Harolda. Ta drobna eskapada do Las Vegas stanowiła ostateczny kres rodziny.

Wziąłem książkę i podszedłem z nią do okna. Nie ukształtowana jeszcze w pełni twarz Harolda wydała mi się znajoma i stała się bardziej znajoma, gdy się jej

bliżej przyjrzałem. W tej nalanej twarzy, która była niczym maska, zdawało mi się, że dostrzegam rysy szerokiego w ramionach mężczyzny, którego widziałem wczoraj wieczorem w restauracji Blanche i tego popołudnia nad jeziorem Sandhill. Zarówno chłopiec jak mężczyzna mieli oczy gniewnego marzyciela.

Kobieta podeszła do mnie od tyłu tak blisko, że czułem jej oddech w nieruchomym powietrzu pokoju.

- Czy Harold jest wmieszany w tę awanturę?

- Niewykluczone.

- Może pan mówić szczerze - powiedziała. - Jestem po stronie Laurel, bez względu na to, co pan myśli. Ten rozłam w rodzinie nie jest moim dziełem.

- Przypuszczałem, że jest pani po jej stronie. Każdy rozsądny człowiek pragnąłby jej powrotu.

- Czy Harold i Laurel są razem, proszę pana?

- Nie wiem. Możliwe.

- Czy to znaczy, że porwanie... domniemane porwanie... jest fikcyjne, jak poprzednim razem?

- Niewykluczone - odparłem. - Ale wypadki nigdy się nie powtarzają w takiej samej formie, zwłaszcza gdy chodzi o przestępstwo. Zbyt wiele jest zmiennych wartości i świat zmienił się bardzo w ciągu ostatnich piętnastu lat. Jest dużo niebezpieczniejszy. Harold też.

- Czy to on postrzelił Jacka?

- Ktoś, kto był do niego podobny.

- Pan się asekuruje, prawda?

- Widziałem człowieka, który postrzelił Jacka, z bardzo daleka. Nie mogę być pewny jego tożsamości na podstawie fotografii sprzed piętnastu lat. - Zamknąłem książkę i zwróciłem jej.

- Nie chce pan wiedzieć, gdzie mieszka jego matka?

- To miało być moje następne pytanie.

- Jej dom stoi przy Lorenzo Drive. - Zaprowadziła mnie do frontowych drzwi i wskazała na drugą stronę doliny. - To różowy tynkowany dom stojący oddzielnie na wzgórku. Myślę, że biedaczka mieszka tam sama. Sporo tu samotnych kobiet. Wprowadzają się tutaj z mężami i myślą, że mężowie będą się wiecznie o nie troszczyć. Ale potem zawsze coś się zdarza i złudzenie pryska.

Jej głos był pełen uczucia - możliwe, że mówiła o sobie samej. Trudno było

poznać, czy to kobieta twarda, która ma chwile słabości, czy kobieta słaba, która chwilami potrafi być twarda. Niełatwo to powiedzieć o żadnej kobiecie.

Podziękowałem jej za trud i poszedłem do Cadillaka. Za kierownicą siedział William Lennox, niewidoczny od frontowych drzwi, przy których stała Connie Hapgood. Zmienił swój gogusiowaty strój na ciemne ubranie i homburg, w których wyglądał bardzo staro i jak ktoś wybierający się na pogrzeb.

Spojrzał na mnie zaczepnie, ale odniosłem wrażenie, że byle podmuch jest zdolny go powalić, a jakikolwiek cios, fizyczny lub duchowy, mógłby go zgruchotać.

- Niech mnie pan zawiezie do miasta - powiedział. - Ktoś musi pozbierać szczątki i wygląda na to, że wybór padł na mnie. Jack został wyłączony z gry, a Ben Somerville nie jest wart prochu, którym należałoby go wysadzić w powietrze. To urodzony pechowiec, zaczął od wysadzenia w powietrze swojego statku, a teraz kończy na wysadzaniu w powietrze mojej spółki naftowej.

Mówił trochę niewyraźnie i lekko sepleniąc, a przy tym jakby spieszył się, aby wypowiedzieć wszystko, nim zapomni, o czym myślał. Zastanawiałem się, czy to wpływ środka uspokajającego, czy zaszła w nim jakaś głęboka wewnętrzna przemiana.

- No, ruszajmy - ponaglił mnie. - Nie mam wiele czasu. Chcę zobaczyć swego syna. Czy ciężko jest ranny?

- Nie sędzę, proszę pana. Ale prawdopodobnie nie potrzebuje teraz żadnych gości. Niechaj pan lepiej zostanie z panią Hapgood.

- Ale trzeba podjąć różne decyzje.

- Może pan to zrobić tutaj. Poczzerwieniał.

- Jeżeli pan mnie nie zawiezie, pojedę sam. To samochód mego syna.

- Nie może pan jeździć sam.

Zdjął z głowy kapelusz i zgniół go kruchą, kościstą pięścią. - Niech mi pan nie mówi, co mam robić. Nie pozwolę na to. Niech pan wysiada, pojedę sam.

Słowa były gniewne i śmiałe, ale głos niepewny. Siwe włosy przywarły jak dym do pokrytej plamkami czaszki. Oczy poruszały się jak woda na wietrze.

Opanowała go niepewność starego człowieka, który jest za słaby, żeby jechać, a zarazem nie chce zostać.

Wydawał się zarówno zły i wdzięczny, kiedy do samochodu podeszła Connie i powiedziała:

- Pan Archer nie jedzie do miasta. Ma tu coś jeszcze do załatwienia. A ty i tak

musisz teraz odpocząć.

- Kto musi odpocząć?

- Ty musisz odpocząć. Ja zresztą też. My oboje. Chodź. William, inaczej sprowadzę doktora Langdale.

Jej głos brzmiał macierzyńsko i uwodzicielsko. Lennox wysiadł z samochodu i włożył zgnieciony homburg na głowę. Zaśmiała się i wcisnęła mu kapelusz na uszy. On również się roześmiał, zadowolony i mile połączony tym jej wybrykiem. Udali się razem w stronę domu, para źle dobranych komików, którzy robią dobrą minę do złej gry.

Jadąc w dół przez dolinę myślałem, że koniec końców w ich stosunku nie było nic fałszywego. Niewątpliwie zawarli z sobą pewien układ: że ona będzie o niego dbała do śmierci, a potem jego pieniądze będą dbały o nią aż do jej śmierci.

Rozdział dwudziesty czwarty

Różowy dom przy Lorenzo Drive miał lekko zaniedbany wygląd. Otaczające go krzewy i kwiaty były albo przerośnięte, albo obumarłe, a gdy zgasilem silnik Cadillaka, w powietrzu była jakaś pełna oczekiwania cisza.

Poszedłem na tył domu i zajrzałem do garażu. Stał w nim stary szary Mercedes, damski rower i mnóstwo narzędzi ogrodniczych. Nie było zielonego Falcona. Ani krwawych śladów stóp.

Przeszedłem znów na front domu i zapukałem do drzwi. Długo czekałem na panią Sherry. Wreszcie usłyszałem wewnątrz jej ciche kroki. Obrócił się klucz w zamku, uchyliły się zabezpieczone łańcuchem drzwi.

Była przekwitłą kobietą i osłaniała oczy od światła, jakby spędziła cały dzień pogrążona w mroku.

- Czego pan chce?

- Porozmawiać z panią kilka minut.

- Kto pan jest?

- Jestem prywatnym detektywem. - Powiedziałem jej, jak się nazywam.

- Czy chodzi o Harolda?

- Raczej tak. Czy mogę wejść, proszę pani?

- Nie widzę w tym wielkiego sensu. Harold już tu nie mieszka. Nasze drogi dawno się rozeszły. - Mówiła jak kobieta, która zerwała nieszczęśliwy romans albo z trudem wykaraskała się z jakiejś choroby.

- Ale wyciągnęła pani wniosek, że przychodzę tutaj w jego sprawie.

- Tak? - wydawała się szczerze zaskoczona. - Pan się musiał pomylić. Nie miałam pojęcia, po co pan tu przyszedł.

- Chciałbym o tym z panią porozmawiać. Czy mogę wejść?

Wahała się. Wokół jej ust i oczu wystąpiły zmarszczki. Pani Sherry jakby zbierała odwagę, aby zamknąć mi przed nosem drzwi.

- Harold jest, zdaje się, ranny.

Spadło to na nią jak grom z jasnego nieba. Domyślałem się, że otrzymała takich ciosów sporo i nauczyła się robić moralne uniki. Jeśli się schronić przed ludzkim wzrokiem głęboko w siebie, wówczas można się ocalić przed całkowitym zniszczeniem. Ale wtedy grozi człowiekowi od tych wewnętrznych mroków ślepotą.

Odczepiła niezdarnie łańcuch i otworzyła drzwi.

- Niech pan wejdzie i powie mi o tym. - Wstrzymała się z decydującym pytaniem, póki nie usiedliśmy naprzeciwko siebie w mrocznym nieprzytulnym saloniku. - Czy Haroldowi grozi śmierć?

- Chyba nie.

- Gdzie on jest?

- Tego nie wiem. Dziś po południu widziałem młodego człowieka, który wyglądał jak on, nad jeziorem Sandhill. Odjechał zielonym Falconem.

- To musiał być ktoś inny. Mój syn nie ma takiego samochodu. W ogóle nie ma samochodu.

- Skąd pani wie, skoro nie ma pani z nim kontaktu?

- Nie powiedziałam tego. Harold odzywa się czasem do mnie. - I dodała z nieoczekiwaną ostrością: - Gdy chce czegoś ode mnie.

- Czy odezwał się dzisiaj?

- Wczoraj.

- A czego chciał?

- Pożyczyć mój samochód. Odmówiłam. - Spoglądała na mnie z rozpaczliwą nadzieją, jakby ta odmowa mogła ją uwolnić od dalszego bólu.

- Po co był mu potrzebny samochód?

- Nie mówił. Ale widziałam, że coś się kroi.

- A to w jaki sposób?

- Znam swego syna. Był podniecony, jakby znów wpadł mu do głowy jakiś wspaniały pomysł.

Jeszcze jednego fikcyjnego porwania? O mało tego nie powiedziałem na głos,

ale ugryzłem się w język. Świat, nie wyłączając mnie, wywierał na nią już i tak za wielki nacisk. Nie chciałem jej głęboko ranić, nie chciałem jej stracić. Pozostawał jeszcze problem ustalenia tożsamości i nadzieja, że to nie ten człowiek i nie ta matka.

Zdobyła się na odwagę, aby zapytać:

- A co się stało nad jeziorem Sandhill? Mój mąż... ojciec Harolda jeździł tam strzelać kaczki.

- Dzisiaj tam też strzelano. Postrzeliło się dwu ludzi. Jej ręka uniosła się do gardła, jakby chcąc powstrzymać pytanie, które mimo to zostało wypowiedziane.

- Harold też kogoś postrzelił?

- Chyba tak. Ale zanim powiem coś więcej, chciałbym zobaczyć jego fotografię.

Rozpogodziła się.

- To znaczy, że nie jest pan absolutnie pewien, że to był Harold?

- Tak. Czy ma pani jego ostatnie zdjęcie?

- Sprzed paru lat. Jest w mojej sypialni.

Poszła po nią drżąc z nadziei i niosła ją jak bombę do rozbrojenia - małą fotografię zatroskanego młodzieńca, który stracił na wadze i zyskał kilka lat od czasu, gdy go sfotografowano do Rocznika Szkoły River Valley. Był to bezsprzecznie ten sam człowiek, którego widziałem w restauracji u Blanche i prawie na pewno ten, który urządził zasadzkę na Jacka Lennox'a w wieży obserwacyjnej nad jeziorem Sandhill.

- Jednak to on. - Położyłem fotografię na stoliku.

- Kogo postrzelił?

- Jacka Lennox'a.

Życie odpłynęło z jej twarzy pozostawiając w niej pustkę. Opadła na fotel obracając się na bok i zakrywając twarz dłońmi.

- A więc wszystko zaczyna się do nowa.

- Nie wiem, co pani ma na myśli.

- Te straszne kłopoty z rodziną Lennoxów. Harold był młodym chłopcem, kiedy się zaczęły. Wcale nie był takim przestępcą, jakiego z niego robiono. Był zbyt rozwinięty fizycznie jak na swoje lata, to cała przyczyna. Chciał się ożenić z Laurel. Dlatego pojechali do Las Vegas... bo myśleli, że jakiś duchowny da im ślub. Ale zabrakło im pieniędzy i Laurel wpadła na pomysł, by udać przed rodzicami, że ją porwano. To był pomysł Laurel, ale cała wina spadła na Harolda. Jej ojciec pojechał

do Las Vegas, odnalazł ich, sprawił mojemu synowi straszliwe lanie i wtrącił go do więzienia. Harold miał wtedy zaledwie, osiemnaście lat i dotąd nie zdołał wyzbyć się powstałego w nim urazu. Mam lekarzy, którzy są gotowi przysiąc to przed sądem. Wszyscy w mojej rodzinie i rodzinie jego ojca mają pokończone uniwersytety, a Harold nie wrócił już do szkoły. - Siedziała mrugając powiekami, jakby przebywszy mroczny szlak wspomnień wróciła do terażniejszości. - Gdzie teraz jest Harold?

- Chciałbym to wiedzieć.

- Ale mówił pan, że jest ranny.

- Odszedł o własnych siłach. Jack Lennox odjechał karetką.

- Czy pan Lennox jest ciężko ranny?

- Nie wiem. Ma ranę głowy. Mnie ona się wydała dosyć powierzchowna, ale nie jestem lekarzem.

- Czy Laurel jest też w to wmieszana?

- Tak, proszę pani. Laurel znowu została porwana. Pani syn spotkał się nad jeziorem z jej ojcem, aby odebrać okup. Stawka znacznie wzrosła od tamtego czasu, w Las Vegas. Tym razem wynosi sto tysięcy dolarów.

- Harold żąda od rodziny Lennoxów aż tyle pieniędzy?

- Nie tylko żąda. Już je wziął. Dostarczył mu ich Jack Lennox dzisiaj po południu nad jeziorem Sandhill. Pani syn i Jack Lennox postrzelili się nawzajem.

Potrząsnęła głową w podnieceniu.

- Obym nigdy nie urodziła syna. - Ale gdy usłyszała własne słowa, nie mogła znieść chłodu samotności. - Laurel go do tego namówiła. Niech pan pamięta, tak było za pierwszym razem.

- Może. Ale to było bardzo dawno i ludzie się zmieniają. Tym razem to poważna sprawa.

- Sądzi pan, że on porwał Laurel?

- Twierdził, że tak. Wziął pieniądze od jej ojca.

- I pan chce odzyskać te pieniądze?

- Chcę odzyskać Laurel. Nie zależy mi na tych pieniądzach. Nikomu nie zależy. Gdyby pani zdołała to jakoś przekazać Haroldowi...

- Nie mam pojęcia, jak to zrobić. - Ale patrzyła na mnie wzrokiem agenta, który jest gotów służyć wszystkimi posiadanymi informacjami.

- Mówiła pani, że dzwonił wczoraj.

- Tak. Chciał pożyczyć samochód.

- A skąd dzwonił?
- Nie powiedział.
- Czy to była rozmowa międzymiastowa?

- Naprawdę nie wiem. Trwała zaledwie minutę. Kiedy powiedziałam, że nie pożyczę mu samochodu, rozzłościł się i odłożył słuchawkę. - Skurcz bólu przeszedł przez jej twarz, jakby trzask odkładanej słuchawki znów dobiegł jej uszu. - Ale cieszę się, że mu nie pożyczyłam.

- Wiedziała pani, że coś się kroi? - Właściwie nic nie wiedziałam. Ale wydał mi się jakiś podniecony... tym podnieceniem, któremu nauczyłam się nie ufać. Mój syn jest bardzo dziecinny i bardzo łatwo wpada w podniecenie.

- Ma chyba co najmniej trzydzieści lat?

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem, jakby ostatecznie dziesięć czy piętnaście lat przeszło jej jakoś niepostrzeżenie. Jej usta poruszyły się rachując.

- Trzydzieści trzy.
- To znaczy, że nie jest dzieckiem. Z czego on żyje?

- Trochę mu pomagam. I oczywiście miał się najrozmaitszych zajęć. Jedno, co można o nim powiedzieć, to że nie jest leniem.

- Jakich zajęć?
- Ostatnio był pomocnikiem kelnera, czekając, aż się trafi coś lepszego.

- Gdzie on mieszka, proszę pani?

- Nie wiem. Gdzieś na wybrzeżu.

- To długie wybrzeże - powiedziałem. - Od San Diego do Isla Vis ta.

- Kiedyś nawet mieszkał w Isla Vista. Ale wrócił do Los Angeles. Nie wiem, gdzie teraz mieszka. Nie powiedział, mi. Traktuje mnie jak wroga, z wyjątkiem chwil, kiedy mu czegoś ode mnie trzeba.

- Ma jakieś przyjaciółki?

- Tak, ma przyjaciółkę. Wspomniał o niej podczas ostatniej naszej rozmowy. Ale nigdy jej nie widziałam. Myślę, że Harold się jej wstydzi.

- Czemu pani tak sądzi?

- Nie chciał odpowiedzieć na żadne pytanie odnośnie jej osoby. Może jest zamężna.

- Laurel jest zamężna. Czy Harold widywał Laurel? Nie odpowiedziała od razu.

- Czy Harold widział się ostatnio z Laurel? - powtórzyłem.

- Tak. Najwidoczniej spotkał ją w Los Angeles i zaprosił go do domu. Ostrzegałam go, żeby się więcej z nią nie widywał. Ona zawsze miała na niego okropny wpływ.

- Skąd pani wie, że zaprosił go do swojego domu?

- Mówił mi.

- Wczoraj?

- Jakiś tydzień lub dwa temu.

- Więc jest z nim pani w dość stałym kontakcie?

- Przychodzi do mnie po pieniądze. Ale ostatnio nie mogłam mu wiele dawać. Te trochę, które miałam, włożyłam w interes, a dochody z niego nie są już takie jak niegdyś.

- Az jakim uczuciem wspominał o Laurel?

- Wdzięczności - odparła z leciutką pogardą. - Wdzięczności, że zaprosił go na kolację. Mówiłam mu, że powinien mieć więcej dumy po tym, co jej rodzina mu zrobiła. Mówiłam mu, że się poniża przyjmując cokolwiek od Laurel Lennox.

- A jaka była jego reakcja?

- Nie wiem. Nie odpowiedział mi wprost. Ale wiem, że dałam mu tym do myślenia.

Siedziała w milczeniu próbując zrozumieć własne życie. Zdawało się, że się wije z bólu. Odniosłam wrażenie, że między nią a jej synem była niemal fizyczna łączność. rozciągająca się jak pępowina od niej aż do miejsca, gdzie zostawiał swoje krwawe ślady.

- Nie wiem, co się stanie - powiedziała.

- Ja też nie wiem. Wolałbym myśleć, że najgorsze jest za nami.

Przyjęła to za optymistyczną uwagę.

- Tak. Na pewno tak. I jestem pewna, że on... że nic

Laurel się nie stało.

- Muszę ją odnaleźć, zanim cokolwiek się stanie. Gdzie mam jej szukać, proszę pani?

- Nie wiem.

- Nie dawał pani nigdy żadnego adresu, numeru telefonu?

- Dawał. Ale wciąż się przeprowadzał. Zdaje się, że w ostatnim tygodniu znów się przeprowadził.

- Już po zaproszeniu przez Laurel na kolację? Zastanowiła się nad moim

pytaniem.

- Tak.

- A jaki był jego poprzedni adres?

- Mieszkał gdzieś na Long Beach... nie wiem dokładnie gdzie. Sądzę, że u jakiejś kobiety.

- Skąd pani wie?

- Bo jego stosunek do mnie się zmienił - odparła.

- Zawsze w takich wypadkach staje się dużo bardziej niezależny. Ale to nigdy nie trwa długo.

- Czy mówił coś o tej kobiecie?

- Nie.

- A gdzie mógłby się udać, aby mu opatrzone ranę?

- Naprawdę nie wiem.

- Czy ma stałego lekarza?

- Miał. Prosiłam go, aby przysłał mi rachunki Harolda. Były niewygórowane. Nazywa się doktor Lawrence Brokaw. - Wstała z nagłym postanowieniem. - Zobaczę, może znajdę panu jego adres.

Po chwili wróciła niosąc karteczkę z notesu z niebieskim strzępionym brzeżkiem, na której wypisała mi adres gabinetu doktora Lawrence'a Brokawa w Long Beach.

Jej pismo było drobne i eleganckie. Stała obok mnie zdenerwowana, kiedy czytałem adres.

- Czy będzie pan musiał powiedzieć o tym doktorowi?

- O czym?

- O porwaniu... domniemanym porwaniu. Jestem pewna, że to był pomysł Laurel. Nie chcę, aby imię mego syna miało być znów szargane.

Próbowała się uśmiechnąć, ale była tak pełna napięcia, że dosłownie dygotała. Złożyłem otrzymaną od niej karteczkę i schowałem do kieszeni.

- Popelniono przestępstwo, być może nawet morderstwo. Zaginęła młoda kobieta. Pani syn podjął za nią okup i jest ranny. A pani martwi się tylko o to, żeby nie było rozgłosu.

- Martwię się o wiele więcej rzeczy. Ale wiem, do czego może doprowadzić chłopca i jego rodzinę zła sława... widziałam to na własne oczy. Harold nigdy nie przyszedł po tym do siebie ani ja.

- A co stało się z ojcem Harolda?

- Pracował jako inżynier w Spółce Lennox. Naturalnie stracił pracę i miał trudności ze znalezieniem nowej. Ostatnio słyszałam, że mieszka gdzieś w Teksasie, nad Zatoką Meksykańską. Z kobietą - dodała z goryczą.

- Jesteście państwo rozwiedzeni?

- Tak, rozwiodłam się z Rogerem. Wyrzekł się własnego syna. - Chwilę milczała. - Roger musi być już dość stary. Jest o kilka lat starszy ode mnie. A ja nie jestem młoda.

- Wszyscy się starzejemy. Kiedy wczoraj widziałem Harolda w Pacific Point, był w towarzystwie drobnego staruszka w tweedowym ubraniu. Człowiek ten był łyсы. Wyglądał na poparzonego, bo miał blizny na czaszce i twarzy.

Skrzywiła się.

- Jakiś okropny człowiek.

- Nie, nie. Po prostu staruszek, który już przeżył swoje najlepsze dni. Widziała go pani kiedyś z Haroldem?

- Nie.

- A może domyśla się pani, kto to mógł być?

- Nie mam pojęcia. Z pewnością nie ojciec Harolda, jeżeli to ma pan na myśli. Roger jest wielkim mężczyzną z bujną czupryną i bez żadnych blizn. A w każdym razie nie pokazałby się w miejscu publicznym z Haroldem.

Przed wyjściem poprosiłem ją o fotografię Harolda spodziewając się, że odmówi. Ale pozwoliła mi ją wziąć. Sądzę, że zdała sobie sprawę, że Harold musi być odnaleziony, a ja prędzej niż ktokolwiek inny mogę sprowadzić go żywego.

Rozdział dwudziesty piąty

Kiedy mijałem w drodze na północ jezioro Sandhill, aż się roilo tam od mundurów. Wyglądało to jak doroczny piknik Dobroczyнного Stowarzyszenia Służby Policyjnej. Nie zatrzymałem się. W przeciwnym razie musiałbym im opowiedzieć o Haroldzie Sherrym.

Pojechałem wprost na Seahorse Lane i zastałem Elizabeth samą w domu, który wydawał się pusty. Powitała mnie dość chłodno i zaprowadziła w milczeniu do frontowego pokoju. Jego okna były teraz zbryzgane ropą. Zobaczyłem przez nie, że po odpływie plaża zrobiła się czarna i połyskliwa, jakby ją okryto czarną ceratą.

- Gdzie byłeś? - W jej tonie dało się wyczuć oskarżenie.

- W El Rancho.

- Wybrałeś sobie dziwną porę, żeby tam pojechać.
- Opłaciło mi się, chociaż nie tak, jak się spodziewałem. Czy jest twoja matka?
- W swoim pokoju. Jest bardzo zdenerwowana.
- Jackiem?
- To był dla niej naturalnie duży cios. A teraz jeszcze znikł Tony Lashman. Zaczynam się zastanawiać, czy on przypadkiem nie jest wmieszany w sprawę Laurel. Mama z pewnością myśli tak samo.

- W jaki sposób mógł zniknąć?
- Najwidoczniej poszedł wzdłuż plaży. Nie ma samochodu.
- A gdzie są pozostali?
- Mój mąż zawiózł Marion do szpitala, żeby czuwała nad Jackiem.
- A jak się ma twój brat?
- Wiem tylko tyle, że nie umrze od tej rany. - Obrzuciła mnie długim spojrzeniem. - Nie rozumiem, co robiłeś, kiedy do niego strzelano.

Gniew zabrzmiał teraz w jej głosie wyraźnie. Wydawał się zwrócony przeciw całemu światu i mnie jako jego przedstawicielowi. Zmiana, jaką w niej wyczułem, prawdopodobnie była odzwierciedleniem zmiany w całej jej rodzinie. Jedno z nich zostało porwane, drugie ranione, więc czuli się zagrożeni.

- Widziałem to, co się stało nad jeziorem tylko z daleka. - Wytłumaczyłem, jak to było. - Nie byłem świadkiem, jak do twojego brata strzelano, ale jestem prawie pewien, kto to zrobił. - Wyjąłem z wewnętrznej kieszeni zdjęcie Harolda. - Poznajesz go?

Przysunęła fotografię do zamazanego okna.

- To Harold Sherry, prawda?
- Tak.
- Wiedziałaś, że on do czegoś zmierza. Przyszedł do mego domu w Bel-Air i strasznie dużo gadał.
- Kiedy to było?
- W zeszłym tygodniu.
- A co gadał?
- Wolalabym nie mówić.
- A ja wolałabym w ogóle tu nie być. Wypowiedziawszy te słowa zdałem sobie sprawę, że jestem teraz na nią zły. Byliśmy z sobą poprzedniego wieczoru na bardzo

zażyłej stopie, nie tylko w sensie fizycznym. Ale ten ranek i popołudnie rozdzieliły nas i winiliśmy siebie wzajem za to oddalenie.

- Nikt cię tu nie zatrzymuje - powiedziała.

- Nie o to mi chodzi.

- A mnie o to. Usiadłem naprzeciwko niej.

- Jesteśmy oboje zdenerwowani. Oboje chcemy odzyskać Laurel. To jest najważniejsze, prawda?

Wciągnęła głęboko powietrze.

- Chyba masz rację. Ale gdzie ona jest?

- Jestem prawie pewien, że Harold to wie.

- A gdzie jest Harold?

- Oto jest pytanie. Może w tym, co ci mówił, kryje się na nie odpowiedź.

Usiadła wpatrując się badawczo w fotografię, jakby to było lustro, w którym dojrzała, że utraciła swój dawny wygląd.

- Czy Harold miał zwyczaj cię odwiedzać? - spytałem.

- Ależ skąd. Nie widziałam go od lat. Nawet go nie poznałam, póki mi nie powiedział, kim jest. Stał się dużo przystojniejszy, niż był jako nastolatek. Ale chyba jest tym samym dawnym Haroldem.

- Możesz to sprecyzować?

- Udał, że przyszedł z przyjacielską wizytą, żeby użyć - I skać moje przebaczenie za to, co się kiedyś stało, czy coś i w tym rodzaju. Widział się już z Laurel i ona mu wybaczyła, przynajmniej tak twierdził. Ale jestem pewna, że nie; przyszedł do mnie w przyjaznych zamiarach. - Urwała i jej twarz stała się pochmurna na wspomnienie tej rozmowy. - Odniosłam wrażenie, że stara się wywęszyć sekrety rodzinne.

- Jakie sekrety?

- Jeden z nich znasz - powiedziała unikając mego wzroku. - Nie powinnam ci była wczoraj wieczorem mówić tego o Benie i młodej kobiecie, która przysłała z synkiem do naszego domu. Proszę cię, nie mów tego nikomu.

- Wcale nie zamierzam. Czy to jedna z tych rzeczy, którą Harold się interesował?

- Tak. Ale on to poplątał. Harold Sherry należy do ludzi, którzy zawsze wszystko płaczą. On myślał, że to Jack był kochankiem tej kobiety. - Uśmiechnęła się mgliście. - Chciałabym, żeby tak było.

- A jesteś pewna, że nie było?

- Absolutnie pewna. Jack był jeszcze na Wschodzie, w Szkole Łączności Marynarki Stanów Zjednoczonych, kiedy ta kobieta przyjechała do mnie do Bel-Air. I mówiła zdecydowanie o Benie.

- Czy Harold mówił ci, skąd uzyskał tę informację?

- Kontaktował się uprzednio z Laurel, jak wspomniałam. Ale trudno sobie wyobrazić, aby Laurel mówiła coś podobnego o własnym ojcu. Być może Harold usłyszał tę historię od kogoś innego i po prostu ją przekręcił. Harold nienawidzi Jacka, jak wiesz.

- To oczywiste. Bardziej interesuje mnie, co miał do powiedzenia o Laurel. Siedziała chwilę w milczeniu. Słyszałem, jak za oknem fale głucho odmierzają czas.

- Powiedział, że znów są przyjaciółmi. Był u niej na kolacji i polubił jej męża.

- Czy sądzisz, że mówił szczerze?

- Trudno powiedzieć. Taki człowiek jak Harold nie bywa nigdy całkowicie szczerzy. Za mało ma sympatii dla samego siebie, aby ją żywić dla kogokolwiek. I zawsze myśli o kilku rzeczach na raz.

- Na przykład jakich?

.- Nigdy mi o nich nie mówił... przynajmniej nie wprost. Ale wyobrażam sobie, jakie to muszą być rzeczy. Szantaż i oszustwo, i co tylko się da. To bardzo powikłana osobowość.

- Wiem. Ale staram się dowiedzieć jednego. Czy tym razem Harold rzeczywiście porwał Laurel, jak twierdzi. Czy też uciekli oboje i zażądali pieniędzy od rodziców?

- Nie mogę po prostu uwierzyć, że Laurel zrobiłaby coś podobnego.

- Przecież już raz zrobiła.

- Kiedy miała piętnaście lat. Zmieniła się od tamtej pory. Jest pełna dobrej woli. Bardzo stara się być dobra. Zawsze była bardziej ofiarą prześladowań niż prześladowczynią.

Znowu wróciliśmy do zagadki Laurel.

- Być może - powiedziałem - to nieważne, czy jest świadomie jednym, czy drugim. O tej różnicy stanowi sam Harold. Może wywierać na nią jakiś urok sięgający jeszcze czasów szkolnych. Widywałem to u innych dziewcząt, zwłaszcza tych, które nie żyją w zgodzie z rodzicami.

- Rozumiem, o co ci chodzi. - i dodała w zamyśleniu: - Jack bywa bardzo trudny do zniesienia.

- Powiedz mi jedno. Czy Harold Sherry mówił będąc u ciebie w domu, gdzie mieszka? Albo podał numer telefonu, pod którym można się z nim kontaktować?

Zastanowiła się nad pytaniem.

- Nie, nie mówił.

- A czym przyjechał?

- Starym zielonym samochodziem.

W pokoju był telefon i skorzystałem z mego, aby zadzwonić do doktora Lawrence'a Brokawa do Long Beach. Kobieta, która podniosła słuchawkę, powiedziała, że doktor jest zajęty. Jeśli zostawię swoje nazwisko i numer telefonu, doktor zadzwoni do mnie później.

Podczas tej rozmowy do pokoju weszła Sylwia Lennox. Spojrzała mi w oczy, jakby się bała tego, co w nich wyczyta.

- Co się stało z moim synem, proszę pana?

- Jest ranny przez człowieka, który się nazywa Harold Sherry. - Teraz już byłem tego pewien.

- Ale posłałam pana, żeby go pan strzegł.

- Niestety, to było ponad moje siły. Chciał się zająć sprawą sam.

Zdawało się, że nie słyszy moich słów. Miotła się wśród nawału trosk jak ptak niezdolny do lotu.

- A teraz na dodatek Tony Lashman mnie opuścił. Jak pan myśli, co mogło się z nim stać?

- Nie wiem. Kiedy go pani ostatni raz widziała?

- Dziś rano, kiedy musiałam go przywołać do porządku. Chodziła nerwowo pomiędzy córką, mną a oknem. Jej szczupła, pomarszczona twarz wydawała się jakaś łagodniejsza i bardziej bezkształtna, jak gdyby ciosy, które na nią spadły, były natury fizycznej. Cieniutkim, żalonym głosem, wstrząsanym przyływami furii, powiedziała:

- Przez całe życie usiłowałam robić, co do mnie należy, i oto, do czego mnie to doprowadziło. Mój jedyny syn jest ranny. Moja plaża jest cała zapaskudzona. Moja wnuczka zaginęła. A Tony odszedł bez jednego słowa. - Odwróciła się od okna z rozszerzonymi oczyma, w których odbijała się ta ponura sceneria. - Wszystkiemu winni są mężczyźni.

- Jacy mężczyźni, mamó?

- Wszyscy mężczyźni. Całe swoje życie siedziałam i przyglądałam się ich poczynaniom. Jak chcą kobiety, to sobie ją biorą. William tak postąpił. A Ben zrobił studnię wiertniczą, gdzie nie powinno być żadnej studni wiertniczej. I spójrz, co zrobił z moją plażą. A Jack jest ranny. Chcę go zobaczyć.

Elizabeth objęła matkę ramieniem.

- Zostań tutaj ze mną. Nie będzie ci się podobało w tym szpitalu, mamó.

- Tu też mi się nie podoba. - Zwróciła się w moją stronę i powiedziała już rozsądniejszym tonem: - Mówi pan, że to Harold Sherry zranił mego syna?

- Tak.

- Ostrzegalam Jacka, żeby dał spokój temu chłopcu. Mówiłam, że gdy dziewczyna ucieka z chłopakiem, nie zawsze można całą winę przypisywać chłopcu. Ale Jack postanowił go zniszczyć. Nie dopuścił, aby sąd potraktował go jako młodocianego, a William użył wszelkich wpływów, żeby chłopaka wsadzono do więzienia. A on teraz się mści. - Zadrżała i pokiwała głową. - Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Umywam ręce. Niechaj mężczyźni się tym zajmą. Sami są sobie winni.

Odwróciła się i wyszła niepewnym krokiem z pokoju. Ugięła się pod ciężarem przeżyć tego dnia, a wiek dokonał reszty.

- Matka zawsze tak uważała - wyjaśniła Elizabeth. - Nigdy nie powiedziała tego wyraźnie, ale taka była od początku do końca jej filozofia małżeństwa. Niech sobie mężczyźni wezmą na swoje barki całą odpowiedzialność i popełniają błędy. A wtedy kobiety będą mogły usiąść i czuć swoją wyższość. Nie jest to zbyt dobry rodzaj niewinności.

- Każdy rodzaj niewinności jest lepszy od żadnego.

- Kiedyś tak myślałam. A teraz zaczynam wątpić. Trzeba tę niewinność na coś spożytkować. Nie można jej po prostu trzymać w szufladzie ze ślubną wyprawą.

Mówiła cicho i bardzo intymnym tonem. Mówiła nie tylko o matce, ale i o sobie, i brzmiało to dość naiwnie jak na jej wiek.

- Co cię dręczy, Beth?

Uniosła głowę na dźwięk swego imienia.

- Nie to, o czym myślisz. Fakt faktem, że byłam bardzo niedobra dla męża... od tej rozmowy z Haroldem Sherry. Byłam okropnie oburzona na ową młodą kobietę, kimkolwiek byja, i odgrywałam się za nią na Benie, jak tylko mogłam. Ciekawa jestem, czy miał chociaż trochę spokoju... szansę, aby móc pomyśleć... i czy nie

przyczynił się do tego, że popełnił błąd, który spowodował wybuch ropy.

- A więc odwracasz filozofię matki - powiedziałem - i dopatrujesz się własnej winy.

- Bo jestem winna. Jestem w tym samym stopniu odpowiedzialna za to, co Ben.

- A skąd wiesz, że on jest za to odpowiedzialny?

- Bo mi mówił. Pozwolił na wiercenie tej studni bez odpowiedniego zabezpieczenia, a kiedy zauważono pierwsze oznaki niebezpieczeństwa wybuchu, kazał wiercić dalej.

- To jego błąd w ocenie sytuacji. Nie możesz twierdzić, że jesteś za to odpowiedzialna.

- A jednak częściowo jestem.

- Raczej chcesz się uważać za odpowiedzialną.

- Chcę i jestem.

Obok mnie zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Mówi Archer.

- Tu doktor Brokaw. Pan do mnie dzwonił? - Głos był młody, trochę świszczący.

- Tak. Chodzi o jednego z pacjentów pana.

- Którego?

- Harolda Sherry. Jest w opałach. Nastąpiła długa cisza.

- Bardzo mi przykro. Czy to coś poważnego?

- Tak. Jest ścigany za porwanie. Otrzymał ranę z broni palnej i gdzieś się ukrywa. Myślałem, że przyszedł do pana.

- Nie przyszedł. Czy jest pan policjantem?

- Prywatnym detektywem. Ma pan adres Harolda?

- Być może.

- Poda mi go pan?

Znów nastąpiła cisza, przerywana jego oddechem.

- Przepraszam, ale nie wolno mi podawać adresów pacjentów przez telefon.

- Nawet w przypadku uprowadzenia młodej kobiety?

- Przedstawił mi się pan jako prywatny detektyw. Jeśli, jak pan mówi, mój pacjent uprowadził jakąś kobietę, czemu nie zwróciła się do mnie policja?

- Bo tylko ja mam nazwisko pana. Otrzymałem je od matki Harolda. Jeśli pan

chce, abym je podał policji...

- Nie. Zaraz. Gdzie pan jest?

- W Pacific Point.

- Może pan przyjść do mojego gabinetu? Skończę z... z moimi pacjentami o wpół do szóstej. A wtedy będziemy mogli porozmawiać o Haroldzie. - Odłożył słuchawkę.

Elizabeth podeszła do mnie i stała z zaciśniętymi pięściami.

- Nie chce pomóc?

- Chyba pomoże.

- Jeżeli to miejscowy lekarz, moja rodzina może wywrzeć na niego nacisk.

- Nie miejscowy. Ma praktykę w Long Beach. Prawdopodobnie lepiej sam sobie z nim poradzę.

Jej gniew skupił się znowu na mnie.

- Jesteś bardzo pewny siebie, prawda? Zbyt pewny siebie, zważywszy, że nie udało ci się uchronić od ni szczęścia mego brata.

- Jedyne sposob, w jaki mógłbym uchronić od nieszczęścia twego brata, to przez założenie mu kajdanków. Nie chcia, żebym z nim jechał nad jezioro Sandhill. Wygląda na to, że pragnął tej strzelaniny. W każdym razie doczekał się jej. I ja nie ponoszę za to żadnej odpowiedzialności. Twój brat wymierzył we mnie rewolwer i kazał mi wysiąść z samochodu.

- Naprawdę?

- Chyba nie sądzisz, że zmyślam?

- Ale czemu to zrobił?

- Nie wiem, ale zamierzam go o to zapytać. Jadę teraz do szpitala.

Elizabeth nie spierała się dłużej. Odprowadzając mnie na podwórze, gdzie stał mój samochód, spróbowała klamki drzwi pomiędzy tylnym wejściem do domu a garażami.

- Co tam jest? - spytałem.

- Pokój Tony'ego Lashmana. Wciąż mam nadzieję, że powróci. Martwię się o niego.

- Jesteś pewna, że jego tam nie ma?

- Nie jestem pewna niczego.

Zamek w drzwiach był typu Yale, który się łatwo otwiera plastikową kartą kredytową. Pokój był duży, ale dość prowizoryczny, z niekompletną boazerią z

sękatej sosny. Pojedyncze łóżko było puste i nie zasłane. Nikogo nie było pod łóżkiem ani w szafie. Na dole szafy leżała brudna bielizna i zmoczone części czarnego, nieprzemakalnego odzienia. Na stoliku koło łóżka stał budzik. Nie cykał. Zatrzymał się na kilka minut przed północą lub południem.

Rozdział dwudziesty szósty

Pojechałem w drugi koniec miasta do szpitala i po krótkiej rozmowie w recepcji dowiedziałem się, że Jack Lennox leży w separacie na najwyższym piętrze. W korytarzu, pod drzwiami separatki, zastałem sierżanta Shantza siedzącego na składanym metalowym krześle, przez które się przelewał.

- Gdzie się pan podziewa? - spytał.

- Odstawiłem samochód Jacka Lennoxa i wdałem się w rozmowę z rodziną.

Jak on się miewa?

- Nieźle. Jest z nim żona. - Shantz podniósł się ciężko, odsuwając krzesło pod ścianę. - Jeśli pan tu zostanie kilka minut, pójde zadzwonić. Szeryf prosił, żebym go zawiadomił, jak Lennox będzie mógł mówić.

Sierżant poszedł korytarzem ku windom, a ja wszedłem do separatki. Była ciemna, z częściowo zasłoniętymi oknami.

Przy łóżku w opiekuńczej pozie stała Marion. Przyjęła moje wtargnięcie z lekkim oburzeniem, jakby te chwile sam na sam z mężem były dla niej bardzo cenne. Jack miał twarz wpadniętą i zmizerowaną pod turbanem z bandażu.

- Archer?

Próbował usiąść. Żona pchnęła go łagodnie z powrotem na poduszki.

- Proszę cię, Jack. Nie wolno ci wstawać.

- Przestań zgrywać pielęgniarkę. - Szarpnął się buntowniczo pod jej rękami. - Jesteś kiepska w tej roli.

- Ale doktor mówił, że potrzebny ci całkowity spokój i odpoczynek. Jesteś przecież ranny.

- Kto mnie ranił?

- Nie pamięta pan? - spytałem.

- Nie. Pamiętam tylko, że otworzyłem drzwi wieży... wieży obserwacyjnej nad jeziorem Sandhill. - Jęknął.

- Czemu pan tam poszedł?

- Bo miałem dostarczyć pieniądze. - Jego głos zaczął tracić pewność.

- Kto kazał je panu tam dostarczyć?

- Nikt ze znanych mi ludzi. - Spojrzał na żonę. - Wiesz, kto to był?

Pokręciła głową.

- Rozmawiałem z nim tylko raz, przez telefon. Nie poznałem jego głosu.

- To już zresztą nie jest ważne - powiedziałem. - Był to prawdopodobnie ten sam człowiek, który pana zranił. A ja wiem, kto to.

Czekali w milczeniu, póki im nie powiem. Kiedy wymieniłem nazwisko Harolda Sherry, Lennox wydał się wręcz zaskoczony, jakby strzał, który go zranił, sprawił, że zapomniał o Haroldzie. Ale Marion zmieniła się na twarzy. Zupełnie jakby odczuła nawrót jakiejś dawnej choroby.

- Nie pamięta pan Harolda? - zapytałem. - Postrzelił go pan w nogę.

- Ja go postrzeliłem? Pan pewnie żartuje. - Usiadł podtrzymując głowę jak ogromny ciężar. - Czy to oznacza, że schwytaliście go?

- Jeszcze nie.

- A co z pieniędzmi? Tymi stoma tysiącami?

- Uciekł z nimi, przynajmniej na razie. Będę musiał powiedzieć o tych pieniądzach policji.

Lennox nie przejął się tym. Nie zapytał mnie o swoją córkę Laurel. Zastanawiałem się, czy może i o niej zapomniał. Westchnął głęboko i opadł na poduszki.

Marion wkroczyła między nas.

- Jack jest wyczerpany. Czy możemy porozmawiać na zewnątrz?

- Oczywiście.

Poprawiła pościel męża, poklepała go leciutko po ramieniu i wyszła za mną z pokoju. Wydawała się teraz bardziej opanowana. Twarz miała napiętą, ale skupioną. Przyszło mi na myśl, że należy do tego zanikającego gatunku kobiet, które żyją w cieniu mężów i potrafią z niego wyjść tylko wtedy, kiedy mężowie są niezdolni do działania. Gdy drzwi się za nią zamknęły, rzekła:

- Nie powiedział pan nic o Laurel.

- Nadal nic o niej nie wiem.

- Więc nie wie pan, gdzie ona może być?

- Nie. Droga do niej wiedzie przez Harolda Sherry.

- Dostał swoje pieniądze. Czegóż więc jeszcze chce?

- Nie wiem. Może zapewnienia swego bezpieczeństwa. Po co byłyby mu potrzebne pieniądze, gdyby nie mógł ich wydać?

Jej spojrzenie pobiegło gdzieś za mnie, blade i strapione, w dół śliskiej, mrocznej pochyłości jutra.

- Jack nie powinien był do niego strzelać.

- Nie powinien. To popsulo całą sprawę. Ale Harold mógł strzelić do pani męża pierwszy.

Między jej oczyma ukazała się zmarszczka zdziwienia.

- Po co by to robił?

- Będę go musiał o to zapytać.

- Czy ma pan nadzieję znaleźć Harolda?

- Niejaką. Znam nazwisko lekarza, u którego kiedyś się leczył. Będzie chciał teraz pójść do niego z tą raną w nodze.

- Czy ja znam tego lekarza?

- Wątpię. On praktykuje w Long Beach.

- Znamy sporo ludzi w Long Beach.

- Ale ja wolę nie zdradzać jego nazwiska nikomu, nawet pani. To jak dotychczas mój jedyny przyzwoity ślad. Szanse odzyskania Laurel nie są teraz tak wielkie, jak były jeszcze dzisiaj rano. Chyba zdaje sobie pani z tego sprawę.

Pani Lennox potrząsnęła głową.

- Nie wiem. Wszystko jest takie pogmatwane. Smutny to był dzień dla Laurel... dla nas wszystkich... kiedy spotkała Harolda Sherry. Nie pierwszy raz ją uprowadza, wie pan? Uciekał z nią już raz, kiedy miała zaledwie (piętnaście lat.

- Słyszałem o tym. Ale nie rozumiem, czym się powodował.

- Zawsze zazdrościł naszej rodzinie.

- Czy Laurel była jego sympatią?

- Być może, w niezdrowy sposób. Pamiętam, jak przyszedł kiedyś do nas... to było jeszcze, zanim zabrał ją do Las

Vegas. Nie mógł utrzymać rąk przy sobie. Musiała prosić ojca o interwencję.

- Laurel poprosiła ojca o interwencję?

- Tak. Jack wyrzucił go z domu. - Jej głos był zimny i bezbarwny, jak głos medium, które recytuje niejasne dla siebie słowa. - Mój mąż miał zawsze gwałtowny charakter.

- Zdążyłem już to zauważyć. Proszę mi powiedzieć, czy ta gwałtowność pani męża zwracała się kiedykolwiek przeciw Laurel?

- Oczywiście. Wiele razy.

- Ostatnio?

- Tak. Ostatnio wcale nie żyli z sobą w zgodzie. Jack nie jest zbyt zachwycony jej małżeństwem. Prawdę mówiąc robił wszystko, żeby doprowadzić do jego zerwania. - Usłyszawszy własne słowa spojrzała na mnie z z troskaniem. - A o co pan podejrzewa Laurel?

- Istnieje możliwość, że skumała się z Haroldem z własnej woli.

- Gdy pojechali do Las Vegas?

- I wtedy - odparłem - i teraz. Sądzi pani, że Laurel naprawdę została wczoraj wieczorem porwana?

- Nie wiem, co myśleć. - Spojrzała na mnie podejrzliwie. - Do czego pan zmierza?

- Istnieje możliwość zмовy. Są dowody na to, że Laurel i Harold się widywali.

- Kto pani to powiedział?

- Przepraszam, ale nie mogę tego wyjawić. - Już i bez tego dość było nienawiści między rodziną Lennoxów a matką Harolda.

- Ja w to nie wierzę - powiedziała.

Odwróciła się i chciała wejść do pokoju męża, ale zatrzymała się z ręką na klamce. Widziałem, jaka jest wątła i podatna na ciosy. Jej siwiejące włosy, krótko przycięte, wiły się na karku niczym kosmate piórka, łopatki sterczały pod suknią niby nieupierzone skrzydła.

Straciła córkę, a jej mąż leżał ranny. Było to jedno z tych przeżyć, które bardzo łatwo niszczą ludzi. Za tydzień, gdyby ten stan nadal trwał, mogłaby się stać jak Sylwia stara i pokonana.

- Bardzo mi przykro, proszę pani. Sądziłem, że powinienem panią zapoznać z wszystkimi możliwościami.

Odwróciła się szybko i omal nie straciła równowagi.

- Tak, oczywiście. Ma pan rację. Proszę mnie informować o wszystkim.

- Postaram się.

- A jeśli Laurel jest w zмовie z Haroldem... Nie wierzę w to, pan rozumie, ale jeżeli... Chcę o tym wiedzieć, zanim ktokolwiek inny się dowie. A zwłaszcza, zanim pan powie o tym policji.

- Rozumiem. - Ale nie obiecałem nic.

Rozdział dwudziesty siódmy

Był to długi dzień. Gdy Marion Lennox mnie opuściła, usiadłem na składanym krześle Shantz, oparłem się o ścianę i rozprężyłem się. Obmyły mnie czarne fale niosąc do czarnego brzegu. Wzdrygnąłem się.

Z windy wyszedł Shantz. Zmierzał ku mnie szybko z brzuchem chwiejącym się nad szerokim pasem z rewolwerem. Na czole miał kropelki potu.

- Przepraszam, że musiał pan na mnie czekać. Znaleźliśmy jeszcze jedno zwłoki na tej plaży.

- Czyje?

- Jeszcze nie wiemy. To jakiś młody facet z czarnymi włosami. Mamy go tu, na dole, na wydziale patologii. Niech go pan zobaczy. To jest na parterze, po wyjściu z windy na prawo. Kapitan Dolan jest tam z szeryfem.

Winda, z której wysiadł Shantz, wciąż czekała. Nacisnąłem guzik parteru i oparłem się o ścianę zjeżdżającej w dół kabiny. Czuję się, jakbym opadał na samo dno.

Gdy drzwi się otworzyły, do windy zajrzała Meksykanka w fartuchu pomocnicy pielęgniarki.

- Czy coś się stało? - Jej łagodne czarne oczy były zatroskane.

- Nie, nic się nie stało.

- Ja jadę do góry. Czy pan chce jechać do góry?

- Nie.

- Jest pan pacjentem?

- Nie.

Jej pytanie zdopingowało mnie. Wyszedłem na korytarz i niechętnie skierowałem się ku drzwiom z napisem „Patologia”. Zbyt wiele tych gwałtownych śmierci i przemocy jak na jeden dzień. Zapukałem do drzwi i wszedłem.

Siedząca za biurkiem kobieta, o ponuro macierzyńskim wyrazie twarzy, skierowała mnie korytarzem przez coś, co wydawało się strefami pogłębiającego się zimna, do pomieszczenia, w którym leżały zwłoki. Były one wciąż przymocowane do aluminiowych noszy, na których szeryf i kapitan Dolan je przynieśli. Leżały w przezroczystej plastikowej torbie otwartej u góry, aby odsłonić głowę.

Był to Tony Lashman z ropą naftową w oczach, ropą w otwartych ustach.

- To jest Lew Archer - powiedział Dolan. - Lew, to jest szeryf, Sam Whittemore.

Uścisnęliśmy sobie dłonie nad zwłokami, Whittemore miał rozbiegane

niebieskie spojrzenie, które padało na człowieka niespodziewanie z pomarszczonej, zatroskanej twarzy. Wykorzystał uścisk dłoni, żeby mnie zaciągnąć w drugi koniec pomieszczenia.

Powiedziałem mu, że zmarły był sekretarzem Sylwii Lennox i że widziałem go żywego w południe.

- Gdzieście go znaleźli?

- Na plaży tuż obok domu pani Lennox. Tego nie widać w tej pozycji, ale on ma cały tył głowy wgnieciony, najwidoczniej skałą.

- Znaleźliście tę skałę?

Jasnoniebieskie oczy szeryfa przeszły mnie spojrzeniem.

- Nie znaleźliśmy tej skały. Tam jest milion skał, a wszystkie pokryte ropą. - Pochylił się ku mnie. - Pan zna rodzinę Lennoxów, prawda?

- Poznałem większość jej członków w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

- A tak pi razy oko, domyśla się pan, kto popełnia te morderstwa?

- Ani trochę.

- Albo dlaczego?

- Pracuję nad tym, szeryfie. Ale w tej chwili jestem jeszcze w lesie.

- Jak i my. - I dodał szybko: - Ale to tylko między nami.

Z kolei wziął się do mnie kapitan Dolan.

- Czy to jest ten facet, którego widziałeś nad jeziorem Sandhill, jak Lennox został postrzelony?

- Nie.

- Jesteś pewien?

- Absolutnie pewien. To jest sekretarz Sylwii Lennox.

- Czemu komuś zależało, żeby go załatwić? Czy był wmieszany w tę aferę nad jeziorem?

- Nie wiem.

- A o co tam chodziło? - spytał szeryf. - Nie mogę się w tym połapać.

- Jack Lennox miał wypłacić komuś pewną sumę.

- Wypłacić temu drugiemu jakieś pieniądze?

- Tak.

- Co stało się z pieniędzmi?

- Tamten je z sobą zabrał.

- Czemuś mi tego nie powiedział przedtem? - spytał Dolan.
- Bo musiałem uzyskać na to zgodę rodziny Lennoxów.
- A więc to stąd pochodziły te pieniądze? Od rodziny Lennoxów?
- Tak.
- A kogo rodzina Lennoxów próbowała spłacić?

Siedziałem przez chwilę w milczeniu, próbując wymyślić jakiś sposób, żeby osłonić Laurel i nie zatracić poczucia, że nie jestem tylko pomocnikiem policjantów. Osłonięcie Laurel wykraczało jednak poza moje możliwości, zaś osłanianie Harolda Sherry wydawało się bezcelowe.

Podąłem im nazwisko Harolda i powiedziałem, skąd pochodzi i co robi. Jedyne, co przemilczałem, to nazwisko doktora Lawrence'a Brokawa i jego adres w Long Beach. Chciałem z nim porozmawiać pierwszy.

- Więc to porwanie. - Whittmore powiedział to z niesmakiem.
- Czemu nie powiedziałeś nam tego wcześniej? - spytał Dolan.
- Bo jeszcze nie jestem pewien.
- A co to może być innego?
- Z jej strony ucieczka, a z jego chęć zrobienia na tym interesu. A może

trzyma ją gdzieś zamelinowaną.

- Żywą czy martwą?

Żywą czy martwą. Może być żywa, ale w niebezpieczeństwie. Dlatego tak bardzo chcę ją odnaleźć.

- Albo oboje są już w samolocie - rzekł szeryf - mając za Izień pracy po pięćdziesiąt tysięcy na twarz.

- To możliwe, ale coś mi się nie wydaje.
- Wiesz coś jeszcze, czego nam nie powiedziałeś?
- Nie, przedstawiłem wam podstawowe fakty. Ale oczywiście możecie się

dowiedzieć dużo więcej od rodziny Laurel.

- A co z tą rodziną Lennoxów? - spytał szeryf. - Czy pana zdaniem może to być złośliwość? Ktoś stara się im zaszargać opinię?

- Harold Sherry ma po temu powody. Mówiłem wam.

- A inni podejrzani? Od czasu tej hecy z ropą ludzie są bardzo źle nastawieni do Lennoxów. Wie pan, że dziś o mało nie doszło do rozruchów na nabrzeżu?

- Byłem przy tym.
- Więc rozumie pan, do czego zmierzam. Nie sądzi pan, że grupa ludzi

zwariowanych na punkcie ekologii może chcieć Lennoxów oczernić?

- Przez mordowanie innych ludzi i wrzucanie ich do ropy?

- Jeśli pan woli to tak ująć.

- Nie. Sądzę, że rozlanie się ropy i te inne zbrodnie nie mają żadnego związku.

I wtedy przypomniałem sobie, co powiedziała mi Elizabeth o wpływie wizyty Harolda na jej stosunek do męża. A więc być może jednak istniał jakiś psychologiczny związek pomiędzy tymi sprawami.

- Co, przyszło panu coś na myśl? - spytał Whittemore.

- Tak, ale trochę nie na temat. Harold Sherry ma do Lennoxów urazę sprzed piętnastu lat.

Opowiadając im o tym zdałem sobie sprawę z upływu czasu. Musiałem się spieszyć, żeby złapać doktora Brokawa. Opędzając się od dalszych pytań przesunąłem się w stronę drzwi.

- Spiesz się pan? - zapytał szeryf.

- Tak. Jestem umówiony.

- To dobrze. Jeżeli nie z Haroldem Sherry. Roześmiał się. A ja wyszedłem też się śmiejąc. Na korytarzu dopędził mnie Dolan.

- Zostań jeszcze trochę. Mamy świadka, który za chwilę tu będzie.

- Świadka czego?

- Tonie jest zbyt jasne. Kiedy niedawno mówiłem z nim przez telefon, odniosłem wrażenie, że jest w stanie zidentyfikować człowieka, którego wyciągnąłeś dziś rano z oceanu. Ubzdurał sobie, że ten nieboszczyk jest jego znajomym. Albo przynajmniej kimś, kogo znał przed dwudziestu pięciu laty, kiedy był oficerem w Marynarce.

- A co w tym niezwykłego?

- Statek, na którym służył spłonął gdzieś pod Okinawą. Ten facet wyobraził sobie, że zwłoki przyplłynęły tu aż stamtąd... że były w wodzie przez dwadzieścia pięć lat. - Dolan postukał się palcem w czoło.

- Ale ten wasz świadek to nie kapitan Somerville?

- Nie, ale pracuje w biurze prasowym u Somerville'a. Nazywa się Ellis.

Przyszedł dzisiaj wczesnym rankiem, kiedy przywieźliśmy tu ciało, i prosił, żeby nadać sprawie jak najmniejszy rozgłos. Nie powiedział ani słowa, że zna tego faceta. Zauważyłem, że był naprawdę wstrząśnięty, kiedy pokazaliśmy mu zwłoki. Ale ja po prostu uznałem go za jednego z tych mimozowatych.

- Bo chyba taki jest. Myślę też, że coś go gnębi.
- Znasz Ellisa?
- Poznałem go dzisiaj w południe. Wydawał się bardzo roztrzęsiony.
- Był pijany?
- Nie, ale po paru głębszych.
- Teraz jest pijany - rzekł Dolan - i może trochę na dodatek pomyłony.
- Czy twoim zdaniem należy go zaliczyć do osób podejrzanych?
- Nie wiem. Mówił, jakby miał nieczyste sumienie. Nie jestem pewien, co ma na sumieniu, ale na wszelki wypadek posłałem po niego samochód.

Szeryf odjechał, a w kilka minut później przybył Ellis w towarzystwie umundurowanego policjanta. Ellis bardzo się zmienił, od kiedy go widziałem. Szedł na miękkich nogach i chyba mnie nie poznał. Zasalutował jednak

Dolanowi unosząc dłoń do wilgotnego czoła, jakby tym gestem chciał zażegnać zło.

Wszedłem za nimi do pomieszczenia, w którym widać było obłoczki oddechów. Dolan wysunął ze ściany szufladę i odsłonił staruszka. Ellis pochylił się nad szufladą i omal nie upadł. Z jego oczu kapały na twarz zmarłego łzy.

- To Nelson - powiedział z lękiem. - To na pewno Nelson. - Odwrócił się do Dolana. - Ale jak zdołał się tak postarzeć? Pod Okinawą, gdy skoczył za burtę, był zupełnie młody.

- Jeszcze wczoraj żył.

- Nie, pan się myli. On poszedł za burtę „Canaan Sound” ponad dwadzieścia pięć lat temu. I to była moja wina. - W jego głosie wciąż czuło się lęk. Pochylił się nad martwym, dotknął jego twarzy w bliznach i powiedział: - Bardzo mi przykro, Nelson. - Ukląkł przytrzymując się palcami szuflady. - Wybacz mi.

Na wpół niosąc wyprowadziliśmy go z chłodni i posadziliśmy na krześle. Dolan zmoczył ręcznik i przetrął mu twarz. Ale Ellis nie patrzył na nas. Siedział ze zwieszoną głową, pełen wstydu i smutku, a z nosa i brody kapała mu woda.

Dolan odciągnął mnie w koniec pokoju i spytał cicho:

- Sądzisz, że jest stuknięty?

- Możliwe. W każdym razie pijany i rozhisteryzowany. Ale w tym, co mówi, może coś być. Kapitan Somerville sam mi mówił, że Ellis był z nim pod Okinawą. I wiem, że jego lotniskowiec spłonął.

Wróciliśmy do Ellisa, który jakby zaczynał się opanowywać.

- Czemu pan uważa, że to wszystko była pana wina?

- Bo była. - Podniósł na mnie zasmucony wzrok, i Pełniłem funkcję szefa benlotu na „Canaan Sound” i byłem za to odpowiedzialny.

- Funkcję czego?

- Szefa benlotu... oficera odpowiedzialnego za zbiorniki z benzyną lotniczą. Braliśmy benzynę na morzu i musiałem popełnić jakiś błąd, bo jeden ze zbiorników pękł. Benzyna zalała cały statek. Zanim zdołaliśmy go oczyścić, padła jakaś iskra i wszystko buchnęło płomieniem. Część załogi skoczyła za burtę. Większość z nich wyłowili tankowiec, ale kilku utonęło. A on należał do nich. - Ellis wskazał niepewnie w stronę chłodni.

- Nazwał pan zmarłego Nelsonem - powiedziałem. - Czy to imię, czy nazwisko?

- Nie wiem. Wszyscy nazywaliśmy go po prostu Nelsonem. On był łącznościowcem na „Canaan Sound”.

Korytarzem szła jakaś kobieta z zatroskaną twarzą. Przypominała żołnierza w natarciu na wroga, gniewna i zalękniona. Ellis rozejrzał się, gdzie by tu się schować. Ale jedyne drzwi wiodły do chłodni.

- Co ty tutaj robisz? - spytała go kobieta. - Obiecałeś, że zostaniesz w domu, póki nie wytrzeźwiejesz.

Siedział z opuszczoną głową mruczając w odpowiedzi:

- Musiałem jeszcze raz na niego popatrzeć.

- Na kogo?

- Na tego, którego wyciągnęli z wody. Nazywaliśmy go Nelsonem. Był z nami na „Canaan Sound”. Biedny Nelson. Żyłby do tej pory, gdyby nie ja.

- To bzdura - oświadczyła. - Utonął dopiero wczoraj wieczorem.

- Mylisz się. Utonęło wtedy kilku, i to z mojej winy.

- Nieprawda. To był po prostu przypadek, czysty przypadek, więc wcale nie twoja wina. Rozmawialiśmy o tym nieraz.

- To była moja wina - rzekł Ellis. - Ja nadzorowałem tankowania, kiedy zbiornik pękł.

- Milcz. - Odwróciła się do niego plecami i powiedziała do nas: - Mężowi nie można wierzyć. Jest bardzo wrażliwym człowiekiem i brał udział w straszliwej katastrofie.

Jego statek o mało nie spłonął z powodu wybuchu zbiornika z benzyną, a

ponieważ on był za zbiornik odpowiedzialny, uznał, że to jego wina. Ale to nie była jego wina.

- A czyja? - spytałem.

- Kapitana Somerville'a, jeśli w ogóle czyjokolwiek. Roztrząsaliśmy ten temat z kolegami męża. Oni uważają, że kapitan spowodował zwiększenie ciśnienia w zbiorniku. Nikt inny nie mógł tego zrobić.

Ellis uniósł głowę. Pijacki żal spęłzył z jego zaczerwienionej twarzy, wyparty uczuciem innego rodzaju.

- Milcz, proszę cię, milcz. Chcesz, żebym stracił posadę?

- Lepiej na tym wyjdiesz. Zawsze to mówiłam. Jesteś tylko najemnym pismakiem, w dodatku kiepskim. Zawsze uważałam, że powinniśmy wyjechać i rozpocząć nowe życie.

- Chyba będę musiał - przyznał Ellis. Chwila jego szczerości minęła wraz ze złudzeniem, że zmarły przyplłynął do kraju niesiony falami przez cały Pacyfik. Ellis stał się znów podstarzałym mężczyzną, który się boi utraty stanowiska.

Rozdział dwudziesty ósmy

Po bulwarach pelzał późnopołudniowy ruch uliczny. Mój szlak wiódł przez dzielnicę ludzi pracy, w której mieszkałem, kiedy Long Beach nawiedziło trzęsienie ziemi w niemal już niepamiętnych czasach. Ulice wydawały się stare i podupadające z wyjątkiem jednej, gdzie jak odsłonięta żyła złota kwitły żółte akacje.

Było wpół do szóstej, kiedy zaparkowałem samochód przed gabinetem doktora Brokawa. Gabinet ów mieścił się w narożnych pokojach pierwszego piętra budynku, który ocalał z trzęsienia ziemi. Poczekalnia była skąpo wyposażona w wyblakłe, obite kretonem meble, biurko i starą metalową szafę mieszczącą kartotekę. Nikt tam nie czekał, ale pacjenci pozostawili po sobie harmonizujący z tym wystrojem zapaszek lęku i ubóstwa.

Z pokoju w głębi wyszła ufarbowana na rudo kobieta o zniekształconej twarzy i w niegdyś białym fartuchu.

- Pan Archer?

- Tak.

- Bardzo mi przykro, ale doktor nie mógł na pana czekać. Przed kilku minutami otrzymał nagle wezwanie do chorego.

- A czy jeszcze wróci?

- Wątpię. Kazał mi pana przeprosić.

- A gdzie mógłbym go później złapać?

- Nie jestem upoważniona do podawania jego domowego adresu. Ale jeżeli zadzwoni pan później pod tutejszy numer, połączy się pan z biurem kontaktowym. Może oni coś panu pomogą.

- A może pani mi pomoże - powiedziałem. - Szukam człowieka, który się nazywa Harold Sherry.

- Śmieszne, bo właśnie... - Urwała nagle w połowie zdania.

- Bo właśnie co?

- Chciałam powiedzieć, że jest pacjentem doktora Brokawa.

- Bo właśnie do niego pojechał pan doktor?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

- Gdzie mieszka Harold Sherry?

Spojrzała na kartotekę, a potem znowu na mnie.

- Przykro mi, ale nie udzielamy takich informacji. A teraz bardzo przepraszam, zaraz przyjedzie po mnie mąż, a ja mam jeszcze coś do zrobienia.

Weszła z powrotem do pokoju w głębi. Otworzyłem drzwi wiodące na korytarz i zamknąłem nie wychodząc z poczekalni. Podeszedłem po cichu do szafy i wysunąłem szufladę z literami Q-R-S. - Znalazłem w niej kilka adresów Harolda Sherry. Wszystkie oprócz ostatniego były wykreślone. Ostatni brzmiał: „za pośrednictwem «Cup of Tea» co było nazwą jadłodajni mieszczącej się zaledwie o przecznicy dalej od miejsca, w którym się znajdowałem.

Zostawiłem samochód, gdzie stał, i poszedłem przez zapadający zmierzch do „Cup of Tea”. Był to wielki, stary bar samoobsługowy, w którym stołowali się ludzie najrozmaitszego wieku i pozycji. Były tam więc długowłose dziewczęta, brodaci młodzi ludzie, całe rodziny z dziećmi, starzy ludzie skuleni nad skromnymi posiłkami. Paru meksykańskich sprzątaczy zbierało szybko i z hałasem puste talerze i wycierało stoliki.

Podeszedłem do bufetu, żeby zapytać o kierownika, ale widok jedzenia mnie pokonał. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz jadłem. Bufetowe poruszające się w obłokach pary wyglądały jak hoże anioły.

Zamówiłem smażoną wątróbkę z cebulą, tłuczone ziemniaki, placek z dyni i kawę. Potem powiedziałem, że chcę rozmawiać z kierownikiem. Podeszedł do mego stolika, kiedy piłem kawę - łysiejący mężczyzna w lekkiej, miękkiej kurtce.

- Czy się coś stało?

- Mam nadzieję, że nie. Jedzenie jest dobre.
- Staramy się, żeby było jak najlepsze.
- Szukam Harolda Sherry. Podał ten adres.
- Ach, chodzi o Harolda. On już tu nie pracuje.
- Gdzie go mogę znaleźć?

Kierownik zrobił gest, który wyglądał jak zapożyczony od tutejszych sprzątaczy.

- Harold nie mówił mi, że chce odejść. Po prostu nie stawiał się w ubiegłym tygodniu do pracy.

- Czemu?

- Mówiąc grzecznie miał za wiele wyobraźni jak na typ pracy, którą wykonywał. Czy pan jest krewnym Harolda?

- Tylko przyjacielem. Nie zostawił żadnego adresu?

- Może zostawił. Zapytam kasjerki. Strawił mnóstwo czasu na kręcenie się koło niej.

Nazywała się Charlene. Mała bystre niebieskie oczy i ładnie utrzymane brązowe włosy, i siedziała przy kasie rejestrującej jak pilot przy sterach samolotu. Kiedy kierownik zapytał ją o Harolda, zaczerwieniła się, zaniepokoiła i pokręciła głową. Kierownik wycofał się uczyniwszy swój zapożyczony hiszpański gest.

Zaczekałem, aż dziewczyna ochłonie, i zapłaciłem za jedzenie.

- Byłbym pani bardzo wdzięczny, gdyby chciała pani skontaktować mnie z Haroldem.

- Nie jest pan przypadkiem jego ojcem?

- Nie. Widziałem się dziś po południu z jego matką.

- Nie wiedziałam, że on w ogóle ma matkę. Zawsze mówił tylko o ojcu.

Ojciec podobno jest jakimś wielkim nafciarzem w Teksasie. Czy to prawda?

- Tak, całkiem niemałym. Westchnęła głęboko i jej pierś się uniosła.

- Więc Harold miał powody, żeby zaczynać tu, od samego dołu.

- Jakie powody?

- No wie pan, żeby zapoznać się z gastronomią od podstaw. Ojciec obiecał wykupić mu koncesję na zakład gastronomiczny. Ale najpierw musiał poznać pracę w takim zakładzie.

Trzeźwe spojrzenie nie opuszczało mojej twarzy. Zdałem sobie sprawę, że nie tyle opowiada mi o Haroldzie, ile o niego pyta. Chce wiedzieć, czy Harold nie kłamie.

Odpowiedziałem na to pytanie innym pytaniem:

- Czy może mi pani powiedzieć, gdzie on jest, Charlene?
- To zależy, w jakiej sprawie.
- Nie mogę wdawać się w szczegóły. Ale Harold otrzymał pieniądze.
- Duże pieniądze?
- Można tak powiedzieć.

Nie wierzyła mi. Mimo to albo właśnie dlatego powiedziała, co chciałem wiedzieć.

- Ostatni raz widziałam go w sklepie z napojami alkoholowymi. Miał być w Teksasie, u swojego ojca, ale był tu, w Long Beach, z wielką grubą kobietą. Powiedział, że nazywa się Ramona. - Jej oczy były zimne. - Kupował jej piwo.

- Wie pani, gdzie mógłbym ją znaleźć?

- Niech pan zapyta w tym sklepie. Rozmawiali z nią jak ze stałą klientką. Sklep się nazywa „Tom and Jerry’s”, o, tam. - Wskazała ręką w stronę dzielnicy portowej.

Poszedłem tam. Po lewej ręce miałem ultranowoczesne budynki Convention Center, nakłute blaskiem świateł wielopiętrowe budynki mieszkalne i w miejscu dawnych plaż parkingi. Na prawo był nieokreślony obszar, rodzaj dzielnicy nędzy. Dalej prześwitywały wody przystani.

W półmroku wałęsali się marynarze. Jakiś pijak siedział przed sklepem „Tom and Jerry’s” i recytował poezje, które brzmiały jak improwizacja. Stojący za ladą człowieczek z przylepionym do zaciętej twarzy uśmiechem wyglądał, jakby był gotów mnie zastrzelić lub obsłużyć, zależnie od tego, co do niego powiem.

- Zna pan dziewczynę imieniem Ramona?

- Znam jedną Ramonę. Ale nie nazwałbym jej dziewczyną. Pewnie chce się pan dowiedzieć, ile ze swoich dochodów przeznaczają na alkohol?

- Nie jestem z opieki społecznej - odparłem. - Szukam tylko jednego z jej przyjaciół.

- Harolda?

- Właśnie.

- Nie widziałem ostatnio Harolda.

- A gdzie mieszka Ramona?

- Następną ulicą w prawo. - Wskazał w głąb lądu. - Pierwszy dwupiętrowy budynek od rogu. Pierwsze piętro, mieszkanie D. Jeśli pan chce być mile przyjęty,

niech pan jej kupi karton piwa.

Przyjąłem jego radę. W sieni domu jakiś chłopak w mundurze marynarskim i kobieta stali oparci o ścianę. Wszedłem po schodach na piętro wzdając dłonią po poręczy z karbowanej blachy i zapukałem do mieszkania D.

Otworzyła kobieta, która obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, i powiedziała:

- Witam.

Miała szeroką przystojną twarz, czarne jak sadza oczy i czarne jak smoła włosy. Jej ciało wydawało się nabrzmiące pod obcisłą czarną suknią, ale podobnie jak twarz miało w sobie coś z ociężałego piękna.

- Witaj, Ramona.

- Kto ty jesteś?

- Przyjaciel przyjaciela.

- A kto jest twoim przyjacielem?

- Harold Sherry.

- Nie wspominał mi o tobie.

- Czy on tu mieszka?

- Już nie.

- Zostawił nowy adres?

- Nie. - Schyliła się w drzwiach ku mnie. Ramiona miała masywne, wspaniałe.

- Czy on coś przeskrobał?

- Nie - skłamałem. - Jest mi winien trochę forsy.

- Tak jak mnie. Powinniśmy się zjednoczyć. Wejdiesz? Odsunęła się robiąc miejsce, żebym mógł przejść. Pokój był zagracony i staromodny jak jaskinia. Rozłożona wersalka zajmowała mniej więcej jedną trzecią powierzchni. Dwa zniszczone fotele stały naprzeciwko siebie przedzielone stołem z pustą butelką po piwie.

- Właśnie piłam piwo - powiedziała.

- Przyniosłem jeszcze trochę.

- To miło. Pewnie Harold mówił, że je lubię, co?

Zastanawiałem się, z jakiego środowiska może się wywodzić. Mówiła bez naleciałości, ale z domieszką jakiejś gniewnej mimiki, która sugerowała, że ten język nie jest jej ulubionym językiem. Zerwała blaszkę, podała mi otwartą puszkę piwa i otworzyła dla siebie drugą.

- Siadaj. Twoje zdrowie. I zdrowie Harolda, i jego nowej dziewczyny.

- Ma nową dziewczynę? Skinęła głową.
- Tak. Była tu z nim przedwczoraj, kiedy zajechał po swoje rzeczy.
- Widziałaś ją?
- Prawdę mówiąc nie. Wyjrzałam z okna, ale ona siedziała w samochodzie.

Znasz ją?

- Być może. Jaki to był samochód?
- Mały, zielony, nienowyy.
- Falcon?
- Chyba tak. Mały sportowy model. A więc ją znasz, co?
- Nie jestem pewien.
- Chciałam zejść na dół i poznać się z nią. Harold nie pozwolił. Nie chciał, żebym ją zobaczyła. Widziałam tylko czubek jej głowy. Jest brunetką, tak jak ja.
- Czemu nie chciał, żebyś ją poznała?
- Bo ja jestem pół-Indianką. Jak na chłopaka, który przeżył różne dole i niedole, Harold ma bardzo przestarzałe przesady. Uważa też, że jestem za gruba. - Pokiwała głową. - Bo jestem za gruba. Zgadniesz, ile mam lat?
- Trzydzieści pięć.
- Myślałem, że jej schlebiam, ale pokręciła głową przecząco.
- Dwadzieścia dziewięć. A będąc na moim miejscu, jakbyś próbował zrzucić trochę tej tuszy?
- Przestałbym pić piwo.
- To wykluczone. Muszę mieć coś w życiu, oprócz siedzenia i czekania.
- A na co czekasz?
- Aż mi się zdarzy coś dobrego. Jak podwójna wygrana. - Jej głos był płytki jak drwiące odbicie jej własnej pustki albo pustki miejsca, w którym żyła.
- Czyżbyś nie pragnęła niczego lepszego?
- Myślisz o małżeństwie, dzieciach albo pracy? Próbowałam tego. Miewałam dobre prace. I mam męża i troje dzieci. Tylko że on mnie wykopał z domu. I nie wolno mi widywać dzieci. - Spuściła wzrok. - Mieszkają w Rolling Hills. Czasem idę, patrzę przez zatokę i wyobrażam sobie, że je widzę. - Uniosła głowę. Jej twarz była jak księżyc wschodzący nad górą ciała. - Jesteś żonaty?
- Byłem. Rozwiodłem się.
- Tak jak i ja, co? Co się stało z twoją żoną?
- Nie wiem. Nie widziałem jej ostatnio.

- To martw się o nią. Nie o mnie. - Dopija reszty piwa z puszki. - Nawiasem mówiąc nie nazywam się Ramona. Ludzie mnie tak nazwali, a zaczęło się od żartu.

- Jak się naprawdę nazywasz?

- Nie mówię tego nieznanym. - Stuknęła puszką w stół. - Nie powiedziałeś mi, jak ty się nazywasz.

- Archer.

- A gdzie twój łuk i strzały?

- Na tylnym siedzeniu Pontiaka. Zaśmiała się nagle.

- Żartujesz sobie ze mnie. Czy Harold naprawdę jest ci winien pieniądze?

- Tak, trochę.

- To możesz się z nimi pożegnać.

Otworzyła i zaproponowała mi następną puszkę. Gdy odmówiłem, napiła się sama. Zaczął do mnie docierać samotny, nieregularny rytm jej życia. Wyczuwałem pod nim hamowany gniew.

- Spróbuj poszukać go u matki - powiedziała. - Założę się, że on wróci do swojej mamusi. Takie typki zawsze to robią... w końcu zawsze wracają do czystych prześcieradeł. Czystych prześcieradeł i brudnych zamiarów - dodała burkliwie. - Co to za dziewczyna, którą teraz ma?

- Naprawdę nie wiem.

- Mówiłeś, zdaje się, że ją znasz.

- Myliłem się. Miałem na myśli kogoś innego.

- Ale wiedziałeś o tym zielonym samochodzie.

- Widziałem w nim dzisiaj Harolda.

- Zgadza się - powiedziała. - Poszedł do niej, bo potrzebował samochodu. Chciał, żebym ja mu kupiła samochód, ale ja nie mam tyle pieniędzy.

- A po co był mu ten samochód?

- Miał jakiś plan, jeśli można tak powiedzieć. Nie mówił mi jaki, ale powiedział, że kiedy go zrealizuje, zdobędzie majątek a zarazem odegra się na ludziach, którzy zmarnowali mu życie. - Jej wzrok błędził po mojej twarzy niby czarny promień. - Czy Harold popadł w tarapaty?

- Bardzo możliwe. A kim są ci ludzie, na których chciał się odegrać?

- Jeden z nich to jego ojciec. Harold był kiedyś w prawdziwych opalach. Ojciec go się wtedy wyrzekł i pozwolił aresztować. Harold nigdy nie wybaczył ojcu, że go pozwolił zamknąć. Ani tym innym.

- A kim są ci inni?

- Nie pamiętam ich nazwisk, ale siedzą w nafcie. Ilekroć Harold się spije, zawsze mówi, że im powysadza zbiorniki, i różne podobne bzdury.

- Umiałby to zrobić?

- Chyba tak. Jego ojciec jest nafciarzem... zaczynał tu, w Long Beach... i Harold mówił mi, że ojciec uczył go zawodu. To było jeszcze przed rozbitciem rodziny.

- Czy mówił ci kiedyś, co spowodowało to rozbitcie?

- Nigdy. Ale on przypisywał całą winę ojcu. Miał bzika na tym punkcie... rozumiesz? To właśnie jedna z przyczyn, że niezbyt żałowałam, gdy odchodził.

- A dokąd się udał?

- Nie chciał mi powiedzieć. Oczywiście miał coś z tą dziewczyną namotanego. Prawdopodobnie wprowadził się do jej mieszkania.

Obrzuciła wzrokiem swój ciasny pokój. W miarę upływu czasu stawała się jakby starsza i smutniejsza. Ślad urody, który w niej dostrzegłem na początku, zatonął w jej obfitym ciele, jakby pożarty przez zatroskanego potwora.

Żyła w półmroku, pomyślałem, zupełnie jak matka Harolda. Zastanawiałem się, czy nowa dziewczyna Harolda jest również kobietą z mroku.

- Znasz imię tej dziewczyny?

- Chyba nie.

- Ale to nie była Laurel? Zastanowiła się nad tym pytaniem.

- On chyba znał jakąś Laurel. W każdym razie wymieniał to imię. Ale ta to nie Laurel.

- A jak ta się nazywa?

Wzruszyła tęgimi ramionami i rozłożyła ręce w bezradnym geście.

Na dole, w ciemnej ulicy, stali w niedbałych pozach marynarze, niczym mgliste dusze czyścicowe oczekujące na rozkazy.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Poszedłem do swojego samochodu. Dzielnica wydawała się wyludniona, jakby słońce zapadając w morze wessało z sobą ludzi. W budynku doktora Brokawa, w narożnym oknie pierwszego piętra, paliło się światło. Wjechałem pnąc się mozolnie windą na górę i spróbowałem klamki drzwi jego gabinetu. Drzwi były zamknięte. Zza drzwi jakiś męski głos spytał:

- Kto tam?

- Lew Archer. Rozmawiałem z panem przez telefon o Haroldzie Sherrym.

- Aha.

Chwilę stał nieruchomo i w milczeniu. Potem zabręczały klucze i jeden z nich obrócił się ze zgrzytem w zamku. Drzwi otworzyły się do wewnątrz, powoli, jakby napotykając na opór. Zarysowana na tle światła z poczekalni postać doktora Brokawa była średniego wzrostu z ogromną głową.

Kiedy odstąpił w bok, aby mnie przepuścić, zobaczyłem, że na to wielkogłowie składały się głównie włosy i broda. Spomiędzy nich patrzyły na mnie oczy jak u leśnego zwierzęcia, ciemne, wrażliwe i lekko zatrwożone.

- Przepraszam, że nie mogłem przyjąć pana wcześniej. Nie spodziewałem się, że będzie pan czekał. Ale skoro już pan jest, proszę wejść.

Poszedłem za nim przez przedpokój do jego gabinetu. Zamknął drzwi i oparł się o nie patrząc na mnie jakby z odrazą. Jego broda była przetkana siwizną, ale oczy miał młode. Ich spojrzenie nieco złagodniało, gdy patrzyły na mnie.

- Jest pan bardzo zmęczony, prawda? Zabrzmiało to bardziej jak wyraz współczucia niżli opinia lekarza. Uświadomiło mi jednak moje zmęczenie, które przepływało przeze mnie falami.

- Przemierzyłem kawał drogi w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. I utknąłem w pustce.

- A to właśnie jest ta pustka? - Wśród zarostu błysnęły zęby. - Proszę usiąść. Niech pan ulży swoim nogom.

Czekałem, aż zamknie drzwi i przejdzie na drugą stronę biurka. Jego czarna walizeczka lekarska stała na biurku obok fotografii kobiety, której oczy przypominały trochę oczy doktora Brokawa. Wyciągnął rękę i obrócił fotografię wierzchem do dołu, jakby nie chciał, by nasza rozmowa miała jakichś świadków. Powiedziałem:

- Ten pacjent, do którego pana niedawno wzywano... czy to był Harold Sherry?

- Wolę nie wypowiadać się na ten temat.

- A więc to był Harold.

- Wyciąga pan bezpodstawne wnioski.

- Więc kto to był?

Nachylił się ku mnie nad biurkiem i rzekł nadspodziewanie dobitnie:

- Moi pacjenci to wyłącznie moja sprawa. Nie ma pan prawa brać mnie w krzyżowy ogień pytań, jeśli chodzi o nich.

- Jeśli pan sądzi, że to jest branie w krzyżowy ogień pytań, to...

Podniósł głos:

- Niech mi pan nie grozi, proszę pana. Próbowano już mi nieraz grozić, i zapewniam pana, że to się na nic nie przydało.

- Wcale panu nie grozę, nawet nie próbuję grozić. Sądzę, że znalazł się pan w sytuacji, której pan nie rozumie. Jego nastrój uległ nagłej zmianie.

- To dla mnie nic nowego. Tak było całe moje życie.

- Nie udaję, że ja ją rozumiem. Wiem tylko, że popełniono poważne przestępstwo, może kilka. Ubiegłej nocy zniknęła młoda, zameężna kobieta nazwiskiem Laurel Russo. Dziś po południu Harold Sherry podjął za nią sto tysięcy dolarów okupu. Przy okazji postrzelił ojca Laurel, który z kolei również strzelił. Obaj są ranni, a Laurel Russo nadal nie ma.

Gdy mu opowiadałem, co się wydarzyło, jego twarz zmieniła się, jakby sam był świadkiem tych wypadków. Brokaw wydawał się bardzo wrażliwym człowiekiem, niemal zbyt wrażliwym jak na lekarza. Zastanawiałem się, czy zarost nie służy mu za maskę.

- Czy widział pan dziś wieczorem Harolda, doktorze? Rozumie pan, czemu to pytanie jest tak ważne?

- Rozumiem, czemu jest tak ważne dla pana. Mieni się pan prywatnym detektywem, lecz mimo to jest pan tym, co moi pacjenci nazywają gliną. Jest pan dobrowolnym przedstawicielem wymierzającego kary społeczeństwa i wszystko, do czego pan naprawdę zmierza, to aresztowanie ludzi i wsadzanie ich za kratki.

- I to wszystko, do czego naprawdę zmierzam?

- Podejrzewam, że tak.

Zabolało mnie to spokojne oskarżenie. Starłem się poruszać jak człowiek neutralny pomiędzy prawem a bezprawiem. Ale kiedy zaczynano strzelać, na ogół wiedziałem, po której stoję stronie. Spolaryzowany przez Brokawa, albo może spolaryzowawszy Brokawa, czułem się bez mała niczym człowiek w cuglach, jakim byłem przed dwudziestu laty, zanim wystąpiłem ze służby w policji Long Beach.

- A co pan chciałby robić z przestępcami, doktorze?

- Leczyć ich. Ale słowo „przestępcy” wymaga wyjaśnienia. Ja chcę ich leczyć, nim zostaną przestępcami. To jedna z przyczyn, dla których wróciłem tu i otworzyłem ten gabinet.

- Jest pan chłopakiem z Long Beach?

- Na swoje nieszczęście.
- Ja też. - Cieszyłem się, że znalazłem z nim jakąś wspólną płaszczyznę. - Dobrze tu było spędzać dzieciństwo. - Słowa te zabrzmiały jakoś nieszczerze w moich uszach.
- Teraz już nie. Połowa chorób, które lecę, ma związek z narkotykami. Duży procent to choroby weneryczne. Ale jest też sporo chorób na tle emocjonalnym.
- Czy schorzenia Harolda są na tle emocjonalnym? Rzucił mi szybkie, przesywające spojrzenie.
- Jak pan to odgadł?
- Wiem coś o jego przeszłości. Rozmawiałem dzisiaj po południu z jego matką.
- Ja nie zaznałem tego zaszczytu. Prawdę rzekłszy spędziłem z Haroldem bardzo mało czasu. Widziałem go zaledwie cztery czy pięć razy. Pięć.
- Wliczając w to dzisiejszy wieczór?
- Jest pan bardzo uparty. Ja jednak obstaję przy moim prawie do milczenia.
- Nie wiem, skąd pan wziął to prawo.
- Harold Sherry jest moim pacjentem.
- Rozumiem, że pan troszczy się o niego - powiedziałem. - Nie rozumiem jednak pana braku troski o młodą kobietę, którą porwał.
- Ta młoda kobieta nie była uprowadzona siłą. Widziałem ją.
- Dziś wieczorem? Machnął ręką niezdecydowanie.
- Tak, dzisiaj wieczorem.
- Gdzie pan ją widział?
- W pewnym motelu.
- Z Haroldem? Skinął kudłatą głową.
- Była tam najwyraźniej z własnej, nieprzymuszonej woli.
- Proszę mi ją opisać, doktorze.
- Ładna brunetka, dość wysoka, w wieku około trzydziestu lat.
- Rozmawiał z nią pan?
- Właściwie nie. Trzymała się nieco na uboczu.
- Więc skąd pan wie, że była tam z własnej, nieprzymuszonej woli?
- Z jej zachowania... stosunku, jaki ich łączy. Odnosili się do siebie bardzo ciepło. Nie martwiła się o siebie wcale; natomiast bardzo troszczyła się o Harolda.
- Czy Harold jest ciężko ranny?

Wcisnął głowę, jak bawół, pomiędzy ramiona.

- Stawia mnie pan w pozycji nie do utrzymania, proszę pana. Nalega pan, żebym powiedział wszystko o Haroldzie i wskazał miejsce jego pobytu. Ale ja tego nie zrobię. Moim naczelnym obowiązkiem jest obowiązek względem pacjentów.

- Jeżeli Harold jest ciężko ranny, nie robi mu pan przysługi.

Jego oczy zwęziły się i pociemniały.

- Jestem lekarzem. Nie ma pan prawa mówić w ten sposób.

- Więc niech pan mówi, doktorze.

- Nie mam panu nic do powiedzenia. Siedzieliśmy w milczeniu. Spojrzałem na oprawione w ramki dyplomy nad jego głową. Uczył się w dobrych uczelniach i praktykował w dobrych szpitalach, nie tak znowu bardzo dawno temu. Sądząc z dat na dyplomach Brokaw nie miał jeszcze czterdziestki. Odsunął krzesło.

- Proszę mi wybaczyć, ale nie jeszcze dziś nie jadłem.

- Więc niech pan je - powiedziałem nie ruszając się. - I niech śmierć człowieka nie psuje panu apetytu.

- Jakiego człowieka? Nikt nie umarł. Rana Harolda nie jest poważna.

Ale zdenerwował się. Widoczna spod zarostu część twarzy zbladła i zrobiła się ziemista. Powiedziałem:

- Jest pan obowiązany donosić policji o wszystkich ranach postrzałowych.

- Ale nie panu.

- Sądzi pan, że policja obejdzie się z Haroldem łagodniej niż ja? Mogą go z miejsca zastrzelić i pan o rym doskonale wie.

Potrząsnął głową.

- To byłaby tragedia, prawdziwa tragedia. Nie wierzę, że Harold jest odpowiedzialny za to, co się stało.

- Psychologicznie czy moralnie?

- Tak i tak. Gotów byłbym założyć się o nie wiem co, że Harold nie popełnił żadnego przestępstwa.

- Już i tak sporo pan zaryzykował, doktorze. Bo niezależnie od tego, czy ta dziewczyna poszła z nim z własnej woli, czy nie, nie ulega kwestii, że zranił jej ojca, i nie ulega kwestii, że wziął okup.

- Skąd pan o tym wie?

- Bo byłem przy tym. To stało się niemal na moich oczach. Złego wybrał pan sobie pacjenta, żeby postawić na niego własną karierę zawodową.

- Ja nie wybieram sobie pacjentów, to oni wybierają mnie.

Powiedział to usprawiedliwiającym tonem. Brokaw tracił swoją wspaniałą, swobodną pewność siebie, a mnie zrobiło się trochę wstyd, że to spowodowałem. Musiałem jednak dotrzeć jakoś do Harolda.

- Wspomniał pan o śmierci jakiegoś człowieka - rzekł Brokaw. - Czy ojciec tej dziewczyny zmarł?

- Nie, i śmierć mu nie grozi. Ale dziś rano wyciągnąłem z morza zwłoki. - Opowiedziałem mu o mężczyźnie w tweedowym ubraniu.

Twarz Brokawa znowu się zmieniła. Wydawał się bardzo wstrząśnięty.

- Czyżby ten mały człowieczek nie żył?

- Zna go pan, doktorze?

- Wczoraj Harold przyprowadził go do mego gabinetu. Chciał, żebym go leczył.

- Na co?

- Ten człowiek był w bardzo kiepskim stanie fizycznym i psychicznym. Miał blizny od oparzeń na twarzy i na ciele i wyglądał, jakby spotkało go wielkie nieszczęście na jakimś etapie życia. Pod względem emocjonalnym również zdradzał oznaki silnego urazu. To była ruina człowieka, który spędził kawał życia w zakładach.

- Jakiego rodzaju zakładach? Brokaw zastanowił się nad odpowiedzią.

- Szpitalach, może nawet szpitalach psychiatrycznych. Pytałem Harolda, czy może ten człowiek jest pacjentem któregoś ze szpitali, ale Harold twierdził, że nie wie. Powiedział, że go spotkał w dzielnicy portowej i przyprowadził do mnie, bo ten człowiek był w okropnym stanie. Ale gdy się nad tym zastanowić, ich wzajemny stosunek nie był obojętny. Przyszło mi na myśl, że Harold zamierzał posłużyć się nim i chciał, żebym mu dał coś, co go trochę postawi na nogi. Dałem mu jakieś środki uspokajające. Ale gdy zasugerowałem, że powinno się go umieścić w szpitalu, zabrali się i poszli. - Rozpostarł ręce na biurku i spojrzał na nie z niesmakiem. - Obawiam się, że nie sprostałem swojemu zadaniu.

- Ten mały człowieczek utonął. Nie mógł pan temu zapobiec.

- Powinien był pójść do szpitala. A ja powinienem był go zmusić, by poszedł tam natychmiast.

Brokaw potrząsnął głową z boku na bok i kosmyk włosów spadł mu na oczy. Był bliski płaczu. Wydało mi się, że za bardzo zaangażował się uczuciowo w tę

sprawę i to zaangażowanie osłabiło jego zdolność czynu. Powiedział urywanym głosem:

- Harold mi skłamał. Mówił, że umieścił tego człowieka w szpitalu.

- Kiedy Harold powiedział to panu, doktorze? Spojrzał na mnie z wyrazem zaskoczenia, który przemienił się w wyraz żalu.

- Dziś, kiedy byłem u niego. Twierdził, że odwiózł go do szpitala państwowego.

- Którego szpitala?

- Nie mówił. Tak czy tak skłamał, o ile to, co pan mówi, jest prawdą.

- Ja nie kłamię. Wczoraj wieczorem widziałem ich obu. Jedli kolację w restauracji na nadbrzeżu w Pacific Point, nie opodal miejsca, gdzie człowiek ten utonął. A dziś wczesnym rankiem wyciągnąłem z wody jego zwłoki. Nie sądzi pan, że należałoby wy badać w tej sprawie Harolda?

Na twarzy pod zarostem zaznaczyła się nowa zmiana, bolesny grymas, a potem zaciętość.

- Sądzę, że tak.

- Gdzie go pan widział dziś wieczorem? Odpowiedział z niechęcią.

Zainwestował dużo uczucia w Harolda - tak jak się czasem inwestuje pieniądze tuż przed zachwianiem się rynku - i niełatwo mu je było teraz wycofać.

- Mieszka z tą młodą kobietą w pewnym motelu.

- Wiem. Gdzie jest ten motel?

- W Redondo Beach.

- A jak się nazywa, doktorze?

- „Mirt”.

- Pojedzie pan tam ze mną?

- A czy to coś da?

- Ostatni człowiek, który natknął się na Harolda, otrzymał strzał w głowę. Nie chcę, aby się to mnie przydarzyło. Ale Harold na pewno nie strzeliłby do pana.

- A co mógłbym mu powiedzieć? Że go wydałem? - Głos mu się załamał.

- Lubi pan Harolda, prawda? Skinął głową.

- Tak. Sądziłem, że wbrew wszystkiemu jest w nim coś obiecującego.

Łudziłem się, że wyprowadzę go na prostą drogę, stworzę mu lepsze życie. Ale zabrakło mi umiejętności i czasu.

- Teraz może pan coś dla niego zrobić. Niech mi pan pomoże wziąć go bez

oporu.

Milczał przez chwilę walcząc z własnymi uczuciami, potem rozstrzygnął ten wewnętrzny konflikt odpowiadając z gniewem:

- Nie pomogę. Jestem lekarzem, a nie detektywem. Wstałem. Odprowadził mnie do drzwi poczekalni.

- Bardzo mi przykro, proszę pana. Ale w tych okolicznościach po prostu nie jestem w stanie. Jeżeli mógłbym coś innego zrobić... - Urwał.

- Owszem, mógłby pan. Niech pan spróbuje odszukać ślad tego drugiego w którymś ze szpitali dla weteranów. On chyba się nazywa Nelson.

Pomyślał nad tym chwilę.

- Dobrze, spróbuję. Chętnie to zrobię.

Rozdział trzydziesty

Motel „Mirt” mieścił się przy starej autostradzie US101. Ponad nim stały uczepione z boczny bloki mieszkaniowe. Niżej błyszczały światła sklepów z napojami alkoholowymi, restauracji i stacji benzynowych.

Zabudowania motelu były wykonane z niezniszczalnych płyt betonowych, jakby w przygotowaniu do jakiejś bliżej nieokreślonej wojny. Wśród samochodów na parkingu nie było zielonego Falcona.

Zaparkowałem pod neonem „Wolne pokoje” i wszedłem do środka. Z głębi wyszedł człowiek, który wyglądał jak ofiara owej prywatnej i nieokreślonej wojny, i spojrzał na mnie pytająco ponad kontuarem. Włosy miał przeredzone, ale brak ten nadrabiała po obu stronach twarzy, jak strzemiona, bujne bokobrody.

- Czym mogę panu służyć?

- Możemy obaj się sobie przysłużyć - powiedziałem. - Pano tym nie wie, ale w jednym z pana pokoi jest człowiek, którego poszukuje policja.

Przybrał wyraz zaskoczenia, który wydał mi się u niego dość często praktykowany. Nie spuszczał wzroku z mojej twarzy.

- Nie miałem o tym pojęcia. Czy pan jest policjantem?

- Prywatnym detektywem. - Przedstawiłem mu się i pokazałem fotografię. - Ten człowiek nazywa się Harold Sherry.

Po chwili namysłu powiedział:

- Nikt o tym nazwisku nie jest u nas zameldowany.

- Prawdopodobnie użył innego. Jest to mężczyzna trzydziestoparoletni o ciemnych włosach, ciemnych oczach, wzrostu około metr osiemdziesiąt, mocno

zbudowany, o bardzo szerokich ramionach i prawdopodobnie utyka.

Recepcjonista potrząsnął głową.

- Nigdy go nie widziałem, a jestem na dyżurze od południa. Mamy w motelu tylko kilku gości. Może później interes się rozkręci - dodał z nadzieją w głosie.

Myśl, że Brokaw mnie oszukał, podeszła mi pod gardło jak mdłości.

Przełknąłem i spróbowałem od nowa:

- A może meldowała się kobieta. Przystojna, lat około trzydziestu, ciemne włosy, ciemne oczy, wzrost około metr sześćdziesiąt pięć, zgrabna figura.

W jego oczach błysnęło mgliste światełko.

- Może to ta z ósemki. Pani Sebastian. Bo ona rzeczywiście mówiła, że jej mąż coś kiepsko się czuje.

- Jakim samochodem przyjechali?

- Małym zielonym Falconem, takim pięcio- czy sześćioletnim. Zwróciłem uwagę, bo zapomniała wpisać numer rejestracyjny. Musiałem sam wyjść i wpisać go do blankietu.

- Mogę zobaczyć ten blankiet?

Poszperał w szufladzie i wyjął blankiet meldunkowy gości z pokoju numer 8: „Państwo Sebastian 408 Vitosa Street Los Angeles, Kalifornia” Był to adres Toma Russo, ale charakter pisma nie należał chyba do Laurel. Litery były dziecinne, krągłe i duże.

- Ta kobieta wypełniała blankiet? - spytałem recepcjonisty.

- Wszystko z wyjątkiem numeru rejestracyjnego. Zanotowałem sobie ten numer.

- Niech mi pan opisz tę kobietę.

- Pana opis był dość ścisły, tylko że ja nie nazwałbym jej zbyt przystojną. Troszkę za pulchna jak na mój gust. - Dłońmi nakreślił w powietrzu kształt klepsydry.

- Niech mnie pan zaprowadzi do jej pokoju. Wyszliśmy. Przed numerem ósmym nie było samochodu.

Ale w pokoju paliło się światło wyciekające zza krawędzi opuszczonych rolet. Wróciłem do recepcji obchodząc ostrożnie okno, a recepcjonista za mną.

- Wygląda na to, że wyjechali - powiedział.

- Sprawdzi pan?

- Wolę nie, jak ma być strzelanina.

- Niech im pan powie, że musi pan sprawdzić instalację albo co.

Potrząsnął głową.

Ale zostawił mnie samego i poszedł niechętnie do numeru ósmego. W minutę później wrócił.

- Tam chyba nie ma nikogo.

- Sprawdzał pan?

- Nie, ale klucz jest po zewnętrznej stronie drzwi. Weszliśmy do pokoju i stwierdziliśmy, że jest pusty.

Podwójne łóżko było nie posłane. Prześcieradła pomazane krwią, niezbyt świeżą. W powietrzu wisiał jeszcze dym. To miejsce miało w sobie coś z niechcianego życia, przed jakim Harold i ta kobieta właśnie uciekli.

Przeszukałem pokój nie pomijając szaf i łazienki i nie znalazłem nic szczególnego, prócz krwi na płytkach łazienki. Wróciłem do recepcji i skorzystałem z automatu, żeby załatwić kilka telefonów.

Najpierw zadzwoniłem do kapitana Dolana w Pacific Point. Powiedziałem mu, że natrafiłem na ślad Harolda Sherry i znowu go zgubiłem. Podałem mu numer rejestracyjny zielonego samochodu i opis młodej kobiety towarzyszącej Haroldowi.

- Kim ona jest, Archer? Laurel Lennox... Laurel Russo?

- Nie. To jakaś inna kobieta.

- Więc gdzie jest Laurel?

- Nie wiem.

- A kto jest ta inna kobieta?

- Nie wiem, kapitanie - odparłem, chociaż zdawało mi się, że wiem.

Zadzwoniłem do domu Toma w Westwood w nadziei, że mi odpowie kuzynka Gloria. Ale telefon odebrał mężczyzna. Powiedział, że nikogo nie ma, i odłożył słuchawkę.

Zadzwoniłem do drogerii. Jakiś męski głos powiedział mi, że pan Russo wziął sobie wolny wieczór. Nie, nie ma pojęcia, gdzie może teraz być, ale widział go nieco wcześniej. Przychodził do drogerii po bandażę.

- Bandażę? - spytałem.

- Tak. Mówił, że są potrzebne jego przyjacielowi.

- Czy wymienił nazwisko tego przyjaciela?

- Nie, chyba nie.

Wykręciłem numer gabinetu doktora Brokawa w nadziei, że może biuro kontaktowe poda mi jego domowy numer. Ale, o dziwo, sam podniósł słuchawkę.

Opowiedziałem mu, co się wydarzyło.

- A więc uciekli. - Nawet nie próbował ukryć ulgi w głosie.
- Niezupełnie. Mamy teraz numer rejestracyjny ich samochodu. Złapią ich.
- Ta kobieta pojechała razem z nim?
- Najwidoczniej.
- A więc to świadczy, że nie jest jego więźniem.
- To inna kobieta - powiedziałem. - Nie wiem, co zrobił z Laurel Russo.
- A kim jest jego towarzyszką?
- Myślę, że ma na imię Gloria. Pan prawdopodobnie jej nie zna. Czy

poszczęściło się panu z tymi szpitalami, doktorze?

- Prawdę rzekłszy, tak. Ale nie jestem pewien, czy słowo szczęście jest tu odpowiednie. Pewien szpital w Zachodnim Los Angeles donosi o zniknięciu pacjenta... weterana Marynarki nazwiskiem Nelson Bagley. Zwolniono go na prośzoną kolację przedwczoraj wieczorem i do tej pory nie powrócił.

- Kto zaprosił go na tę kolację?
- Nie bardzo wiadomo. Zamierza pan zająć się tą sprawą?
- Tak. Ogromnie by mi pomogło, gdyby mi towarzyszył lekarz, zwłaszcza w nocy. Te wszystkie szpitale państwowe bardzo opornie udzielają informacji.

Brokaw nie od razu odpowiedział:

- Dobrze, spotkamy się na miejscu.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Zaparkowałem przed szpitalem i wszedłem ociągając się do środka. Byłem już tam kiedyś i wiedziałem, jaki ponury i przygnębiający jest tamtejszy hall - zapowiedź tego, co może się stać z każdym człowiekiem. Ludzie, z którymi to się już stało, siedzieli wokół tego wielkiego pomieszczenia. Niektórym towarzyszyli krewni i przyjaciele.

Doktor Brokaw siedział przy biurku i rozmawiał z kobietą, która sama wyglądała jak weteran, lecz raczej jak stary sierżant niż szeregowy. Jej oczy miały szklany wyraz ograniczonych kompetencji.

- To jest panna Shell - przedstawił mi ją Brokaw. - Panna Shell pamięta, że zwalniała Nelsona Bagleya przedwczoraj wieczorem.

- Tak jest, pamiętam. - Dźgnęła powietrze swym ostrym profilem. - Miał wrócić o dziesiątej tego samego wieczoru. W ogóle nie chciałam go puszczać, ale doktor Lampson powiedział, że to nie zaszkodzi.

- Czy doktor Lampson był jego lekarzem?

- Tak. Już go wezwałam. To właśnie z nim powinni panowie rozmawiać. Ja tylko wypuściłam Bagleya. Polecenie wydał doktor Lampson. - Była pełna napięcia.

- Nikt pani nie wini - rzekł Brokaw uspokajająco. - Nie mogła pani przecież przewidzieć, co się stanie.

- A co się stało? - spytała.

- Nie wiemy dokładnie. Dziś rano znaleziono go w oceanie koło Pacific Point. Pan Archer właśnie wyciągnął go z wody.

Kobieta zwróciła się w moją stronę.

- Czy to było samobójstwo?

- Bardzo wątpię. Myślę, że został zamordowany. Jej usta zacisnęły się, oczy rozszerzyły.

- Ten młody człowiek wydał mi się podejrzany. Gdyby to ode mnie zależało, nie zostawiłabym go sam na sam z żadnym z pacjentów.

- Czemu, proszę pani?

- Nie podobało mi się jego zachowanie. Nie patrzył mi w oczy.

- A jak tłumaczył, że chce zabrać stąd Bagleya?

- Chciał go poczęstować domową kolacją. Przynajmniej tak mówił.

Przez hall szedł ku nam mężczyzna w białym fartuchu. Panna Shell obrzuciła go szybkim, oskarżycielskim spojrzeniem, a potem przybrała urzędową minę, jak zwykle pielęgniarki w obecności swoich przełożonych.

- Oto doktor Lampson.

Był to wysoki ciemny mężczyzna z twarzą, której nieobcy był ból. Jego czarne włosy były krótkie, przycięte niemal na sposób wojskowy, ciało szczupłe. Kiwnął głową doktorowi, który przedstawił mu się, a potem przedstawił mnie. Lampson zaprowadził nas w odosobniony kąt hallu i wszyscy trzej usiedliśmy na plastikowych krzesłach.

- Co się stało z Nelsonem? - spytał.

Opowiedziałem mu dosyć szczegółowo. Lampson słuchał uważnie. Jego oczy, podobnie jak gmach, w którym praktykował, były pełne cieni.

- Nie rozumiem tego - rzekł, kiedy skończyłem. - Pan widział Nelsona wczoraj wieczorem... w środę wieczorem... w restauracji w Pacific Point. Ale on wyszedł stąd we wtorek, około wpół do szóstej, jakoby na kolację z przyjaciółmi. Co się z nim działo w tym czasie?

- Wiem tylko jedno - powiedział Brokaw - że Harold Sherry wczoraj przyprował go do mnie, do Long Beach.

- Zna pan Harolda Sherry? Jest moim pacjentem.

- Co to za człowiek?

Brokaw spojrział na mnie pytająco, a ja odwzajemniłem mu to spojrzenie.

Opuścił głowę w zakłopotaniu ujmując brodę dłonią.

- Naprawdę nie potrafię na to odpowiedzieć.

- Od jak dawna jest pana pacjentem, doktorze? - spytał Lampson.

- Od paru miesięcy. Nie zdążyłem go dobrze poznać. Ale wiem, że ma problemy.

- Jakiego rodzaju problemy? Wyjaśniłem:

- Harold postrzelił człowieka dziś po południu i sam został postrzelony. Szuka go policja i ja. Jest podejrzany o kidnaperstwo.

Oczy Lampsona drgnęły odrobinę, ale poza tym nie okazał zdziwienia ani zaskoczenia.

- Wydaje się więc, że Harold istotnie ma problemy. Na co go pan leczył, doktorze?

- Przyszedł do mnie z podejrzeniem o chorobę weneryczną. Okazało się jednakże, że to jest drobna infekcja, którą się dało łatwo usunąć. Przychodził do mnie jeszcze parę razy, bo wyraźnie chciał z kimś porozmawiać. Był bardzo rozgoryczony na ojca i jeszcze paru innych ludzi i czułem, że jest gotów napytać sobie biedy. Od czego nie udało mi się go uchronić. - Brokaw zwiesił kudłatą głowę i wysiąkał nos.

Lampson zwrócił się do mnie, nieco zniecierpliwiony:

- A pan zna Harolda?

- Poznaje, przez osoby trzecie. Nigdy z nim nie rozmawiałem. Bardzo bym chciał wiedzieć, czemu interesował się pana pacjentem, Nelsonem Bagleyem.

- Ja też. Zupełnie tego nie rozumiem.

- A czy wie pan, w jaki sposób skontaktował się z Bagleyem?

- W zeszłym tygodniu przyprowadziła go tutaj pewna kobieta. Odwiedzała Bagleya już przedtem. Myślę, że ich łączy jakieś pokrewieństwo.

- Z Bagleyem czy z Haroldem?

- Z Bagleyem. Jej związek z Haroldem był oczywisty. Szalała za nim.

- Może pan ją opisać, doktorze? Lampson skierował wzrok w kąt sufitu.

- Dość tęga, dość ładna, brunetka... wiek około trzydziestki.

- Czy ma na imię Gloria?

- Tak, tak. Tylko nie zapamiętałem nazwiska. Przygnębiała mnie mroczna atmosfera tego szpitala.

Czułem się jak zagubiony w podziemiach, gdzie nikomu nie można ufać ani wierzyć.

- Flaherty. Znam tę kobietę - powiedziałem. - Ucieka teraz z Haroldem.

- Zdumiewające. A wydawała się taka przyzwoita.

Brokaw uniósł głowę.

- Bo jest przyzwoita. Widziałem ją...

Urwał i jego zastygłe w rozchyleniu usta wyglądały jak czerwona rana na brodzie. Oderwał wzrok od Lampsona i spojrzał na mnie. Potem znów opuścił głowę kryjąc twarz pod strzechą włosów.

Lampson popatrzył na mnie i uniósł brwi pytająco. Potrząsnąłem głową w odpowiedzi. Jakby usłyszawszy tę niemą wymianę, Brokaw wstał i odszedł. Obejrzał się tylko raz przed dojściem do drzwi, ale nie uczynił gestu pożegnania.

- Co mu się stało? - spytał mnie Lampson.

- Nie wiem. Myślę, że dał się okpić Haroldowi Sherry, i teraz się wstydzi.

- Zachowuje się, jakby był współwinny.

- Nie. Jestem pewien, że nie.

- O co mu chodziło, kiedy powiedział, że widział tę dziewczynę? Wie pan?

- Nie.

Byłem zdziwiony stwierdziwszy, że osłaniam Brokawa.

Może należało mu się to ode mnie. Był wobec mnie żenująco szczery. Ale jego odejście pozostawiło wiszące w powietrzu pytania.

- Mówił pan, że zna pan Głorię? - spytał Lampson.

- Rozmawiałem z nią kilkakrotnie. Odniosłem takie samo wrażenie jak pan... że jest to dziewczyna uczciwa i z jak najlepszymi zamiarami. Może tak jest w istocie. Nie byłaby pierwszą miłą dziewczyną, która zainteresowała się jakimś socjopatą.

- Czy za takiego właśnie uważa pan Harolda?

- Ma w sobie coś z tego.

- A jak jest z tym porwaniem?

Powiedziałem mu, nie wymieniając nazwiska Laurel. Lampson marszczył nos, kiedy mówiłem, i wyglądał go mchem ręki. Powtórzył ten gest kilkakrotnie.

- Przykro mi, że pozwoliłem swojemu pacjentowi opuścić szpital z Haroldem

Sherry.

- A czemu pan to zrobił?

- Nie przyszło mi do głowy, że przy Glorii może go spotkać jakaś krzywda. A Sherry wydawał się szczerze nim zainteresowany. To było pierwsze zaproszenie tego typu, odkąd leczę Nelsona. Kiedy się nim zająłem, był bliski katatonii, całkowicie niekomunikatywny, nieświadom tego, co się wokół dzieje. Starałem się go wyrwać z tego stanu i udało mi się. Jednocześnie uległ poprawie również jego stan fizyczny. Uznałem, że może zacząć życie towarzyskie. A w każdym razie nie widziałem w tym nic złego. - Ukazał zęby w ponurym uśmiechu. - Jak to się można pomylić... Kiedy podpisywałem mu przepustkę ze szpitala, złożyłem podpis pod wyrokiem śmierci na tego człowieka.

Powiedział to z wyraźnym żalem. Chociaż trzymał uczucia mocno na wodzy, przypomniał mi gwałtowny wybuch Ellisa w kostnicy. Ani doktor Lampson, ani Ellis nie zabili Nelsona Bagleya, ale obaj czuli się winni jego śmierci.

- Nie jest pan jedyny - powiedziałem - który się czuje odpowiedzialny za śmierć Nelsona Bagleya. Dziś po południu w kostnicy szpitala Pacific Point rozmawiałem z człowiekiem nazwiskiem Ellis, który uważał, że to on go zabił. Był odpowiedzialny za załadunek benzyny lotniczej na „Canaan Sound”, statku, na którym pływał Nelson, i powiedział mi, że popełnił błąd, który spowodował pożar. Ellis był półprzytomny, bliski halucynacji. Myślał, że ciało Nelsona przeleżało w oceanie ponad dwadzieścia pięć lat... że woda przyniosła je spod Okinawy.

- Można to i tak ująć - rzekł Lampson - Bagley niewiele miał w sobie życia przez te lata. Czy ten oficer... Ellis?

- Tak.

- Czy ten Ellis powiedział, jak to się stało, że na „Canaan Sound” wybuchł pożar?

- Powiedział, że pomylił się w obliczeniach i ciśnienie rozerwało jeden ze zbiorników.

- Naprawdę?

- Ja nie kłamię. Sądzę, że Ellis też nie kłamał.

- Nie. Nie kłamał.

- Rozmawiał pan z Ellisem, doktorze?

- Rozmawiałem z Nelsonem. - Jego usta były skrzywione w zagadkowym uśmiechu. - To już teraz nieważne... skoro on nie żyje... ale jego pamięć stopniowo

powracała. Zaledwie w ubiegłym tygodniu opowiedział mi o rozerwanym zbiorniku na lotniskowcu. To było ostatnie, co pamiętał z „Canaan Sound”... ostatnie, co zdołał sobie przypomnieć od wielu lat.

- Co spowodowało powrót pamięci, doktorze?

- Chciałbym móc przypisać to mojej umiejętności. - Uszczypnął się w nos, jakby dla ukarania swojej pychy i spojrzął na mnie sponad palców uważnymi czarnymi oczyma. - Ale prawda jest taka, że jestem do niczego. Nie jestem nawet biegłym psychiatrą. Muszę przyznać, że Nelsona bardziej działały wizyty Glorii niż moje. Rozum: więc pan, czemu ją do nich zachęcałem. Czuję, że oboje przywracamy go życiu. Ze cała przeszłość zaczyna wypływać na powierzchnię jego świadomości. Nawet jego nieszczęsne ciało zaczynało reagować na leczenie. Ale udało mi się tylko przygotować go na śmierć.

Mówił głosem szorstkim, przesyconym gniewem, który młodzi ludzie często skierowują przeciw sobie. Zamknął oczy i jego twarz jakby się obnażyła.

- Nelson Bagley musiał dla pana dużo znaczyć, doktorze.

- Był moim Łazarzem. - Mówił z żalem i ironią. Sądziłem, że zdołam go wskrzesić. Ale powinienem był zostawić go w spokoju.

- Czemu pan tak sądzi?

Pochylił się ku mnie i plastikowe krzesło jęknęło pod jego ciężarem.

- Zastanawiam się... niewykluczone, że Nelson został zabity, ponieważ wróciła mu pamięć. Ostatnim razem, kiedy z nim rozmawiałem, wyszła na jaw pewna dość drażliwa sprawa.

- Jaka?

- Coś mającego związek ze śmiercią jakiejś kobiety. Mówił o niej, jakby była jego żoną. Sprawdziłem jednak jego papiery i nie ma w nich nic, co by wskazywało, że był kiedykolwiek żonaty.

- Co stało się z tą kobietą?

- Najwyraźniej dawno, dawno temu została zamordowana. To mogło być nawet w tym samym roku, w którym pękł zbiornik z paliwem i Nelson Bagley znalazł się za burtą. Śmierć tej kobiety i pęknięcie zbiornika przypomniały mu się w tej samej rozmowie.

- Zaledwie w zeszłym tygodniu?

- Tak.

- W jaki sposób ją zamordowano?

- Została zastrzelona. Możliwe, że Nelson sam ją zastrzelił, choć nie powiedział tego.

- Sądzi pan, że Nelson został zamordowany, ponieważ, pamiętał śmierć tej kobiety?

Jakby poczuwszy zagrożenie Lampson podniósł pięść do ust i rzekł zza jej osłony:

- Nie próbuję wysuwać żadnej hipotezy. Ale przyszła mi na myśl taka możliwość. Bo jakież można sobie wyobrazić motyw zabójstwa podobnego nieszczęśnika. Nie miał pieniędzy ani żadnych powiązań, o ile mi wiadomo. Opuścił pięść.

- Powiedział pan, że mógł ją zastrzelić. Już to sami wystarcza za motyw jego zabójstwa. Próbował się pan dowiedzieć; kim była ta kobieta?

- Nie. Chciałem to zrobić, ale byłem zbyt zajęty.

- Jak miała na imię?

- Nelson nazywał ją, zdaje się, Allie.

- Czemu pan sądzi, że on mógł ją zastrzelić?

- Bo winił siebie za jej śmierć.

- A co dokładnie powiedział? Lampson zadumał się nad moim pytaniem.

- Nie pamiętam ściśle jego słów, a to jest bardzo waż; Prawdę mówiąc nie byłem nawet pewien, czy mówił, że zabił, czy że miał z nią stosunek, a może jedno i drugie. Spojrzał na mnie jakby z urazą. - Nie zamierzałem par tego mówić.

- Cieszę się, że pan powiedział.

- Cóż dobrego może to dać? Nie wskrzesi ani tamtej kobiety, ani Nelsona.

- Ale chce pan wiedzieć, kto go zabił - powiedziałem i dlaczego. Jeśli się tego nie dowiemy, jego śmierć będzie bezsensowna, a może także jego życie.

Lampson kiwnął głową.

- Ma pan rację. O to właśnie chodzi, prawda? Żeby znaleźć jakiś sens.

Właśnie to usiłował zrobić Nelson.

Przez ponad dwadzieścia pięć lat wegetował. Ale pod koniec zaczął wracać do prawdziwego życia, walcząc o jego sens. A ja próbowałem mu pomóc.

Zaczynał się przede mną obnażać. Podobało mi się to, co w nim ujrzałem, więc zapytałem:

- Co sprawiło, że pan się zainteresował Nelsonem?

- To, że był tak zupełnie bezradny, fizycznie i umysłowo. Poświęciłem mu

sporo czasu... być może więcej, niż powinienem. Obawiam się, że ze szkodą dla innych pacjentów.

- Czemu?

- Nie wiem czemu. Ale właściwie wiem. Nelson przypominał mi trochę mojego ojca. - Oczy Lampsona znieruchomiały, jakby spoglądał w głąb ciemnej kopalni. - Mój ojciec został zabity na Guadalcanal, kiedy byłem młodym chłopcem.

- I dlatego jest pan teraz tutaj?

- Ma pan na myśli ten szpital? Jestem pewien, że to jedna z przyczyn. Ale nie przyszedł pan tu, żeby zajmować się moją osobą. A może właśnie? - Znowu zrobił się nerwowy, zaczął zamykać się w sobie.

- Potrzebuję pana pomocy, doktorze. Próbuję odnaleźć kobietę, którą wczoraj wieczorem uprowadzono. Dziś po południu Harold Sherry podjął za nią sto tysięcy dolarów okupu i postrzelił jej ojca. Wydaje mi się, że tędy wiedzie droga do uprowadzonej.

Lampson spojrział w głąb hallu, jakby mógł w nim strzec obraz tej kobiety albo jakiś pozostawiony przez nią ślad. Hall był teraz prawie pusty. Większość odwiedzanych już odeszła, a pacjenci rozchodzili się w głąb szpitala jak duchy na odgłos piania koguta.

- Jak się ta kobieta nazywa?

- Laurel Russo.

Lampson wyciągnął rękę i ścisnął mnie za przegub dłoni.

- Russo?

- Tak.

Jego uścisk się zacieśnił.

- Tak właśnie nazywała się ta zamordowana.

- Ta, o której mówił Nelson?

- Tak. Nazywała się Allie Russo.

Siedzieliśmy patrząc na siebie jak odbicia w lustrze. Poruszyłem ręką, żeby mu przypomnieć, że ją ściska. Puścił mnie jak oparzony.

- Czy ma pan jakiś zapis rozmowy z Nelsonem?

- Zrobiłem kilka notatek.

- Mógłbym je zobaczyć, doktorze?

- Chyba nie wolno mi ich dawać.

- Więc dobrze. Nie zamierzam ich zabierać z sobą. Chcę po prostu rzucić na

nie okiem.

Wahał się.

- Niech pan pamięta, że wprowadzono kobietę - powiedziałem. - Według wszelkich danych znajduje się ona w rękach niebezpiecznego człowieka. I dlatego nie powinniśmy zważać na prawo zmarłego pacjenta do osobistych tajemnic.

Lampson skinął głową na zgodę.

- Niech pan pozwoli ze mną do gabinetu.

Poszedłem za nim korytarzem czując wokół siebie gęstniejącą atmosferę szpitalną. Na porysowanym metalowym biurku leżały stosy papierów, które Lampson zaczął przerzucać. W końcu podał mi arkusz żółtego papieru, na którym było napisane ołówkiem:

„Nazywała się Allie Russo i chciałem się z nią ożenić, ale odwróciła się ode mnie, a ja zacząłem ją śledzić i zobaczyłem, jakie wiodła życie. Którejś nocy podpatrywałem ją przez żaluzje i zobaczyłem, jak to robili. Wtedy oszalałem i zrobiłem jej straszną rzecz. Prosiłem Boga, aby mi wybaczył, ale nadaremnie. Bóg sprawił, że nam pękł zbiornik z paliwem i wybuchł pożar, a ja od tej pory żyję w piekle”.

Siedzieliśmy obaj z Lampsonem przez chwilę w milczeniu. Niewielki gabinet doktora zdawał się zatłoczony obrazami z przeszłości.

- Jak pan sądzi, co on zrobił? - spytałem.

- Chyba czuł się odpowiedzialny za jej śmierć. Ale mógł i wcale nie zrobić tego, co mu się zdawało. Tacy ludzie jak Nelson czują się czasem okropnie winni tylko dlatego, że i spotkało ich straszne nieszczęście.

Rozdział trzydziesty drugi

W domu Toma Russo paliło się światło. Zapukałem do frontowych drzwi i po chwili usłyszałem wewnątrz powolne kroki. Drzwi uchyliły się lekko.

Na pierwszy niepewny rzut oka myślałem, że twarz, która się ukazała w szparze, należy do Toma, tylko jest głęboko naznaczona smutkiem. Potem stwierdziłem, że to twarz starszego mężczyzny, bardzo do niego podobnego.

- Czy zastałem Toma? - spytałem.

- Czego pan od niego chce?

- Mam do niego interes.

- Jaki?

U kogoś młodszego te oschłe pytania brzmiałyby bezczelnie, nawet wrogo.

Ale wyczułem pod nimi niepokój, starczą słabość.

- Jestem prywatnym detektywem, pomagam Tomowi odszukać żonę. Nie wie pan, gdzie on może być?

- Pojechał odwiedzić kuzynkę.

- Do Redondo Beach?

I - Chyba wspomniał właśnie o Redondo. Prosił mnie, żebym tu pobył na wypadek, gdyby coś zaszło. Ale już dawno powinien był wrócić.

- Czy pan jest jego ojcem?

- Tak. - Dostrzegłem w jego oczach błysk zadowolenia.

- Zawsze byliśmy do siebie podobni. Wielu ludzi zwraca na I to uwagę. Proszę wejść. Tom powinien lada chwila wrócić.

- Poczekam. Mam dla niego wiadomość. Zaprowadził mnie do frontowego pokoju i usiedliśmy naprzeciwko siebie. Był dość przystojnym mężczyzną lat około siedemdziesięciu, o bujnych, falistych włosach koloru stalowego. Miał na sobie świeżo uprasowane ciemne ubranie.

- Wiadomość o żonie? - spytał po długiej grzecznościowej przerwie.

- O żonie - odparłem - i matce.

Twarz mu drgnęła i spuścił wzrok na swoje dłonie, które były nieco zniekształcone i poznaczone ciemnymi plamkami.

- Byłem mężem matki Toma.

- Co się z nią stało, proszę pana?

- Zastrzelono ją w tym domu, kiedy Tom był malutki. - Spojrzał na mnie niespokojnie. - Czy Tom dopytywał się o matkę?

- Śniła mu się dziś rano.

Russo pochylił się sztywno do przodu.

- Co o niej mówił? Odpowiedziałem wymijająco:

- Coś niezbyt zrozumiałego. Czy on wie, co się z nią stało?

Starszy pan potrząsnął głową.

- Wtedy wiedział, ale potem zapomniał. Pozwoliłem mi zapomnieć. Może zrobiłem błąd. Kiedy przyjechał dziś po mnie, ledwie go poznałem. Nie był tym szczęśliwym, pogodnym chłopcem, którego wychowałem. Ale jeżeli popełniłem błąd, miałem po temu powody. Był taki mały, kiedy to się stało... miał niespełna pięć lat... nie sądziłem, że to pozostawi na nim jakiś ślad. Sądziłem, że możemy się tu przeprowadzić obydwaj i zacząć od nowa. - W jego oczach i głosie było głębokie

rozczarowanie.

- Skąd przeprowadzić, proszę pana?

- Z Bremerton, w stanie Waszyngton. To wszystko zaczęło się podczas wojny, kiedy pojechałem pracować w stoczni w Bremerton. Odnająłem ten dom i zabrałem z sobą Allie i małego Toma. Ale nie pobyli ze mną długo. Allie postanowiła mnie porzucić. Zabrała małego Toma i mieszkali w tym domu, a ja byłem przez rok sam w Bremerton.

- Kiedy pan wrócił?

- Dopiero po śmierci Allie. Wezwali mnie tutaj, kiedy znaleźli jej ciało. Ktoś ją zastrzelił. Zdaje się, że już panu mówiłem.

- A gdzie znaleziono jej ciało?

- Na podłodze sypialni. - Machnął niedbale ręką w stronę pokoju, w którym dziś rano majaczył Tom, majaczył, jakby zapadł jako dziecko w sen, z którego do tej pory jeszcze się w pełni nie obudził.

- A gdzie był Tom?

- Tutaj, razem z nią. Spędził tak pewnie sporo czasu. Stwierdzono, że nie żyła już od kilku dni, kiedy policja ją znalazła. - Nagle łzy rozjaśniły jego oczy. - Gdy zbrakło mu jedzenia, Tom poszedł do sąsiadów. Niech mnie pan nie pyta, czemu nie wcześniej. Myślę, że się bał. Wie pan, jakie są dzieci. Myślą, że wszystko, co tylko się stanie, to ich wina.

- Czy rozmawiał pan z nim o tym?

- Niewiele. Nie chciałem budzić licha. - Otarł łzy palcami, najpierw z jednego oka, potem z drugiego. - Może pan uzna to za błąd, że pozostałem z Tomem w tym domu. Ale był mój i miałem prawo w nim mieszkać. To był jedyny dom, jaki kiedykolwiek miałem. Udało mi się go kupić okazji, gdy ożeniłem się z matką Toma w 1937 roku. Tom może być mu tylko wdzięczny. Zapożyczyłem się pod zastaw tego domu, żeby móc wysłać Toma na farmację. Teraz dobrze zarabia jako farmaceuta i stać go na to, żeby mnie spłacić. Mając to i emeryturę mogę jakoś żyć. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby nie ten dom.

- Nikt pana nie krytykuje.

- To tylko pan tak myśli. Ale rodzina Allie nie szczędziła mi wyrzutów, że mieszkam tu z Tomem. Myślałem, że może z czasem obaj zapomnimy. - Rozejrzał się wokół, jakby z każdego kąta wyglądała przeszłość. - Co Tom powiedział panu dziś rano? Czy wspomniał matkę i to, co się z nią stało?

- Myślę, że próbował.

- Wymienił jakieś nazwiska?

- Nie przy mnie - odparłem. - Czy wymieniał jakieś nazwiska przy panu?

Starszy pan potrząsnął głową przecząco. Przyglądałem się jego twarzy, która była poznaczona i pocięta zmarszczkami jak układanka.

- Nie domyśla się pan, kto mógł ją zabić? Spojrzał na mnie wymijająco.

- Sądząc z tego, co początkowo mówiła policja, to jakoby ja miałem być jej mordercą. Ale udowodniłem, że byłem wtedy w Bremerton. Nie widziałem Allie od roku. Przeszło roku.

- Czemu podejrzewali pana? Rozłożył ręce.

- Wie pan, jacy oni są. Mąż jest zawsze pierwszym podejrzanym. A zanim skończyli ze mną, ten, co to zrobił, był już na drugim końcu świata.

- Na drugim końcu świata?

- Tak właśnie mówię.

- Czy ma pan na myśli kogoś określonego?

- Tak, proszę pana, właśnie. - Pochylił się ku mnie. Jego palce o nabrzmiałych stawach zamknęły się na moim kolanie. - Jestem pewien, że wiem, kto zabił Allie. To wszystko się zgadza, rozumie pan? Spotkała go w Bremerton... należał do załogi jednego lotniskowca, który myśmy w stoczni budowali. „Canaan Sound”. To z jego przyczyny ona mnie porzuciła. Pokłóciliśmy się i odeszła. Była w Bremerton, tylko dopóki „Canaan Sound” tam stał, z Bagleyem na pokładzie... on się nazywał Nelson Bagley. A jak statek Bagleya odpłynął, Allie też odpłynęła w świat i zabrała z sobą mojego chłopaka.

- Skąd pan wie, że Bagley ją zabił?

- To wszystko się zgadza. Kiedy przyjechałem z Bremerton, żeby zaopiekować się Tomem, Tom mówił mi, że wtedy w domu był Bagley.

- Wymienił jego nazwisko?

- Opisał mi jego wygląd. Ale kiedy chciałem, żeby powiedział to policji, milczał jak zakłęty. Policja powiedziała, że nie ma dowodów przeciw Bagleyowi... wiedziałem, że chcieli to wszystko zwalić na mnie. Zacząłem więc sam prowadzić śledztwo i znalazłem reportera, który się tym zainteresował. Napisał artykuł o Bagleyu i było w nim wszystko, tylko nie wymienił jego nazwiska... cały opis i wszystko. Jestem całkowicie pewien, jak tu siedzę, że to był Bagley.

- Czemu jest pan taki pewien?

- Nabrałem pewności - odparł - kiedy się dowiedziałem, że „Canaan Sound” stał w porcie Long Beach tej nocy, gdy Allie została zabita. To był statek Nelsona Bagleya i Bagley był tej nocy na przepustce. Przyszedł tu, do miasta, zabił ją i wrócił na statek. A następnego ranka... to było 3 maja 1945 roku... odpłynął na Okinawę. Zanim znaleźli ciało Allie, Nelson Bagley był na drugim końcu świata.

Zapisałem tę datę.

- A czemu ją zabił, proszę pana?

- Myślę, że musiała zacząć się zadawać z kimś innym. Bagley pewnie wpadł w szal zazdrości.

- Czy wie pan, kto był tym kimś innym?

- Nie wiem, pewnie któryś z jego kolegów. Oni sobie nieźle hulali w Bremerton. I mamie skończyli. Później się dowiedziałem, co stało się z ich statkiem. Spalił się koło Okinawy. A wie pan, jak skończył Bagley? Usmażył się w oleju i to była kara niebios. Dowód ostateczny.

- Spotkała go jeszcze jedna kara - powiedziałem. - Wczoraj wieczorem Bagley utonął. Ale sądzę, że niebiosa nie mają z tym wiele wspólnego.

Pan Russo wstał i schylił się nade mną chwiejąc się leciutko.

- Jak mógł się utopić? Był pacjentem w szpitalu weteranów.

- Był. Ale kuzynka Gloria i jej chłopak zabrali go stamtąd.

Zmarszczył brwi.

- W jaki sposób? Ci ze szpitala powiedzieli mi, że z niego został tylko żywy trup. Nawet nie pozwolili mi go zobaczyć.

- Kiedy to było, proszę pana?

- Dawno, dawno temu, tuż po wojnie.

- Widocznie od tego czasu stan jego zdrowia bardzo się polepszył. Ale nie wyszło to Bagleyowi na dobre.

Russo odszedł w koniec pokoju i wrócił powolutku.

- Nie sądzi pan chyba, że Gloria go zabiła?

- Nie wiem. Jak ona się zapatruje na śmierć swojej ciotki?

- Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem - powiedział pan Russo, - Po śmierci Allie niewiele widywałem się z jej rodziną. Matka Glorii... to siostra Allie, Martie... jest kobietą zawziętą. Nawet jak udowodniłem władzom, że byłem w Bremerton w chwili zabójstwa Allie, jej siostra nie mogła mi wybaczyć. Zawsze uważała, że Allie mnie rzuciła, bo ją źle traktowałem. Ale to kłamstwo. Traktowałem ją najlepiej, jak

umiałem. - Spojrzał na mnie czarnymi zadumanymi oczyma. - Czasem myślę, że byłoby lepiej, gdybym nigdy nie kupował tego domu. Nigdy nie poznał Allie. Nigdy nie miał syna. Zrobiłem się od tego wszystkiego zgorzkniały.

- Czemu?

Siedział z twarzą spokojną, wpatrzoną w przeszłość.

- To dom niedobry dla małżeństw. Niech pan spojrzy, co się stało z małżeństwem mego syna. Zrobiłem błąd kupując ten dom.

Rozdział trzydziesty trzeci

Na ulicy rozległ się warkot samochodu. Ucichł przed domem i pan Russo uniósł głowę.

- To samochód Toma. Znam się na samochodach. Miałem stację benzynową, zanim racjonowanie benzyny nie położyło interesu w latach czterdziestych. - Mówił, jakby to było wczoraj.

Wszedł Tom i przywitał ojca z pełną niepokoju troską.

- Jak się czujesz, ojcze?

- Dobrze. Czemu miałbym się czuć źle?

- Nie zamierzałem cię tak długo zatrzymywać.

- Nic się nie stało. Mieliśmy z panem Archerem o czym mówić.

Tom spojrzał na mnie. Oczy miał rozszerzone, wciąż pełne nocy, która panowała na zewnątrz.

- Chciał się pan ze mną zobaczyć?

- Mam do pana kilka pytań. A przy okazji, gdzie pan się podziewał?

- Odwoziłem Glorię. Potem trochę pojeździłem. Byłem w Pacific Point, żeby się dowiedzieć, czy rodzice Laurel czegoś o niej nie wiedzą. Ale nikogo tam nie zastałem.

- Ojciec Laurel został dziś po południu postrzelony. Jest w szpitalu w Pacific Point, a jego żona przy nim.

- Kto go postrzelił?

- Harold Sherry. - Opowiedziałem mu, co się zdarzyło w klubie łowieckim.

Usiadł na podnóżku, pochylony, z rękami opartymi na kolanach, zwieszonymi bezwładnie dłońmi, zaskoczonymi i urażonymi oczyma. Zapytałem, czy widział Harolda. Potrząsnął głową.

- Wie pan, gdzie on jest?

- Gloria prosiła mnie, żebym nie mówił.

- Czy Gloria wiedziała, że on jest poszukiwany przez policję? Pytanie to wstrząsnęło nim.

- Nie. To znaczy, jeżeli nawet wiedziała, to mi nie powiedziała.

- A co panu powiedziała?

- Zadzwoił tutaj do niej. Mówił, że jest ranny. Nie wspomniał o żadnej strzelaninie. Sądziłem, że uległ jakiemuś wypadkowi i dlatego są mu potrzebne bandaże.

- Czy widział go pan?

- Nie. Nie chciałem, abym wchodził do motelu.

- Czy to motel „Mirt” w Redondo Beach? Potrząsnął głową.

- Nie pozwolono mi mówić.

- Pan nie jest po stronie Harolda, Tom. A on nie jest po stronie pana. Wczoraj wieczorem porwał pana żonę i prawdopodobnie więził ją w celu uzyskania okupu. Mówiłem panu o tym dziś rano. Nie pamięta pan?

- Nie. Czy ja rozmawiałem z panem dziś rano?

- Był pan w łóżku, właśnie się pan zbudził.

- Ach, tak, pamiętam. - Ale naprawdę nie pamiętałem. Ojciec pochylił się nad nim i trącił go w ramię.

- Porozmawiaj z tym człowiekiem. On jest po twojej stronie. Chce, żebyś odzyskał żonę.

Tom skrzywił się boleśnie, jakby go ojciec dźgnął między zębra.

- Dobrze, dobrze. To był „Mirt” w Redondo Beach.

- Już ich tam nie ma - powiedziałem. - Dokąd mogli się stamtąd udać?

- Nie wiem. W ogóle nie rozumiem, co się dzieje. Czy Gloria jest w to zamieszana?

- Na pewno, w taki lub inny sposób. Czy wie pan, jak poznała Harolda?

Odpowiedział dopiero po chwili:

- Tu, w tym domu. Laurel spotkała go gdzieś w mieście, znali się jeszcze z czasów szkolnych, i przyprowadziła go na kolację. Potem przyszła Gloria i oboje z Haroldem wpadli sobie w oko. Sądzę, że od tego czasu spotykali się dość często.

- Gdzie się spotykali?

- Trochę tu, a trochę chyba w jej mieszkaniu. Przeważnie w jej mieszkaniu. Nie podobało mi się, że Harold za często tu bywa, zwłaszcza, gdy miałem nocne dyżury. Miałem z Laurel... miałem z Laurel parę rozmów na ten temat. Prawdę

mówiąc, to chyba jeden z powodów, że odeszła. Harold wywierał na nią bardzo dziwny wpływ.

- Czy byli z sobą blisko?

Pytanie to zakłopotało go. Może dlatego, że słuchał ojciec. Tom wstał i zaczął chodzić po pokoju bardzo niepewnym krokiem, jak ślepiec, który bada nieznaną pomieszczenie. Odwrócił się i powiedział do mnie cicho z drugiego końca pokoju:

- Nie spali ze sobą, jeżeli o to panu chodzi. Harold interesował pod tym względem tylko Glorię. Ale on miał bardzo dziwny wpływ na Laurel. Potrafił ją podniecić opowiadaniem różnych rzeczy. Nie było to podniecenie seksualne... ale zachowywała się jak po amfetaminie i alkoholu. Ona ich nie używała, ale tak się zachowywała. Robiła się śmieszna, głośna i głupiutka. Nie podobało mi się to. Więc kiedy przyszedł ostatnim razem, mniej więcej tydzień temu, powiedziałem, żeby już nie przychodził.

- Wtedy Laurel się wyniosła?

- Tak.

- Sądzi pan, że nadal widywała się z Haroldem?

- Mówi pan, że on ją porwał. Więc ją widuje - odparł z nieszczęśliwą miną.

Powtórzyłem pytanie, które zadałem mu rano.

- Czy może to być fikcyjne porwanie? Coś, co uknuli razem, aby wydobyć pieniądze od rodziny Laurel?

Tom unikał wzroku ojca. Teraz odwrócił się, spojrzał na niego. Twarz starszego pana Russo poszarzała i zmieniła kształt, jakby ją wciśnięto w prostokątne pudło.

- Późno już, tato. Lepiej odwiozę cię do domu.

- Żebym się nie dowiedział, co się w tym domu dzieje?!

- Tu nic się nie dzieje.

- Nie próbuj mnie zwodzić i nie próbuj dać się oszukiwać. A ty tylko siedzisz i nie starasz się temu zapobiec, powtarzając moje błędy. Myślałem, że po tym, co się stało z twoją matką, będziesz mądrzejszy.

- A co się stało z moją matką? - Głos Toma był piskliwy i pełen rozpacz, jakby w lęku przed odpowiedzią na to pytanie.

- Twoja matka została tu, w sypialni tego domu, zamordowana. - Pan Russo mówił z na wpół świadomym okrucieństwem człowieka starego, który nie wyciągnął żadnej nauki z własnego cierpienia. - Powinieneś to pamiętać] Byłeś tu, w tym

domu, kiedy ten człowiek to zrobił. Kiedyś to pamiętałeś.

Krew raptownie odpłynęła z twarzy Toma. Zacisnął pięści i rzucił się na ojca. Pan Russo zdążył się lekko unieść z fotela, ale opadł z powrotem po ciosie Toma.

Chwyliłem Toma wpół i odciągnąłem od ojca. Z kącika ust pana Russo płynęła krew. Wepchnąłem Toma w fotel pod przeciwległą ścianą i stanąłem nad nim. Zaczął szlochać.

- Niech go pan zapyta, kto zastrzelił jego matkę - rzekł starszek spoza moich pleców. - Był tutaj, kiedy to się stało. No, niech go pan zapyta.

Pan Russo był zły i podniecony. Bolesne wspomnienie z przeszłości było ponad jego siły i teraz brał odwet na synu za stratę żony. Zastanawiałem się, czy nie robił tego stale, odkąd powrócił z Bremerton, żeby się opiekować synem.

Łkania Toma były jak czkawka, która wstrząsała całym jego ciałem. Ojciec wziął go za ramiona. Czy to był Nelson Bagley?

- Nie wiem, nie wiem - mówił wysokim, bezbarwnym głosem.

- Czy był w marynarskim mundurze?

- Tak. Ale go zdjął i robili dyń, dyń.

W pokoju znów zawisła groźba gwałtu. Stary Russo zaczął potrząsać Tomem.

- Czemu nie powiedziałaś wtedy o tym policji? Teraz już za późno.

- Tak jest, proszę pana. Za późno. Niech mu pan da teraz spokój.

- On jest moim synem.

- Więc niech go pan traktuje jak syna. Jest wystraszony i zdenerwowany, stracił żonę...

- Ja też straciłem żonę - rzekł starszy pan.

- Wiem o tym. Tym bardziej powinien pan rozumieć syna.

Jak bokser po ciężkiej rundzie Russo odszedł w odległy kąt pokoju. Usiadł i wlepił wzrok w podłogę. Słyszałem, jak jego oddech stopniowo się uspokaja.

Wstał, podszedł do syna i dotknął dłonią jego twarzy. Tom odwzajemnił mu ten gest.

- W porządku, tato - powiedział.

Potem Tom wyszedł nieco chwiejnym krokiem. Poszedłem za nim przez hall do jego sypialni. Chciałem go zatrzymać, nie wpuścić do siedliska niebezpiecznych wspomnień. Ale gdy zapalił światło, pokój wcale nie wyglądał gorzej od innych z niepościelonymi łózkami. Zatrzymałem się w drzwiach.

- Kiedy pan zaczął znów wspominać matkę?

- Nigdy o niej nie zapomniałem.

- Chodzi mi o jej śmierć... w jaki sposób ją zabito.

- To się zaczęło chyba wczoraj. W każdym razie od odejścia Laurel. Przesuwa się w mojej głowie jak wycinek filmu... ona na łóżku, ten mężczyzna na niej...

- Czy tam był tylko jeden mężczyzna?

- Nie. Nie wiem.

Jego głos zaczynał znów się podnosić. Usiadł nagle na krawędzi łóżka i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie chcę, żeby pan teraz o tym mówił. Ale niech pan o tym myśli, dobrze?

- Nie chcę o tym myśleć - powiedział spoza dłoni.

- Niech pan w każdym razie spróbuje. Niech pan notuje, jeśli pan zdoła.

Wszystko, co pan sobie przypomni, może być ważne.

- Czemu? To mi jej nie wróci.

- Nie, ale może pomóc w sprawie Laurel. Czy widział ją pan dzisiaj?

- Nie. Skądże.

- Gdzie według pana ona może być? Opuścił ręce.

- Skądże mam wiedzieć. Laurel nigdy mi nie mówi, dokąd chodzi.

Usiadłem obok niego na łóżku.

- Czy myśli pan, że ją porwano?

- Nie. - Potem zastanowił się. - Nie wiem. Nie sądziłem, że Harold jest takim zbirem.

- A jest?

Tom skrzywił się.

- Byłem szalony, że wpuściłem go do domu. Sądziłem, że jest jej dawnym kolegą szkolnym. A potem poczuł sympatię do Glorii. Odkąd rozwiodła się z Flahertym, niewielu mężczyzn się nią interesowało.

- Harold interesował się jej samochodem, prawda?

- Tak. Ten samochód był jedną z głównych atrakcji.

- Czy wspomniał, na co mu potrzebny?

- Chciał zabrać kogoś na przejażdżkę. To znaczy niezupełnie tak. Chcieli zawieźć kogoś do jej matki na kolację. Słyszałem, jak Gloria mówiła mu o tym przez telefon.

- Kiedy?

- Przed paroma dniami. Jaki jest dziś dzień?

- Czwartek.
- Więc to było we wtorek.
- Kogoś ze szpitala. Nie usłyszałem nazwiska.
- Gdzie mieszka jej matka?
- Ciocia Martie prowadzi motel przy Autostradzie Nadbrzeżnej. To nie jest wielki motel. Nie wiecie jej się, odkąd mąż ją porzucił.
- Topanga Court?
- O właśnie. Zna pan ten motel?
- Byłem tam dziś rano. - A więc ciocia Martie nakłamała mi o tweedowym ubraniu.

Rozdział trzydziesty czwarty

Na parkingu pod urwiskiem stało kilka samochodów, ale żaden z nich nie był zielonym Falconem Glorii. Zaparkowałem przed recepcją i wszedłem do środka.

Zadzwonił dzwonek nad drzwiami. Za łukowatym przejściem telewizor mówił śmiałymi, młodymi głosami, które brzmiały jak potomkowie tych głosów, które słyszałem rano. Ukazała się pani Mungan w trochę niżej zsuniętej na czoło rudej peruce.

- Jak się pani miewa?
- Jako tako - odparła. - Czy ja pana znam?

Jej oczy popatrywały na mnie przez mgiełkę czasu czy oddalenia, jak gdyby moja poranna wizyta była już dawno, dawno temu. Potem przypomniała sobie.

- Czego pan tym razem chce?

- Trochę pomocy. Nie bardzo pomogła mi pani dziś rano. Mówiła pani, że to tweedowe ubranie Sperlinga dała pani staremu włóczędze, który potem poszedł gdzieś brzegiem. Nie powiedziała pani, jak się nazywał ani skąd się wziął, choć jestem pewien, że pani wiedziała. Nie wspomniała pani, że był tu w towarzystwie pani córki i jej przyjaciela i prawdopodobnie w ich towarzystwie odeszedł.

Nie zaprzeczyła. Pochyliła się nad biurkiem opierając się ciężko na łokciach. Jej oddech mógłby się zająć od zapalki.

- Co pan ma przeciwko nam?
- Nic.

- Więc czemu nie chce pan odejść i zostawić nas w spokoju? Moja córka jest przyzwoitą dziewczyną. Zawsze starała się postępować dobrze. A to nie o każdym da się powiedzieć.

- A Harold? Zastanowiła się.

- Nie powiedziałam, że mogę za niego ręczyć.

- Czy oni są tutaj?

- Nie. Nie ma ich tu.

- Widziała ich pani dziś wieczorem? Potrząsnęła głową.

- Nie widziałam Glorii ani dziś, ani wczoraj. Pożyczyła samochód Haroldowi i spędziła noc u kuzyna.

- A gdzie spędza dzisiejszą?

Spojrzała przez otwarte drzwi ku autostradzie. Jej oczy jakby odzwierciedlały porysowaną smugami świateł noc.

- Chciałabym to wiedzieć. Czekam na wiadomość od niej.

- Wiem, gdzie była przed paroma godzinami - powiedziałem. - W motelu w Redondo Beach, pielęgnowała Harolda.

- Czy Haroldowi coś się stało?

- Jest ranny. Porwał żonę Toma Russo i jej ojciec postrzelił go przy wręczaniu okupu.

- Pan sobie żartuje.

Ale wiedziała, że nie żartowałem. Spuściła głowę i oparła ją na rękach. Kiedy ją znowu uniosła, miała twarz niezbyt zmienioną, tylko w oczach był błysk strachu.

Oblizwała zeschłe wargi.

- Bałam się, że napyta sobie biedy, jeśli się będzie zadawała z Haroldem. - Urwała i zaczerpnęła tchu. - Mówi pan, że on porwał Laurel?

- Tak. Może usiądziemy tam, w głębi, i porozmawiamy o tym trochę?

Obejrzała się za siebie i popatrzyła za łukowate przejście, jakby musiała spytać o pozwolenie kogoś lub czegoś tam w środku, być może głosów telewizyjnych.

- Nie wiem.

- To może mieć duże znaczenie dla pani i Glorii. Ona popadła w tarapaty, i prawdopodobnie nie z własnej winy.

- Tak samo było z jej małżeństwem. Bob Flaherty narobił kupę długów i uciekł, a ona je musiała spłacać. Tak samo było ze mną i jej ojcem...

- Tym razem jest gorzej - przerwałem jej. - Jeżeli Gloria zostanie z Haroldem i pomoże mu uciec, będzie potraktowana tak samo jak on. A Harold ma wszelkie szanse, żeby go z miejsca zastrzelono.

Przycisnęła palce do ust.

- Co ja mogę zrobić?

- Może pani ze mną porozmawiać. Myślę, że te obecne kłopoty sięgają bardzo dawnych czasów, kiedy pani siostra, Allie, została zamordowana.

- Pan o tym wie?

- Nie tyle, ile pani. Czy mogę wejść?

Otworzyła przejście w barierce obok biurka i wpuściła mnie do pokoju w głębi, po czym wyłączyła telewizor. Słyszałem przytłumione odgłosy ruchu na autostradzie. Zanim usiadłem na fotelu, który mi wskazała, rzuciłem okiem na obrazki na ścianie. Jednym z nich była fotografia młodej kobiety, która wyglądała, jak mogłaby wyglądać pani Mungan, gdy była młoda.

Trąciła mnie w ramię.

- To moja siostra Allie. Widział pan już chyba jej fotografię?

- Nie, nie widziałem. Była bardzo ładna.

- Tak, była piękną rodziną. - Otworzyła szufladę i podała mi mniejszą i wcześniejszą fotografię. - To jej maturalne zdjęcie, kiedy ukończyła szkołę średnią we Fresno w 1935. Była prawdziwą ślicznotką, jak pan widzi.

Kiwnąłem głową na potwierdzenie, chociaż piękne oczy, które patrzyły na mnie z fotografii, dawno już się zamknęły.

- I była bardzo miła - powiedziała pani Mungan. - To niesprawiedliwe, co ją spotkało. Byłby większy sens, gdyby to mnie zastrzelono, a nie ją.

Opadła na fotel. Bałem się, że się rozplynie we łzach, i stracę świadka. Ale być może dawno już wylała wszystkie łzy. Jedynym skutkiem było powolne trzeźwienie.

- Kto zastrzelił Allie?

- Zadaję sobie to pytanie od przeszło dwudziestu pięciu lat. Leżę bezsennie nocami i myślę o tym.

- I co pani myśli?

- Kiedyś myślałam, że to jej mąż, Russo. Allie popełniła megalomanię, on był od niej starszy i obłąkańczo zazdrosny. -

Zabrzmiało to jak powtarzane wielokrotnie razy, aż stało się częścią folkloru rodzinnego. - Ale policja stwierdziła, że nie mógł tego zrobić. Nie opuścił ani jednego dnia pracy w stoczni, a sama podróż z Bremerton tutaj i z powrotem zajęłaby mu kilka dni.

- Co w nim wzbudziło taką zazdrość?
- Taki już po prostu był.
- Czy w życiu pani siostry byli jacyś inni mężczyźni?
- Tego nie powiedziałam.
- Ale ja panią pytam.
- A ja nie odpowiem. Niech odpoczywa w spokoju. Pan też mógłby dać sobie spokój.

- Tak, gdyby nie było więcej ofiar. Bo żona Toma Russo została porwana i pani córka Gloria jest w to porwanie wmieszana.

- Już mi to pan mówił. Ja w to nie wierzę.

- Po tym wszystkim, co zaszło w pani rodzinie? Nagle otworzyła szeroko usta. Wokół oczu wystąpiły zmarszczki. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha albo chciała krzyknąć. Ale milczała patrząc w głąb siebie, jakby dostrzeżona zjawą była wewnątrz niej.

- Czy Nelson Bagley był kochankiem pani siostry?

- Nie. Chciał być. Chodził za nią jak pies. Ale Allie nie interesowała się nim.

- Skąd pani wie?

- Bo mi pisała o nim z Bremerton. Russo był o niego zazdrosny, ale ona tylko śmiała się z Nelsona.

- Czasem takie żarty wcale nie kończą się niewinnie.

- Co pan chce powiedzieć?

- Russo uważa, że to Nelson ją zabił.

- Wiem. Próbował zebrać dowody przeciw Bagleyowi po wojnie. Ale Nelson Bagley był już wtedy bezradnym kaleką. Na statku wybuchł pożar, Nelson poszedł za burtę i dostał pomieszania zmysłów. Policja oświadczyła, że jeśli nawet on jest mordercą, za późno już, żeby móc mu to udowodnić. I że nie mogą ciągać takiego człowieka jak Bagley po sądach.

- Ale pani go tu przyciągnęła we wtorek wieczorem.

- Nie przyciągnęłam. Zaprosiłam go tylko na kolację. W każdym razie to był pomysł Harolda. Ciekawiło go, co mogło spowodować pożar statku, i myślał, że może Nelson Bagley będzie mógł mu coś powiedzieć.

- Co mu Nelson powiedział?

- Nie wiem. Byłam kompletnie wyprowadzona z równowagi i za dużo wypiałam przed kolacją. Kiedy zobaczyłam Bagleya i spróbowałam z nim rozmawiać,

wszystko to znów przygniotło mnie jak tona cegieł i zaczęłam pić. Wytrzeźwiałam dopiero na drugi dzień rano, a ich dawno już nie było.

- Harolda, Glorii i Nelsona Bagleya już nie było?

- Właśnie. Pomyślałam naturalnie, że odwieźli go do szpitala. A kiedy pan przyszedł dziś rano i powiedział, że Bagley nie żyje, wpadłam w panikę.

Powiedziałam panu pierwsze lepsze, co mi przyszło do głowy.

- Powiedziała pani, że rozmawiała pani z Bagleyem we wtorek wieczorem.

Zawahała się.

- Tak, zamieniliśmy kilka słów.

- Co on mówił?

- Powiedział, że bardzo mu przykro z powodu Allie.

- Czy to wszystko?

- Zaraz, pomyślę. - Skrzywiła się, jakby przesłuchując kiepskie nagranie. -

Niewiele powiedział, a poza tym nie wszystko do mnie dotarło. Nie umiał się wysłowić, a na dodatek byłam zdenerwowana jego obecnością. Był jak zjawa z przeszłości. Nieszczęsna, poturbowana i sponiewierana zjawa.

- Czy pytała go pani o coś?

- Próbowałam, ale niewiele to dało. Pytałam, kto zabił moją siostrę.

Powiedział, że nie wie. Wreszcie zmusiłam go, żeby się przyznał, że znał Allie jeszcze w Bremerton, zanim porzuciła męża. Twierdził, że nie łączyły ich zażyłe stosunki, że interesowała się kimś innym. Pytałam go o tego kogoś. Powiedział, że go nie pamięta. Może to i prawda... miał pamięć jak sito. I szczerze mówiąc znudziło mnie to przyciskanie go do muru. Rozmowa z tym nieszczęsnym, spopielałym człowiekiem sprawiła, że zdałam sobie sprawę, że Allie nie żyje już ponad dwadzieścia pięć lat i żadne indagacje jej nie wskrzeszą.

Tak czy owak wszedł Harold i przerwał naszą rozmowę. Powiedział, że już czas obejrzeć telewizję. Ale dla mnie była już najwyższa pora coś wypić... zagłuszyć przeszłość. Staram się nie pić przy Glorii... nie chcę jej dawać złego przykładu...

Więc wzięłam butelkę do swego pokoju, zamknęłam drzwi i chyba zasnęłam. -

Zamknęła oczy dla zobrazowania mijającej nocy. - Kiedy się ocknęłam, już ich nie było, a wszystkie brudne naczynia leżały w zlewozmywaku.

- Czy widziała pani Glorię od wtorkowego wieczoru?

- Chyba nie. Nie, nie widziałam. Dzwoniła wczoraj do mnie z mieszkania Toma. Powiedziała, że nie może wrócić, bo Harold wziął jej samochód. To jedyny

samochód w rodzinie, i odkąd zabrano mi prawo jazdy, muszę prosić Głorię o podwiezienie, ilekroć chcę gdzieś jechać...

Przerwałem jej:

- Jeżeli Gloria zadzwoni, proszę jej powiedzieć, że chcę z nią porozmawiać.

Że to sprawa życia lub śmierci.

- Czyjego życia lub śmierci? Jej?

- Możliwe. Czy mówiła, po co był Haroldowi potrzebny jej samochód?

- Nie. Nie pytałam o to. Ale sądziłam, że to trochę śmieszne, bo dopiero co zaczęli z sobą chodzić.

- A kiedy to się stało?

- Jakiś tydzień temu, może dwa. Ale w tych czasach wszystko dzieje się tak szybko. Mężczyźni są bardzo niecierpliwi i dziewczyny muszą się do nich dostosować.

- Czy wczoraj wieczorem Gloria mówiła coś przez telefon o Bagleyu?

Pani Mungan zawahała się. Spojrzała na mnie z ukosa i oblizła górną wargę koniuszkiem języka.

- Czy wspominała o Nelsonie Bagleyu?

- Chyba tak.

- Co powiedziała?

- Że Harold zabiera go na mały urlop. I że jeśli ktoś będzie o niego pytał, żebym nic nie mówiła. Dlatego dzisiaj rano skłamałam. Bóg świadkiem, że nie wiedziałam o jego śmierci.

- Jak to się stało, że miał na sobie to ubranie?

- Ja mu je dałam. Było mu zimno w tym, w którym przyszedł. Uderzyło mnie, że był tego samego wzrostu co Mungan... kiedy był młodszy. Wyjęłam to stare tweedowe ubranie i okazało się za duże, ale od biedy mógł je nosić. Musiałam sama pomóc mu je włożyć, tak dygotał. Gdy zobaczyłam ten strzęp ludzki bez ubrania, nareszcie wszystko zrozumiałam.

- Co pani rozumiała?

- Że wszyscy jesteśmy ludźmi. Że wszyscy zestarzejemy się i pomrzemy. To tak jakby wyszedł z tego samego grobu, w którym moja biedna siostra została pochowana. A teraz i on nie żyje.

Umilkła popatrując spod długiej rudej grzywki w ślepe oko telewizora.

Stopniowo jej twarz odzyskiwała dawny wyraz, jakby wszystko, co mi opowiedziała,

działo się na ekranie, który można wyłączyć.

- Co Harold chciał obejrzeć w telewizji? - spytałem. Pytanie zaskoczyło ją.

- Słucham?

- Mówiła pani, że przerwał waszą rozmowę z Bagleyem, bo chciał coś obejrzeć w telewizji.

- Tak. Powiedział, że o dziewiątej na początku dziennika ma wystąpić przed kamerą dawny kapitan Bagleya.

- Kapitan Somerville?

- Chyba tak. Nie interesowałam się tym specjalnie. Miało być coś o ropie naftowej. Czy ktoś rozlał gdzieś jakąś ropę?

- Kapitan Somerville.

- To bardzo źle - rzekła machinalnie.

- A jak zareagował na to Bagley?

- Przyszedł i usiadł tu, gdzie ja teraz siedzę.

- Czy widział kapitana na ekranie?

- Nie wiem. Właśnie wtedy wyszłam się napić. - Wskazała ręką zamknięte drzwi i poruszyła się niespokojnie na fotelu. - Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym łyknęła sobie odrobinę? Nie zdawałam sobie sprawy, że to potrwa tak długo.

- Ani ja. Proszę, niech się pani napije.

Wstała, przeszła przez pokój i odwróciła się przy kuchennych drzwiach.

- Chętnie zaproponowałabym i panu kieliszeczek, ale ledwie wystarczy dla mnie. Wie pan, jak to jest.

Wiedziałem, jak jest z pijakami. Zatracali hojność nawet dla samych siebie. Byłem rad, że zostałem sam w pokoju, uwolniony od dręczącej obecności tej kobiety.

Siedząc wśród szemrzących ech jej głosu przypominałem sobie coś, co poprzedniego wieczoru usłyszałem od innej kobiety. Według słów Elizabeth Somerville, gdy mieszkali w Bel-Air, ich dom odwiedziła kiedyś kobieta z małym chłopcem. Obecnie chłopiec powinien mieć już około trzydziestki, był w wieku Toma. Kobieta mogłaby mieć lat pięćdziesiąt albo już nie żyć.

Położyłem swoją wizytówkę na stoliku koło fotografii Allie z roku ukończenia szkoły. Potem wziąłem fotografię i zabrałem z sobą w dżunglę Bel-Air.

Rozdział trzydziesty piąty

Dom Somerville'ów jaśniał wszystkimi światłami, jakby odbywało się przyjęcie. Ale nie było słyhać żadnych dźwięków, prócz odległego warkotu

samochodów na bulwarach.

Nacisnąłem przycisk dzwonka i usłyszałem, jak dzwoni. Za drzwiami rozległy się szybkie kroki. Drzwi uchyliły się na długość łańcucha.

- To ty, Ben? - spytała Elizabeth Somerville.

- Archer.

Zawahała się. Potem odpięła łańcuch i otworzyła drzwi.

- Wejdz. Jestem sama. Smith pojechał do Pacific Point po mego męża i bratową.

- Jak ona się czuje?

- Marion bardzo to przeżywa. Pomyślałam, że będzie lepiej, jeśli nie pozostanie tej nocy sama. Zabieramy ją do siebie na jakiś czas. - Jej niebieskie oczy obrzuciły mnie w oświetlonym hallu baczny spojrzeniem. - Nie wydaje mi się, abyś nam przynosił jakąś dobrą wieść.

- Nie znalazłem Laurel. Ale wciąż robię postępy. Okazuje się, że sprawa jest skomplikowana. To nie jest zwykłe porwanie dla okupu.

- To dobrze czy źle?

- I tak, i nie. Mam więcej roboty. Ale ta robota zajmuje mi za dużo czasu.

Harold Sherry może się zniecierpliwic. Podjął swoje sto tysięcy, ale w wyniku strzelaniny z twoim bratem został ranny. Nie wiem, jaki to może wywrzeć wpływ na całą sprawę.

- Sądysz, że on może zabić Laurel?

- Myślę, że jest do tego zdolny. Spoważniała.

- Co chcesz, żebyś zrobiła?

- Spójrz na tę fotografię i powiedz, czy ona ci coś mówi.

Wyjąłem fotografię Allie Russo i pokazałem Elizabeth. Jej oczy stały się nagle bardzo uważne.

- Poznajesz tę kobietę?

- Nie, chyba nie. - Oddała mi zdjęcie i nie patrząc w oczy stała ze spuszczoną głową, jakby na jej barki spadł jakiś wielki ciężar. - Powinnam ją znać?

- Sądziłem, że może.

- A kto to jest?

- Matka Toma Russo. Miała na imię Alison. Nazywali ją Allie.

- Nawet nie wiedziałam, że Tom miał matkę.

- Większość ludzi ma - powiedziałem. - Matka Toma została zamordowana tu,

w Los Angeles, wiosną 1945 roku. Coś mi się zdaje, że jej śmierć była początkiem wszystkich obecnych kłopotów.

„Wyjęła mi fotografię spomiędzy palców i przyjrzała jej się badawczo przy lampie. Tym razem, kiedy mi ją zwracała, patrzyła mi prosto w oczy i bardzo stanowczo zaprzeczyła, że kiedykolwiek znała tę kobietę. Ale jej spojrzenie było zwrócone do wewnątrz, jakby nagle otworzył się przed nią jakiś ukryty świat.

- Mówiłaś mi wczoraj wieczorem - przypomniałem jej - o młodej kobiecie i chłopczyku, którzy przyszli do twojego domu zaraz po waszym ślubie. O ile zrozumiałem, twój mąż był wtedy na morzu.

- Tak. - Była to zarazem odpowiedź i pytanie.

- Sądziłem, że może to ona.

Jeszcze raz podsunąłem jej fotografię. Nie zrobiła żadnego ruchu, aby ją wziąć.

- Nie, nie ta. - Ale zaraz dodała: - A jeśli nawet tak... zakładając, że to ona... jaki to może mieć związek z Laurel?

- Może się dowiemy, kiedy odkryjemy, kto zabił Allie Russo.

- Chyba nie podejrzewasz, że to mój mąż.

- A ty go o to podejrzewasz?

- Ależ skąd. Nawet nie wiedziałam, że ona nie żyje. Ale teraz śmierć tej kobiety bardzo nią wstrząsnęła.

Widać to było w jej oczach. Zaprowadziła mnie do gabinetu męża i naleła trochę whisky do dwóch szklanek. Wypiła swoją jednym haustem, ja się wstrzymałem.

Pozornie ożywiła się. Nabrała rumieńców. Ale ukryty świat za jej oczyma zdawał się zmieniać i ciemnieć. Nie mogła się powstrzymać, by o nim nie mówić.

- Co śmierć Allie Russo ma wspólnego z nami?

- Jej syn ożenił się z twoją siostrzenicą Laurel.

- Czy to przestępstwo? - powiedziała niepewnym głosem.

- Nie. Nie sądzę też, że to tylko zbieg okoliczności.

- Wytłumacz mi to.

- Chciałbym. Jak dotąd, to tylko podejrzenie.

- A drugie podejrzenie to, że mój mąż ma z tym jakiś związek?

- To trochę więcej niż podejrzenie.

Chwilę milczała przyglądając mi się badawczo i zastanawiając się nad

sytuacją.

- Nie miałam pojęcia, że Ben mógłby w jakikolwiek sposób być w to wmieszany. Nadal nie wiem, jak to możliwe. Ale co miałaś na myśli mówiąc, że to coś więcej niż podejrzenie?

- Gdybym ci to wyjawiał, mogłabyś mi uniemożliwić dalsze dochodzenie.

- A to w jaki sposób?

- Znalazłabyś jakiś. W każdym bądź razie bardzo utrudniłabyś mi pracę.

- Przysięgam, że nie.

Nie wierzyłem jej. Wyrzucała sobie swój wczorajszy nastrój, który sprawił, że zemściła się na mężu w jedyny dostępny sobie sposób. Dzisiaj osłoniła się z powrotem swoim małżeństwem i była poza moim zasięgiem.

- Czy wiesz na pewno, że Ben miał romans z Allie Russo? - spytała.

- Nie. Ale sądzę, że był jednym z kilku mężczyzn w jej życiu. Drugim był Nelson Bagley.

- Nigdy o nim nie słyszałam.

- Był gościem na statku twego męża. Poszedł za burtę podczas pożaru statku koło Okinawy. Dziwnym zbiegiem okoliczności dziś rano woda przyniosła jego zwłoki na plażę twojej matki.

- Ten mały człowieczek usmarowany mazią?

- To był Nelson Bagley.

- A jaki on ma związek z Allie Russo?

- Mógł ją zabić. Mógł widzieć, jak robił to kto inny.

- Ale teraz sam już nie żyje.

- Tak. W tym cała rzecz.

- Czy rzeczywiście był członkiem załogi „Canaan Sound”?

- Z całą pewnością.

Jej oczy patrzyły poprzez mnie w skomplikowany wewnętrzny świat, który rozrastał się w jej duszy jak nowoczesne miasto.

- Skoro Bagleya oskarżano o zabicie tej kobiety, to znaczy, że „Canaan Sound” był tu, na Zachodnim Wybrzeżu, kiedy ją zabito?

- Tak. Statek stał w Long Beach. Według uzyskanych informacji Allie Russo została zamordowana wieczorem drugiego maja 1945. „Canaan Sound” wyszedł w morze następnego ranka.

Mogłem odczytać jej myśli, bo taka sama i mnie przemknęła przez głowę.

Skoro „Canaan Sound” był tej nocy w porcie, jego kapitan również należał do podejrzanych.

- W jaki sposób ją zabito?

Opowiedziałem jej. Powiedziałem też, że malutki Tom przez kilka dni pozostawał sam w domu ze zwłokami matki. Chciałem, żeby wiedziała, jak może wyglądać morderstwo i jego konsekwencje.

Potrząsnęła głową, jakby chcąc pozbyć się tej wizji.

- Być może mój mąż nie jest wielkim wzorem cnót. Ale nie mógł zrobić czegoś podobnego. Nawet wiem, że nie uczynił. Spędził ten cały dzień i wieczór ze mną.

- Jesteś pewna, że tak właśnie było?

- Całkowicie. Ponadto sądzę, że mogę to udowodnić. W pierwszym roku małżeństwa prowadziłam dziennik. Chyba mam go jeszcze.

Przeprosiła mnie i wyszła z gabinetu. Siedziałem popijając whisky i czułem lekkie wyrzuty sumienia, że w tych okolicznościach piję u kapitana. Elizabeth wróciła z małą książeczkę oprawioną w wytłaczaną białą skórę ze złożonym napisem „Dziennik 1945” i zameczkiem. Przekręciła kluczyk, otworzyła Dziennik na drugim maja i położyła na biurku swego męża.

Przeczytałem ponad jej ramieniem:

„Już północ i jestem bardzo zmęczona, mój dzienniczku, i bardzo, bardzo szczęśliwa. Samochód Bena przed chwilą odwiózł go na statek. Spędziliśmy cudny, leniwy dzień w El Rancho i po raz pierwszy od miesiący poczułam się naprawdę mężatką. Oddaliśmy Jackowi, Marion i Laurel nasz dom w Bel-Air - to był również i dla Jacka ostatni dzień na łądzie - i spędziliśmy ten dzień u Ojca. Ojciec i Ben naprawdę się z sobą dogadali, co jest dobrą zapowiedzią na przyszłość. Pokazywałam Benowi naszą Szkołę Riyeer alley - kiedyś pošlemy tam nasze dzieci! - a Ben opowiadał mi swoje przeżycia w Marynarce. Czułam się jak Desdemona słuchająca Otella. I wybaczyłam mu (oczywiście w duchu, mój dzienniczku, bo nie rozmawialiśmy o tym)... romans z tą kobietą, która przychodziła z synkiem w marcu do naszego domu. Czuję się, jakbym się w końcu stała w pełni kobietą. Ale teraz, kiedy go już nie ma i jestem znów sama, boję się troszeczkę, mój dzienniczku. Pod Okinawą toczy się straszliwa bitwa i myślę, że «Canaan Sound» tam właśnie podąża. Obyś powrócił cało i zdrowo, mój mężu”. Uniosła głowę.

- Miałam zaledwie dwadzieścia dwa lata i byłam jeszcze bardzo romantyczna.

Musiałam ci jednak to pokazać. To dowodzi, że Ben nie był uwikłany w śmierć tej kobiety. Nie mógł być. Cały dzień i cały wieczór spędził ze mną i pojechał prosto z domu ojca w El Rancho na statek.

- Czym pojechał?
- Miał służbowy wóz.
- Kto był kierowcą? Odpowiedziała dopiero po chwili.
- Jakiś marynarz... nie pamiętam kto.
- Smith?
- Może i tak. Chyba tak. Ale proszę cię, nie wpytuj go w tej sprawie, dobrze?
- Czemu, skoro twój mąż jest niewinny?
- Jest niewinny.
- Więc nie powinnaś się sprzeciwiać, żebym wypytywał Smitha lub

kogokolwiek innego.

Jej oczy aż pociemniały z gwałtownego gniewu.

- Nie mów mi, co powinnam, a czego nie powinnam. Jesteś w moim domu i wścibiasz nos w moje prywatne życie...

- Rzecz w tym, że ty je masz. Allie je odebrano.

Wziąłem z biurka dziennik Elizabeth i zacząłem przerzucać kartki. Zrobiła ruch, chcąc mnie powstrzymać, ale rozmyśliła się. Wyraz gniewu spęłzył z jej twarzy. Odniosłem wrażenie, że chciałaby teraz, aby cała prawda wyszła na jaw.

- Mówiłaś, że ta kobieta z chłopczykiem przyszła do ciebie w marcu?

- Tak. Na początku marca 1945 roku.

Łatwo było znaleźć notatkę na ten temat pod dniem 5 marca: „Dziwna rzecz zdarzyła się dzisiaj. Przyszła do mnie młoda kobieta z cztero - czy pięcioletnim chłopcem. Powiedziała mi coś tak okropnego, mój dzienniczku, że tego nawet nie zapiszę. Ale nigdy nie zapomnę tego dnia. Stałam się przez to niewiernym Tomaszem. (Takie imię, jak mi powiedziała ta kobieta, nosi ów chłopczyk)”.

Przeczytałem to głośno. Elizabeth spuściła głowę.

- Nie pamiętałam jego imienia. Nie pamiętałam nawet, że to imię zapisałam.

- Chcesz jeszcze raz zobaczyć fotografię Allie Russo? - spytałem.

Spojrzała mi w oczy.

- To niepotrzebne. Od razu ją poznałam. To właśnie ona przychodziła tu z dzieckiem.

- Jak często?

- Tylko jeden raz. Wyprowadziłam się stąd po jej wizycie i zamieszkałam z ojcem, a później, na czas nieobecności Bena, wprowadził się tu Jack z Marion. - Wyciągnęła rękę. - Oddaj mi, proszę, mój pamiętnik.

Zwróciłam go jej. Wyszła z pokoju przyciskając mocno pamiętnik do piersi.

Obrzuciłam jej wąską talię pożegnalnym spojrzeniem. Poprzednia noc była jednorazowym epizodem, nie pozbawionym namiętności, ale bez żadnych konsekwencji. Tylko że nigdy nie zapomnę Elizabeth.

Rozdział trzydziesty szósty

W kilka minut później wrócił do domu kapitan Somerville. Słyszałem, jak rozmawia cicho z żoną we frontowej części domu, ale za cicho, abym mógł cokolwiek słyszeć. Potem Somerville wszedł do gabinetu i zamknął za sobą drzwi. Wyglądał jak człowiek stary i zmęczony.

- Żona mówiła mi, że chce pan ze mną porozmawiać.

- Jeżeli ma pan chwilę czasu.

- Czy nie możemy poczekać z tym do rana? Jest bardzo późno.

Ziewnął dla podkreślenia swoich słów. Po twarzy spłynęły mu łzy wyczerpania i goryczy. Na brodzie błysnął w świetle lampy jednodniowy zarost.

- To zależy, co pilniejsze - powiedziałem. - Pan stara się powstrzymać zalew ropy...

- Z dobrym skutkiem - pochwalił się. - Cała rzecz będzie za dzień lub dwa skończona.

- Mam nadzieję. A ja staram się powstrzymać zalew innego rodzaju... ciąg morderstw i przestępstw.

- Ciąg morderstw?

- Ja wiem o trzech. Pierwsze zdarzyło się w nocy drugiego maja 1945 roku, kiedy zastrzelono Allie Russo w jej sypialni.

Somerville skrzywił się, ale mówił dalej: - Wczoraj wieczorem albo dziś wczesnym rankiem koło Montevista utopiono pewnego pacjenta szpitala weteranów. Człowiek ten nazywał się Nelson Bagley. Na tej samej plaży został zabity sekretarz Sylwii Lennox.

Resztką krwi odpłynęła z twarzy Somerville'a. Zachwiał się i zamknął oczy. Wyciągnął rękę i przytrzymał się mego ramienia. Jego palce wpiły się boleśnie w moje ramię.

- Kto panu powiedział o Allie? Strząsnąłem jego rękę.

- Jej śmierć jest publiczną tajemnicą. A syn jest moim klientem.

- Mąż Laurel?

- Tak. Laurel wciąż nie daje znaku życia, a jest w niebezpieczeństwie. Nie chcemy, aby się stała czwartą ofiarą.

Z hallu dobiegł nas jakiś pisk, cichutki, jaki wydaje pies, gdy go zostawić za drzwiami. Drzwi się otworzyły i do pokoju weszła Marion Lennox. Poruszała się jakoś niezdarnie w swojej ciemnej sukni.

- Rozmawialiście o Laurel, prawda?

- Między innymi - odparłem.

Ruszyła w moją stronę z wyciągniętą ręką jak ślepiec, ale oczy miała błyszczące i pełne lęku.

- Powiedział pan, że Laurel jest czwartą ofiarą?

- Powiedziałem, że to jej grozi. Właśnie staramy się temu zapobiec.

- A ty nam wcale w tym nie pomagasz - zwrócił się do niej Somerville. -

Mamy z panem Archerem do załatwienia bardzo poważną prywatną sprawę.

Przeszkadzasz nam.

- Przepraszam. Kiedy usłyszałam imię Laurel, pomyślałam, że może są jakieś nowiny. - Zajrzała w twarz swojemu szwagrowi, a potem mnie. - Gdzie ona jest, proszę pana?

- Odpowiedź na to ma Harold Sherry. Ja, na razie, nie.

- Gdzie jest Harold?

- Gdzieś w jakiejś głuszy, wlokąc za sobą zranioną nogę.

- A Laurel z nim?

- Może. W każdym bądź razie on najprawdopodobniej wie, gdzie jest Laurel.

- Co możemy zrobić, żeby ją odzyskać? Somerville chodził niecierpliwie po pokoju, a teraz wkroczył pomiędzy nas.

- Właśnie o tym chcemy porozmawiać, Marion. A raczej chcieliśmy, póki nam nie przeszkodziłaś. - Podeszedł do niej, położył dłonie na jej ramionach i powiedział nieco łagodniejszym tonem: - Zdaję sobie sprawę, ile dzisiaj przeszedłaś, i nie chcę okazać się nieczuły. Ale proponuję, żebyś poszła spać. Czy ty w ogóle spałaś zeszłej nocy?

- Nie pamiętam. Nie. Zdaje się, że nie. Przymknęła oczy i opuściła głowę, jakby w uścisku jego rąk znajdowała pociechę. Somerville zakotłosał nią leciutko.

- Ty prawie śpisz, dziewczyno. Idź do łóżka. Może ci przygotować drinka do

poduszki?

- Nie, dziękuję. Jesteś bardzo dobry, Ben, ale alkohol wybiłby mnie tylko ze snu. Elizabeth obiecała mi tabletkę nasenną.

- Niech ci da parę pastylek wodnika chlorału. Ja zawsze je biorę, kiedy nie mogę zasnąć.

Obrócił ją, objął ramieniem i wyprowadził do hallu. Następnie schylił się i pocałował w policzek. Ten gest wydał się niewymuszony i ukazał Somerville'a w nowym świetle. Mimo długotrwałych kłopotów z żoną, lubił kobiety i na swój staromodny, patriarchalny sposób umiał się z nimi obchodzić.

Ten incydent z Marion jakby go uspokoił.

- Przepraszam za tę przerwę w rozmowie. Boję się, że moja bratowa jest bliska załamania. W ciągu ostatnich trzydziestu godzin całe jej życie się zawaliło.

- Jak się czuje jej mąż?

- Widziałem go dziś wieczorem, fizycznie czuje się nieźle. Ale niezbyt dobrze radzi sobie z tym wszystkim, a Marion wręcz fatalnie. Bez niego jest zupełnie zagubiona. Może pan sobie wyobrazić, jak na nią wpływa ta niepewność losu Laurel.

- Postukał knykciami o knykcie. - Musimy sprowadzić Laurel do domu.

- Sądzę, że robię postępy. Pan może mi w tym pomóc, kapitanie.

- W jaki sposób?

- Odpowiadając na moje pytania.

- Dobrze. Zrobię, co będę mógł.

Somerville wyjrzał do hallu, następnie zamknął drzwi. Usiedliśmy niemal stykając się kolanami w fotelach, które przedtem zajmowaliśmy z jego żoną.

- Znał pan Allie Russo? - zapytałem.

Jego twarz zrobiła się posępna i nieruchoma.

- Nie przeczę. Ale chcę postawić sprawę jasno, że wszystko, co o niej powiem, ma pozostać w tajemnicy.

- A ja stawiam sprawę jasno, że jeśli pan ma ważne w tej sprawie dowody, przedstawię je policji.

- A kto zadecyduje o ich wadze?

- My dwaj albo każdy z nas z osobna. Somerville poruszył się w fotelu niespokojnie.

- Nie mogę przyjąć tych warunków.

- Wolalby pan rozmawiać bezpośrednio z policją Los Angeles? -

powiedziałem bez specjalnej emfazy. - Śmierć Allie zdarzyła się na terenie, który podlega ich jurysdykcji, a oni nigdy nie dają za wygraną w sprawach zagadkowych morderstw.

Ścisnął i ugniał dłońmi dolną część twarzy, jakby chcąc jej nadać nowy kształt.

- Nie mam nic wspólnego z jej śmiercią.

- A kto?

- Było kilku podejrzanych, włącznie z jej mężem. Prowadziła dość burzliwy tryb życia, kiedy odeszła od niego.

- Skąd pan o tym wie?

- Widywałem ją od czasu do czasu.

- Czy widział ją pan tego wieczoru, kiedy została zabita?

- Nie. Tego wieczoru byliśmy z żoną u teścia. Pojechałem stamtąd wprost na statek i nazajutrz wyruszyliśmy pod Okinawę.

- Czy odpływając wiedział pan o jej śmierci?

- Z całą pewnością nie. Niech pan zapyta o to moją żonę, ona potwierdzi moje słowa.

- Już to zrobiła.

- Więc po co to wszystko?

- Powiedział pan, że chce mi pan pomóc.

- Bo chcę. To oczywiste. Ale nie mogę panu oszczędzać trudu przyznając się do czynów, których nie popełniłem.

- A co z czynami, które pan popełnił? Był pan kochankiem Allie Russo?

- W niepełnym sensie tego słowa. Mogłem z nią kilka razy sypiać, ale...

- Mógł pan?

- Sypiałem. Ale nie łączyło nas głębsze uczucie. W tym czasie byłem jeszcze kawalerem, a ona już nie żyła z mężem. Byliśmy dobrymi przyjaciółmi i to wszystko.

- Jak pan ją poznał?

- Jeden z członków mojej załogi prosił, żebym pomógł jej się wykaraskać z biedy. Mieszkała z synkiem w tanim hoteliku w Seattle i malec zachorował na grype: Załatwiłem mu lekarza.

- Jak się nazywał ten członek załogi?

- Nelson Bagley - odparł bezbarwnym tonem. - Bagley szalał za nią, ale nie wiem, czy ona mu się dała kiedykolwiek choćby pocałować. Prawdopodobnie dlatego

właśnie ją zabił.

- Pan wie na pewno, że to on ją zabił?

- Tak. Sądzę, że tak.

- Był pan przy tym?

Somerville zaczerpnął głęboko powietrza, potem je wypuścił z gniewnym prychnięciem.

- Nie byłem.

- Czy wiedział pan o jej śmierci w tę noc, kiedy została zabita?

Wysunął niecierpliwie dłoń jakby odpychając tę myśl.

- Tego nie mówiłem. Dowiedziałem się o śmierci Allie dopiero w trzy tygodnie później. Byliśmy na morzu, koło Okinawy. Bitwa o wyspę wciąż trwała i „Canaan Sound” prowadził wsparcie lotnicze dla naszych wojsk...

- A co ze śmiercią Allie?

- Właśnie do tego zmierzam. Wycofaliśmy się ze strefy walk, żeby nabrać paliwa... to było w nocy, dwudziestego drugiego maja... i dostarczono nam z tankowca pocztę jeszcze przed rozpoczęciem tankowania. Wśród moich listów była koperta zawierająca wycinek z gazety, w którym był opis zabójstwa Allie. Jakaś poczciwa dusza zadała sobie trud, aby mi ten wycinek przysłać. - Jego głos brzmiał sucho i cierpko.

- Czy wie pan, kto był tą poczciwą duszą?

- W kopercie nie znalazłem nic, co by umożliwiło zidentyfikowanie nadawcy. Rozpatrywałem oczywiście różne możliwości, nie wyłączając jej męża i mojej żony. - Obrzucił mnie szybkim, badawczym spojrzeniem.

- Nie sądzę, aby to mogła być pana żona. Ten wycinek wysłał zapewne morderca Allie.

Potrząsnął głową przecząco.

- Morderca Allie był wraz ze mną na pokładzie „Canaan Sound”.

- Ma pan na myśli Bagleya?

- Tak. W wycinku był dokładny opis ówczesnego wyglądu Bagleya. Jeden z sąsiadów Allie widział go kręcącego się wokół domu w tę noc, gdy ją zamordowano. Bagley podglądał ją przez okna od podwórka. Gdy tylko to przeczytałem, posłałem po Bagleya, ale nie stawiał się na wezwanie. Potem zaszło coś, co sprawiło, że zapomniałem o całej tej sprawie.

- Ma pan na myśli pożar statku?

- Nie, to się tak nagle nie stało. Pożar nastąpił później, z winy Nelsona Bagleya.

Badalem pilnie twarz kapitana. Miała ponury i zrozpaczony wyraz. Zastanawiałem się przez chwilę, czy przypadkiem Bagley nie stał się przedmiotem jego monomanii, wyimaginowanym źródłem wszystkich niepowodzeń jego życia, zabójcą kochanki i tym, który zniszczył jego statek.

- Słyszałem, że to z pana winy na statku wybuchł pożar. Kapitan nie okazał gniewu ani zdziwienia.

- Może częściowo.

- Jest pan bardzo szczery.

- Staram się być wobec pana uczciwy - odparł. - Kapitan tankowca zeznał, że zażądałem za wysokiego ciśnienia przy napełnianiu zbiorników benlotu i że to właśnie było powodem pęknięcia jednego z nich.

- Czy to prawda?

Uniósł rękę, niczym ozywający posąg, a potem znów ją opuścił, jakby to ozywienie wymagało zbyt wielkiego wysiłku.

- Niezbyt pamiętam szczegóły owych wydarzeń. Spędziłem wiele bezsennych nocy usiłując je sobie przypomnieć. Ale uczciwie mówiąc nie pamiętam, żebym zażądał zwiększenia ciśnienia. Może zażądałem. Na pewno coś zostało sknocone. - Miał w oczach zakłopotanie. - Otrzymałem właśnie wiadomość o śmierci Allie. Byłem nią oszołomiony i dlatego wszystko tak mgliście pamiętam.

Było to niezwykle wyznanie. Wydało mi się, że oto słyszę po raz pierwszy prawdę o stracie statku kapitana i stracie kochanki.

- A czy za pęknięcie zbiornika nie winiono szefa benlotu?

Oczy Somerville'a poruszyły się z ogromnym trudem, jakby były z kamienia, i spoczęły na mnie.

- Czy prowadzi pan dochodzenie w sprawie pożaru na „Canaan Sound”?

- Nie. Ale ta sprawa wciąż się wyłania.

- Czy Ellis coś mówił?

- Trochę. Był bardzo wstrząśnięty, kiedy mu pokazano zwłoki Bagleya. Zdaje się, że całą winę bierze na siebie.

Somerville wlepił wzrok w podłogę.

- Czy pan go w jakiś sposób skłonił, żeby wziął winę na siebie, kapitanie?

- Wcale nie musiałem. Ellis zrobił to z własnej woli. Dla niego i tak to nie

miało znaczenia.

- Nie miało znaczenia? Szkoda, że go pan nie widział dzisiaj.

Somerville potrząsnął nagle głową.

- W tym sensie, że nie był oficerem zawodowym. Traktował swoje stanowisko jako chwilowe zajęcie i kiedy opuścił Marynarkę, postarałem się, żeby dostał lepszą pracę. Ale ja straciłem dowództwo. Straciłem też możliwość uzyskania jakiegokolwiek innego. Spędziłem resztę wojny w odwodzie.

Przez chwilę kapitan siedział w milczeniu, nieruchomo. Zdawał się opłakiwać utracony honor czy utraconą dumę. Odniosłem dziwne wrażenie, że spędza te ostatnie miesiące wojny w odwodzie aż do tej pory, a jakies jego nierealne alter ego prowadzi tymczasem interesy.

- Powiedział pan, że to Bagley podpalił statek. Czy mówił pan poważnie, kapitanie?

Ocknął się ze swej ponurej zadumy.

- Zapewniam pana, że nie żartowałem. Bagley wziął rewolwer z kabiny łączności i próbował się zastrzelić. Zranił się lekko w głowę, ale narobił nieobliczalnych zniszczeń. To było wkrótce po pęknięciu zbiornika benlotu. Część statku była zalana benzyną i wypełniona jej oparami. Od wystrzału powstał pożar, który objął oczywiście płomieniem Bagleya. Bagley wybiegł na pokład startowy i skoczył za burtę. Zgubiliśmy go... było jeszcze ciemno i musieliśmy zmobilizować wszystkich dogaszenia ognia. Ale tankowiec wyłowił Bagleya z morza razem z innymi ludźmi, którzy znaleźli się za burtą. Jednym z nich był mój steward, Smith. Kilku innych zginęło, w płomieniach albo w morzu.

Somerville ciężko oddychał. Kosztowało go niemało trudu, żeby mi opowiedzieć o pożarze, który zniszczył jego statek i karierę. Zamknął oczy, jakby chciał się odciąć od tych wspomnień.

- Nie rozumiem, kapitanie, czemu Bagley miałby chcieć się zastrzelić?

Otworzył niechętnie oczy.

- Ten, kto przysłał mi ten wycinek z gazety, przysłał go widocznie również Bagleyowi. Zdał sobie sprawę, że gra jest skończona, skradł rewolwer z kabiny łączności, wyszedł na pusty korytarz i próbował się zastrzelić.

- A w jaki sposób wycinek trafił w jego ręce? Czy rozdano załodze pocztę?

- Nie. Ale proszę pamiętać, że Bagley był gońcem w kabinie łączności, dokąd dostarczano pocztę. Miał dzięki temu do niej dostęp.

- A wie pan na pewno, że widział ten wycinek?

- Nie przyłapałem go z wycinkiem w ręku - odparł Somerville. - Ale później znaleziono wycinek w szufladzie w kabinie łączności. To wszystko znajdzie pan w oficjalnym raporcie z dochodzenia w sprawie przyczyny pożaru. Niechaj pan sprawdzi, jeśli mi pan nie wierzy.

Ani mu wierzyłem, ani nie wierzyłem. Byłem jednak w wojsku i pływałem na okrętach. Wiedziałem coś o kapitanach i ich możliwości naginania faktów według własnego uznania - możliwości, która czasem sięga daleko poza konkretny wypadek i kształtuje oficjalne dochodzenia.

- Wciąż niezupełnie rozumiem - powiedziałem - czemu pan nie przesłuchał wtedy Bagleya.

Somerville spojrział na mnie nie rozumiejąc.

- Kiedy?

- Kiedy pan po niego posłał, a on nie przyszedł.

- Miałem ważniejsze rzeczy na głowie. Człowieku, siedziałem wtedy w kałuży ropy.

- Ropy?

- Benzyny. - Kapitan poczerwieniał, jakby przez jego twarz przebijały płomienie wspomnianego pożaru. - Chciałem powiedzieć benzyny. Jestem bardzo zmęczony.

- Więc nikt nic nie powiedział Bagleyowi?

- Nie. Jego wina była niezaprzeczalna. Ale władze, zarówno cywilne jak wojskowe, nie widziały celu prowadzenia dalej sprawy, ja też nie widziałem. Nie wydawało się wówczas prawdopodobne, aby Bagley mógł kiedykolwiek wstać z łóżka lub odzyskać mowę. To cud, że wstał.

- Może dlatego został zabity - powiedziałem. - Zaczął właśnie odzyskiwać mowę.

Śomerville spojrział na mnie bystro.

- Zaczął właśnie odzyskiwać mowę?

- Tak. Dziś wieczorem rozmawiałem z jego lekarzem. Bagley zdołał powiedzieć dość dużo.

- O Allie... o pani Russo?

- Między innymi - odparłem.

- Czy przyznał się do jej zabójstwa?

- To, co powiedział, można częściowo uznać za przyznanie się do winy. Ale ja nie jestem tego taki pewien. Mógł być po prostu świadkiem morderstwa. Albo zrobił coś, kiedy już nie żyła.

Przyglądałem mu się wyliczając te możliwości. Jego twarz jakby starzała się w oczach.

- A co dokładnie powiedział?

- Że zrobił coś strasznego.

Somerville pochylił nagle głowę dźgając brodą powietrze jak siekierą.

- On ją zabił. Jego śmierć ubiegłej nocy jeszcze to potwierdza.

- W jaki sposób?

- Bo myślę, że zabił go z zemsty któryś z Russów, może mąż Allie albo jej syn. Pan może nie zna tych zapalczywców tak jak ja... jeśli mają plamę na honorze rodzinnym, zmywają ją krwią.

Rozpatrywałem już możliwość winy jednego z Russów. Ale nie chciałem jej omawiać z Somerville'em. Spróbowałem zmienić temat, ale daremnie, ponieważ to, co powiedziałem, nie wykluczało możliwości winy samego kapitana.

- We wtorek wieczorem Nelson Bagley widział pana w telewizji, czy pan o tym wiedział?

- Skądże. Chce pan powiedzieć, że Bagley oglądał telewizję?

- Ktoś go do tego skłonił.

- Kto?

- Chyba Harold Sherry.

- Po co?

- Żeby znaleźć coś przeciwko panu, a może innym członkom waszej rodziny.

Harold najwyraźniej w tym właśnie celu wyciągnął Bagleya ze szpitala.

Twarcz kapitana zrobiła się jeszcze bardziej stara i wykrzywiła się w gorzkim uśmiechu.

- Sugeruje pan, że jestem podejrzany o zabójstwo Bagleya?

- To pana sugestia.

- Diabła tam moja. Człowieku, gdzieżbym znalazł na to czas? Pracuję dwadzieścia godzin na dobę. A jeśli w ostatnim tygodniu ktoś bardziej niż ja znajdował się w centrum uwagi publicznej... - Rozłożył ręce i opuścił je.

To była prawda. Ale wydawało się, że jest człowiekiem nierealnym, nawet kiedy mówił prawdę. Siedzieliśmy i patrzyliśmy na siebie wzajem, a ta nierealność

rozciągała się między nami, aż legła jak zanieczyszczenia nad bezkresnym miastem i bezkresnym morzem, sięgając aż do Okinawy i do czasów wojny.

Rozdział trzydziesty siódmy

Somerville odprowadził mnie do drzwi, przeprosił za swoje zmęczenie i powiedział dobranoc. Jego żona się nie pokazała.

Posiedziałem chwilę w samochodzie patrząc na miasto, które ciągnęło się niczym świetlna mapa aż po horyzont.

Trudno było pojąć jej wciąż zmieniający się sens. Trzeba było interpretować te świetlne zawijasy, punkty i prostokąty jak obraz abstrakcyjny, jak wszystko, co człowiek ma w pamięci. Myśl o Laurel, wciąż zagubionej w tym labiryncie, przeszła mnie bólem.

W tyle garażu rozwarły się jakieś drzwi, rozlewając wokół blask. Ukazał się w nich Smith i ruszył w moją stronę deptając po piętach wydłużonemu cieniowi.

Wysiadłem i poszedłem mu na spotkanie.

- Chciałem pana zapytać - rzekł - czy panna Laurel już się znalazła?

- Jeszcze nie. Szukam jej.

- Pan jest pan Archer, prawda?

Murzyn sięgnął do kieszeni spodni i wyjął plastikową fiolkę czy rurkę, długości około dziesięciu centymetrów.

- Czy to pana?

Wziąłem fiolkę i poszedłem z nią do oświetlonej komórki na narzędzia za garażem. Fiolka miała nalepkę drogerii Pacific Palisades, w której zaopatrywałem się w leki, i na nalepce było napisane moje nazwisko: „Lew Archer. Jedna pastylka przed snem - dr Larry Drummond (Nembutal 3/4 grana 100 szt.)”.

Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że była to ta sama fiołka, którą Laurel zabrała z mojej apteczki. Była pusta. Zbudziły się we mnie jednocześnie lęk i nadzieja.

Odwróciłem się do człowieka, który stał za mną.

- Gdzie pan ją znalazł?

- Tutaj. Leżała w koszu w umywalni przy komórce.

- I była pusta?

- No, pewnie. Nic do niej nie wkładałem ani nic nie wyjmowałem. A były w niej jakieś lekarstwa?

- Tabletki nasenne - odparłem. - Te, które Laurel zabrała z mojej łazienki.

- Czy są trujące?
- Jeszcze jak. Niech mi pan pokaże, gdzie ją pan znalazł.

Otworzył pomalowane na zielono drzwi w głębi komórki i pociągnął za łańcuszek lampy nad głową. To małe pomieszczenie zawierało sedes, umywalkę z lustrem na ścianie i biały plastikowy kosz na śmieci.

Kosz był pusty. W pomieszczeniu nie było ani znaku Laurel. Stwierdziłem, że wpatruję się pilnie w lustro, jakby jej przelotny obraz mógł pozostawić na szkle jakiś ślad. Dostrzegłem tylko mignięcie ciemnej i niewyraźnej twarzy Smitha nad moim ramieniem.

- Kiedy pan znalazł tę fiolkę?

- Przed chwilą, po powrocie z Pacific Point. Nie przywiązywałem do tego żadnej wagi, ale potem zauważyłem na niej pana nazwisko. Sądząc z tego, co mi pan mówił, znaczy, że ona miała tu być, nie?

- Chyba. Mam nadzieję. Kto tej umywalni używa?

- Tylko ja, a czasem jeszcze człowiek, który pomaga w pracy w ogrodzie.

- Czy on tu mieszka?

- Nie. To Meksykańczyk. Przychodzi tutaj z barrio, przedmieścia.

- Kiedy pan wchodził tu ostatni raz... to znaczy, przed znalezieniem fiolki? Pomyślał chwilę gryząc wargi błyszczącymi złotem zębami.

- Wczesnym rankiem.

- Czy przypadkiem nie zaglądał pan wtedy do kosza?

- Nie, proszę pana. Nie mogę tego powiedzieć. Ale chyba zauważyłbym, gdyby w nim była fiołka.

- A sądzi pan, że jej nie było?

- Nie mógłbym przysiąc, czy była, czy nie.

- A mógłby pan przysiąc, że kosz był wtedy pusty?

- Opróżniłem go wczoraj - odparł. - Wczoraj zabierano śmieci.

- Więc od tamtej pory Laurel mogła tu być każdej chwili?

- Nie powiedziałbym, że każdej chwili. Byłem tutaj prawie cały czas nie licząc dwóch wyjazdów do Pacific Point, raz rano, a raz wieczorem. - Obrzucił mnie niespokojnym ukośnym spojrzeniem. - Chyba nie uważa pan, że zrobiłem coś złego?

- Nie ma o tym mowy.

- To się cieszę. - Ale w jego głosie kryło się niedomówienie i wcale się nie cieszył.

Udałem się ze Smithem z powrotem do frontowych drzwi. Otworzył je z klucza i wpuścił mnie do środka. Wewnątrz było ciemno i cicho, co sprawiło, że czułem się jak włamywacz.

W głębi hallu pojawiła się Elizabeth. Była wciąż zupełnie ubrana i wcale nie senna.

- Lew? Myślałam, że dawno poszedłeś.

- Właśnie odjeżdżałem, kiedy Smith znalazł coś interesującego. - Pokazałem jej fiolkę i wyjaśniłem, o co chodzi. - Nie chcę zbytnio rozbudzać w tobie nadziei, ale to prawdopodobnie oznacza, że Laurel była tu w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, może nawet dziś wieczorem.

- Ale ta fiolka jest pusta. Co to może znaczyć?

- Nie wiem. To mnie martwi.

Oczy Elizabeth zrobiły się granatowe.

- Sądysz, że ona połknęła te tabletki?

- Możliwe.

- Więc może jest gdzieś tutaj. Może kona.

Wziąłem latarkę z bagażnika. Smith pozapalał wszystkie zewnętrzne światła. Zaczęliśmy szukać we troje za drzewami, pod żywopłotami, we wszystkich kryjówkach z czasów dzieciństwa Laurel.

Pokrwawiony szczur jeszcze leżał na podłodze kotłowni. Ze ściany składziku spoza stłuczonej szybki oprawionej fotografii spoglądał kapitan. Wydała mi się czemuś pamiątką po zmarłym, człowieku, który zakończył życie dawno temu po drugiej stronie oceanu.

Do składziku wszedł Smith i zastał mnie przed ową fotografią. Stał koło mnie i rzekł nie bez wzruszenia:

- To był najlepszy kapitan, jakiego kiedykolwiek miałem. Nie wiem, czemu mu się tak nie wiedzie.

- Co spowodowało pęknięcie zbiornika na „Canaan Sound”? Pan tam był, prawda?

Spojrzał na swoją okaleczoną rękę.

- Byłem. Ale niech mnie pan nie pyta, czemu ten zbiornik pękł. Niektórym ludziom się nie wiedzie. Najpierw pękł zbiornik z benzyną, a teraz znów powstało to nieszczęście ze studnią wiertniczą. Kapitan robi wszystko przepisowo, ale zbiorniki z paliwem i podwodne studnie wiertnicze nie znajdują się na przepisach. Trzeba mieć dużo

szczęścia, jeśli się do nich zabiera, a kapitan nie ma do tego szczęścia. Lepiej by wyszedł, gdyby robił to, co zawsze pragnął robić... uczyć w Annapolis.

Gdy szliśmy z powrotem w stronę domu, zawiedzeni i zaniepokojeni, z otwartych frontowych drzwi wyszła Marion. Jej przetkane siwizną włosy były w nieładzie, a suknia leżała krzywo, jakby włożono ją w pośpiechu i po ciemku. Rozejrzała się w blasku lamp trochę nieprzytomnie.

- Co tu się dzieje?

- Wszystko wskazuje, że Laurel nas tu dzisiaj odwiedziła - rzekła Elizabeth - ale nie została na dłużej.

Opowiedziałem matce Laurel, co Smith znalazł i co moim zdaniem to oznacza. Schwyciła mnie za ramiona. Była zdumiewająco silna, jak poraniony kot, i potrząsnęła mną.

- Pan ją musi znaleźć.

- Właśnie staram się to zrobić, proszę pani.

- Gdzie ona może teraz być?

- Nie mam pojęcia. Możliwe, że pojechała do domu.

- Którego domu?

- Pani powinna to wiedzieć lepiej ode mnie. Jest pani jej matką.

Wbiegła pędem do domu. Poszedłem za nią i znalazłem ją przy telefonie w gabinecie kapitana.

- Pan musi nam pomóc jej szukać, proszę pana - mówiła do swojego zięcia.

Była bliska hysterii. Zabrałem jej słuchawkę i powiedziałem do Toma:

- Czy widział się pan z nią albo miał pan od niej jakąś wiadomość?

- Nie. Sądzi pan, że powinienem iść jej szukać?

- To wielkie miasto, Tom. Niech pan lepiej zostanie w domu. Ona może chcieć się z panem skontaktować.

- Dobra. Będę siedział w domu.

- A przy okazji, czy widział pan Glorię?

- Nie widziałem, odkąd odwozłem ją do Redondo Beach. To znaczy, że obie zaginęły?

- Przynajmniej jest nadzieja, że Laurel żyje. - Odłożyłem słuchawkę.

Marion stała przy mnie.

- Powiedział mu pan, żeby siedział w domu, że ona może chcieć się z nim skontaktować. Ostatecznie jestem jej matką.

- Słusznie.

- A w naszym domu nie ma nikogo. Co będzie, jeśli przyjedzie i nikogo tam nie zastanie? Muszę jechać do domu.

- Jesteś zmęczona, kochanie - powiedziała Elizabeth.

- Nie, nie. Zresztą i tak nie mogłabym zasnąć. Zupełnie jakbym w ogóle przestała sypiać. Pożyczysz mi samochód?

- Nie powinnaś jechać sama - tłumaczyła Elizabeth. Chętnie bym ją odwiózł, ale byłem tak zmęczony, że nie ufałem sobie jako kierowcy. Smith powiedział, że ją odwiezie.

Obiecała zawiadomić mnie, jeśli otrzyma wiadomość od Laurel.

Zjeżdżając ze wzgórza w kierunku domu zauważyłem, że wygląd miasta się zmienił. Wydało mi się większe, bardziej świecące i mniej abstrakcyjne. Rozciągało się między górami a morzem jak jakiś żywy stwór zdolny odczuwać i zadawać ból.

Przestałem o czymkolwiek myśleć i cokolwiek odczuwać i jechałem do domu niczym z automatycznym pilotem.

Rozdział trzydziesty ósmy

Moje mieszkanie wyglądało, jakby minęło nie trzydzieści godzin a całe lata, odkąd ostatnio byłem tu z Laurel. W blasku lamp była jakaś ponurość, a w powietrzu kwaśność. Odczułem wstrząs, gdy zdałem sobie sprawę, że zmiana ta zaszła nie w samym mieszkaniu, tylko we mnie.

Usiadłem na kanapie i zamknąłem oczy starając się oderwać od tego. Fale ciemności zaczęły mi napływać do oczu.

Niosły z sobą jedną wieść bezustannie powtarzaną, że Laurel dawno już nie ma, że prawdopodobnie nie żyje, że pusta fiolka w garażu Somerville'a została tam prawdopodobnie podrzucona, aby nas wprowadzić w błąd. Próbowałem wytłumaczyć sobie, jak to się mogło stać, ale byłem zbyt zmęczony, aby móc prawidłowo myśleć. Położyłem się z poduszką pod głową i zapadłem w sen.

Z czarnych głębi snu wyrwał mnie dzwonek telefonu. Przeszedłem przez pokój i podniosłem słuchawkę. Dzwoniono z biura kontaktowego.

- Pan Archer? Jakaś kobieta usiłuje się z panem połączyć. Mówiłam jej, że jest za wcześnie, ale ona...

- Jaka kobieta?

- Nie chciała podać swojego nazwiska.

- Czy zostawiła jakąś wiadomość?

- Mówiła coś o powrocie córki... tej, z którą pan chciał porozmawiać.
- Powiedziała, że jej córka wróciła do domu?
- Chyba coś w tym stylu. Trudno ją było zrozumieć. Była jakby trochę wstawiona.

Podziękowałem telefonistce, ogoliłem się, zmieniłem koszulę i wyszedłem w szarość ranka. Ruch na bulwarze Wilshire był niewielki. Skręciłem w Pico i pojechałem w stronę morza, a potem wjechałem na autostradę w kierunku północnym.

Żółtawy miazmat smogu pozostały z poprzedniego dnia unosił się nad wybrzeżem i nad wodą. Przenikający przezeń blask poranny nie był łaskawy dla Topanga Court. Umieszczone na tle urwiska i wznoszących się u jego stóp zwałów ziemi wyglądało jak opuszczone osiedle górnicze, miasto-widmo, nad którym górowały hałdy miedzi.

Pamiętałem, że Harold miał broń i nie wahał się przed jej użyciem, zaparkowałem więc samochód o kilkadziesiąt metrów dalej. Wracając piechotą minąłem samochód pełen dzieci stojący na poboczu. Siedziały w starym Cadillaku z teksaskimi numerami i błotnikami jak zgniecione skrzydła.

Na tylnym zderzaku była nalepka z napisem: „Zatrąb, jeżeli kochasz Jezusa”. Dzieci patrzyły na mnie ciemnymi oczyma z pełnym powagi pytaniem. Czy to jest ziemia obiecana?

Z tyłu, za Topanga Court, stał w otwartym garażu zielony Falcon Glorii. Jego tablica rejestracyjna, jakby umyślnie zalepiona zrzęcznie błotem, była nieczytelna. Obszedłem budynek i zbliżyłem się do frontowych drzwi. Wewnątrz paliło się światło i słyszałem nanizany na odgłosy ruchu ulicznego szmer rozmowy.

Spróbowałem klamki. Drzwi były zamknięte. Potem rozległy się kroki i przez szklaną szybkę wyjrzała pani Mungan. Jeżeli okolica przypominała górnicze miasto-widmo, to pani Mungan wyglądała jak zasypany górnik, który się wygrzebał, aby ostatni raz rzucić okiem na światło dzienne.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz. Nad jej głową zadźwięczał ostro dzwonek. Jej oddech załatywał whisky, ale oczy były zupełnie trzeźwe.

- Otrzymał pan wiadomość?
- Tak. - Podziękowałem jej.
- Długo się pan zbierał, żeby tu przyjechać. Ledwie mi się udało zatrzymać Glorię. Ona się boi.

- Ma powody. Jest uwikłana w sprawę o porwanie.

- Ona mówi, że nie. Że nawet nie widziała Laurel.

- Czy mogę sam z nią porozmawiać, proszę pani?

- Proszę. Właśnie o to chodzi. Po co innego bym pana wzywała? - Podniosła wzrok na żółte niebo. - Zdaję sobie sprawę, że popadliśmy w tarapaty.

Gloria czekała w pokoju za sklepionym przejściem. Wstała, kiedy wszedłem, i uniosła zaciśnięte dłonie na wysokość piersi, jakby się bała, że ją zaatakuję.

- Dzień dobry, Glorio.

- Dzień dobry.

Zatraciła swą pogodę, a wraz z nią ładny wygląd. Była jedną z tych kobiet, które są prawie ładne, kiedy są w dobrym nastroju, nieomal brzydkie, gdy są przygnębione. Krzywiąc się ze strachu zwróciła się do matki:

- Martie, czy mogłabym porozmawiać z panem sam na sam?

- Przecież powiedziałas mi już wszystko. - Matka spojrzała na nią podejrzliwie. - A może nie?

- Na pewno tak, ale nie o to chodzi. Jestem przy tobie skrepowana.

Pani Mungan wycofała się zamykając drzwi za sobą. Gloria powiedziała:

- Matka chciałaby jak najlepiej, ale ma tyle własnych problemów, zwłaszcza odkąd ojciec nas opuścił. Właściwie to ja jej matkuję chyba od dwunastego roku życia. Zawsze miała tak wielkie problemy, że nigdy nie starczało mi czasu, aby się zastanawiać, czy mam jakie własne, a cóż dopiero próbować je rozwiązać.

Mówiła szybko, w przypiływie uczucia, ale uczucie rozwiewało się w miarę mówienia i słowa zaczęły padać wolniej. Nie przerywałem jej. Każdy świadek ma własną drogę, po której pełnie ku prawdzie.

- Niełatwo wychowywać się u boku matki-alkoholiczki - mówiła. - Martie pije, odkąd sięga moja pamięć... od śmierci cioci Allie. Czy wie pan coś o cioci Allie?

- Wiem, że została zamordowana. Mówiła mi pani o tym wczoraj rano, pamięta pani?

- To było zaledwie wczoraj? Mnie się zdaje, że od tego czasu minął rok. W każdym razie teraz wiem już o tym więcej. Ciocia Allie została zamordowana przez jednego z mężczyzn, których miała w życiu... mężczyznę, którego odtrąciła.

- Skąd się pani o tym dowiedziała?

- Wczoraj wieczorem, w motelu, od Harolda.

- W Redondo Beach?

- Nie. Pojechaliśmy stamtąd do innego. Harold nie ufał lekarzowi.

- Czy Harold jest nadal w tym motelu?

- Nie.

- A gdzie?

Spojrzała na mnie z nieszczęśliwą miną. Obdarzyła Harolda uczuciem, które, choć sponiewierane i zawiedzione, trudno jej było teraz wyrzucić z serca.

- Niech mi pani powie, gdzie on jest. On stanowi klucz do całej sprawy.

- To nieprawda - broniła się. - Harold wcale nikogo nie porwał. I wcale nikogo nie postrzelił.

- Kto pani to powiedział?

- On sam, a ja wiem, że mówił prawdę. Chciał tylko, żeby morderca cioci Allie stanął przed sądem.

- Myśli pani o Nelsonie Bagleyu? Kiwnęła głową.

- To właśnie on ją zastrzelił. Ale byli w to wmieszani również inni ludzie... ludzie, którzy tę sprawę zatuszowali.

- Jacy ludzie, Glorio?

- Harold kazał mi przyrzec, że nie powiem. Chciał się sam tym zająć.

- Czy mówimy o kapitanie Somerville? - zapytałem.

- Ja tego nie powiedziałam.

- Ale czyż nie po to sprowadziliście tutaj Bagleya? Żeby pokazać mu kapitana w telewizji?

Odwrociła się i spojrzała na telewizor, jakby mógł za nią odpowiedzieć. Ale telewizor był ciemny i niemy.

- Skoro pan tak wiele wie - odparła - to po co pan pyta?

- Dobrze, więc powiem pani. Somerville był kochankiem pani cioci. A Bagley albo był, albo chciał nim być. Ona odtrąciła Bagleya i myślę, że wzięła sobie innego kochanka. Wówczas Bagley ją zastrzelił. Natomiast Somerville użył swego wpływu, aby zatuszować całą sprawę, ponieważ bał się, aby go w nią nie wmieszano. Tymczasem Harold Sherry postanowił wydobyć ją znów na światło dzienne. Czy tak to mniej więcej wygląda?

- Pan wie o tym więcej ode mnie.

- Ale pani spędziła minionej nocy dość dużo czasu z Haroldem. Czy on coś mówił? Czy choćby wytłumaczył, dlaczego jest ranny?

- Mówił, że ojciec Laurel chciał go zabić.

- Dlaczego?

- Powiedział, że rodzina Laurel zawsze go nienawidziła.

- Podał jakieś przyczyny?

- Nie.

- I nie wspomniał, że on też chciał zabić ojca Laurel?

- Nie. - Ale jej oczy były szeroko rozwarte i zamyślane, zapatrzone w noc, którą niedawno przeżyła z Haroldem, i widziały, jak cały sens wypadków owej nocy nabiera zgoła odmiennych kształtów.

- Jak Harold wytłumaczył fakt posiadania pudła z pieniędzmi?

- Powiedział, że spieniężył swoje papiery wartościowe, które mu zostawił ojciec, różne udziały i obligacje. Harold chciał wyjechać z kraju i zabrać mnie z sobą.

Zaczęły mnie już nużyć te kłamstwa Harolda i jej upór, by przy nich obstawać.

- Proszę posłuchać, Glorio. Zadzwoiła pani do mnie, a ja przyjechałem przypuszczając, że chce mi pani powiedzieć prawdę. Teraz już na nic się nie zda jej ukrywanie.

- Ja do pana wcale nie dzwoniłam. To moja matka.

- W każdym bądź razie przyjechałem, a pani nie chce mówić.

- A co mam panu powiedzieć?

- Gdzie jest Harold?

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi.

- Gdzie go pani zostawiła?

- Ja go nie zostawiłam, to on mnie zostawił.

- W jaki sposób mógł to zrobić? Czy ktoś po niego przyjechał?

- Tego właśnie nie powiem.

Ale poznałem z barwy jej głosu i skrzywienia głowy, że czuła się, jakby ktoś ją spoliczkował albo miał zaraz spoliczkować.

- Czy była to inna kobieta, Glorio? Po długim milczeniu odparła:

- Tak. Starsza kobieta. Harold kazał mi przyrzec, że nie będę patrzyła, ale wyjrzałam z okna motelu i zobaczyłam ją.

- W jakim była wieku?

- Mniej więcej Martie. Przyjechała wielkim Mercedesem. Harold wśliznął się do bagażnika i w ten sposób odjechał.

- Z pieniędzmi?

- Tak. Zabrał pieniądze.

- I rewolwer? Kiwnęła głową.

- Co ze mną jest? - powiedziała. - Czemu zawsze trafiam na nieodpowiednich mężczyzn? Jedyńm mężczyzną, jakiego naprawdę pragnęłam na męża, był mój kuzyn Tom. Ale jedyną kobietą, jakiej on naprawdę pragnął - pragnął od dzieciństwa... była Laurel.

Dopiero po chwili dotarło do mnie znaczenie tych słów.

- Od dzieciństwa?

- Tak.

Wyprostowałem się w fotelu.

- To on zna Laurel od tak dawna?

- Niemal od urodzenia - odparła Gloria. - Bawili się razem, kiedy miał około czterech lat, a ona chyba trzy. Po śmierci matki stracili z sobą kontakt i zobaczyli się ponownie dopiero przed paroma laty. Weszła któregoś dnia do drogerii w Westwood i poprosiła, żeby zrealizował jakąś receptę. Na recepcie było jej nazwisko. On to nazwisko zawsze pamiętał i chyba poznał Laurel. Ale wyszła, zanim uwierzył, że ona może być naprawdę tą samą Laurel Lennox. Wtedy pobiegł za nią na parking i powiedział, kim jest, i ona sobie go przypomniała. Nie minęło chyba dwa miesiące, a byli po ślubie.

Słyszałem już zakończenie tej opowieści.

- Kto pani o tym mówił, Glorio?

- Tom. I to nie raz - dodała z odcieniem goryczy. Ale ta gorycz była zmieszana z miłszymi uczuciami, nawet z odrobiną sentymentalizmu panny młodej. Owo spotkanie Laurel z jej kuzynem było zapewne największym z romantycznych zdarzeń w dziejach jej rodziny. Ale mnie interesowały jego mniej romantyczne aspekty;

- Ciekawym, jak to się stało, że Tom i Laurel bawili się razem, kiedy byli dziećmi?

- Naprawdę nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. Może Martie wie.

Gloria otworzyła drzwi do przedpokoju w głębi i zawołała matkę, która weszła w oparach alkoholu. Zaczęła już swój długi dzień intensywnego popijania. Ale jej oczy, które przyjrzały się badawczo twarzy córki, były bystre jak u wróżki.

- Czy pan zabiera cię na policję? - spytała. - Zabiera ją pan? - zwróciła się do

mnie.

- Nie, ale dobrze by było, gdyby Gloria poszła sama na; policję i wszystko opowiedziała. Macie jakichś przyjaciół w wydziale szeryfa?

Kobiety wymieniły spojrzenia.

- Tam jest przecież zastępca szeryfa, Stillson - powiedziała starsza. - On cię zawsze lubił.

- Pójdzie pani porozmawiać z zastępcą szeryfa, Stillsonem, Glorio?

Zacisnęła dłonie i potrząsnęła nimi, aż cała zadrżała.

- Nie wiem, co mu powiedzieć?

- Po prostu prawdę... to, co pani powiedziała mnie... i niech go pani poprosi, żeby przekazał to kapitanowi Dolanowi w Pacific Point. Dolan pracuje w tamtejszym biurze szeryfa.

Łzy napłynęły jej do oczu, jakby jej nagle ściśnięto; głowę.

- Nie chcę wsypywać Harolda.

- Musi pani, Glorio. I niech to pani lepiej zrobi, zanim go przymknę.

- Zamierza go pan zamknąć?

- Tak.

- Wie pan, gdzie on jest?

- Myślę, że tak.

- Gdzie? - Podeszła do mnie ogromnie przejęta.

- Nie mogę pani powiedzieć. - Odwróciłem się od niej i powiedziałem do jej matki: - Gloria przed chwilą mi powiedziała, że pani siostrzeniec Tom bawił się w dzieciństwie z Laurel Lennox. Czy pani coś o tym wiadomo?

- Coś tam niejasno sobie przypominam. Dlaczego?

- Czy wie pani, w jaki sposób do tego doszło?

- Trudno powiedzieć. - Zwróciła się szorstko do Glorii: - Lepiej idź umyć się i przebrać, jeżeli masz jechać rozmawiać z zastępcą szeryfa.

Gloria spojrzała na matkę buntowniczo, ale odwróciła się i wyszła posłusznie z pokoju.

- Nie chciałam, żeby o tym słyszała - powiedziała pani Mungan. - Nie wiem, czy mówiłam panu o mojej siostrze i kapitanie Beniaminie Somerville'u.

- Nie, chyba nie. A co może pani o nich powiedzieć?

- To właśnie dla niego Allie straciła głowę, gdy była w Bremerton. Przez pewien czas myślała nawet, że on jej pomoże dostać rozwód, a potem się z nią ożeni.

Ale on się od niej odwrócił i ożenił się z dziewczyną młodszą od siebie o połowę... dziewczyną, której rodzina siedziała w nafcie. Była nią Elizabeth Lennox, ciotka Laurel.

Spojrzała na mnie z satysfakcją, jak matematyk, który rozwiązał równanie. Potem się zasepiła, jakby wynik równania zasmucił ją lub przeraził.

- Teraz wszystko stanęło mi przed oczyma - powiedziała. - Po odejściu od męża w Bremerton Allie została bez grosza i przyjechała tutaj z Tomem. Pomagaliśmy jej oboje z Munganem, jak tylko mogliśmy. Ale ciężko jej było utrzymywać dom i tak żyć z dnia na dzień. Więc poradziłam, żeby poszła do Somerville'a i poprosiła o trochę pieniędzy. Ostatecznie to on rozbił jej małżeństwo. A ponieważ mąż był w handlu nieruchomościami, wiedzieliśmy, że Somerville właśnie zapłacił pięćdziesiąt tysięcy za wielki nowy dom w Bel-Air. To było sporo pieniędzy w tamtych czasach, wiosną 1945 roku.

Allie mówiła mi, że pojechała tam, ale Somerville'a nie zastała. Był na morzu. Ale zastała jego młodą, nowo poślubioną żonę i wydobyła od niej trochę grosza, co jej wystarczyło na kilka tygodni. Potem znów pieniądze się rozeszły.

My z Munganem nie mogliśmy jej pomóc. W tych późno-wojennych latach staliśmy u progu bankructwa, które w końcu nas spotkało. Allie udała się więc znów do Somerville'ów. Tym razem nie było jego młodej żony, ale był jej brat... ten sam, którego widzieliśmy z kapitanem; Somerville'em we wtorek w telewizji. Ten jej brat i jego żona przyjęli Allie na opiekunkę do swojego dziecka. W ten właśnie sposób Tom zetknął się z ich córeczką.

Stała w milczeniu lekko się chwiejąc i nasłuchując głuchych ech własnej opowieści. W jej oczach jednak nie było błysku zrozumienia. Nie okazała się koniec końców matematykiem - przypominała raczej uczonego głupca, bo pamiętając wszystkie szczegóły z własnego życia i życia siostry nie mogła się w nich dopatrzeć żadnego ogólniejszego znaczenia.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Pojechałem autostradą na południe, do Pacific Point, a potem skręciłem na starą szosę. W miejscu, w którym szosa biegnie tuż nad brzegiem oceanu, widziałem ropę leżącą cienką warstwą na wodzie i lśniąca wszystkimi kolorami tęczy, a gruby, czarny jej osad na plażach.

Jeziro Sandhill było znów opuszczone. Nie zobaczyłem już służbowych samochodów ani policjantów kręcących się wokół klubu łowieckiego. Ale

przypomniałem sobie coś, o czym zapomniałem - że przy wjeździe do El Rancho jest szlaban i uzbrojony strażnik i że nie mogę prosić matki Harolda, aby kazała mnie przepuścić.

Poprosiłem strażnika, żeby mnie połączył z domem Williama Lennox.

Służąca przywołała do telefonu Connie Hapgood:

- Pan Archer? Właśnie zastanawiałam się, jak się z panem skomunikować.

William gdzieś zaginał.

- Od jak dawna go nie ma?

- Co najmniej godzinę. Nie było go w łóżku, gdy przyszedłam dziś rano, żeby go obudzić. Wszystkie samochody są w garażu, więc chyba ktoś go musiał zabrać, prawda?

- Co znaczy: zabrać?

- No, nie wiem. Ale boję się, a nie jestem lękliwa. Ten dom wydaje się czemuś straszliwie pusty i martwy.

- Mógł się gdzieś udać o własnych siłach. Wczoraj o mało tego nie zrobił.

- Tego też się obawiam - powiedziała. - Mamy tu bardzo rozległe tereriy.

Miejscami dość dzikie. Z jego sercem nie jest najlepiej, a ma tendencję do szarżowania, więc jeśli powędrował gdzieś sam... - Nie dokończyła zdania.

- Przyjadę, jak tylko będę mógł, ale to nie będzie zaraz.

- A co pan teraz robi? - Jej głos zabrzmiał ostrą nutą jakby urazy.

- Jestem na tropie Laurel.

Odłożyłem słuchawkę, zanim zdołała mi zadać następne pytanie. Strażnik uniósł barierkę i machnął ręką na znak, że mogę jechać.

Zaparkowałem na Lorenzo Drive, nie dojeżdżając do żywopłotu pani Sherry, i poszedłem dalej pieszo. Podjazd, choć łagodny, wydał mi się bardzo stromy. Harold miał rewolwer i był prawdopodobnie w dostatecznie dobrej formie, aby móc go użyć.

Przyjrzałem się dobrze oknom, czy nie dostrzegę w nich jakiegoś ruchu lub błysku metalu. Ale jedyne, co spostrzegłem wokół domu, to ewolucje powietrznych zalotów pary kolibrów.

Przeszedłem na tył domu, jak to zrobiłem poprzedniego dnia, i przeszukałem garaż. Z pozoru bardzo niewiele się tam zmieniło. Sfatygowany szary Mercedes stał w nim jak wtedy, ale tym razem pokrywa bagażnika była podniesiona i gdy zajrzałem do środka, zobaczyłem na dnie zakrzepłą krew.

Skrzypnęły kuchenne drzwi. Ukazała się w nich pani Sherry i ruszyła

chyłkiem do garażu. Wzdrygnęła się na mój widok, okazała jednak na tyle przytomności umysłu, że podeszła blisko, nim coś powiedziała, a mówiła szeptem:

- Co pan tu robi?
- Chcę porozmawiać z Haroldem.
- Harolda nie ma. Mówiłam panu wczoraj.
- Więc czemu szepczemy?

Dotknęła dłonią ust, jakby ją zdradziły. Ale nie mogła się zdobyć, żeby podnieść głos.

- Zawsze mówię bardzo cicho - wyszeptwała.

Wyminęła mnie udając, że robi to od niechcenia, i cichutko zamknęła bagażnik. Jej ruchy były niezgrabne i pełne napięcia, co chwila popatrywała w moją stronę. Przez tę noc jej oczy stały się bardziej zapadnięte i błyszczące.

- Gdzie on jest, proszę pani?
- Nie wiem. O ile się nie mylę, już wczoraj poruszyliśmy ten temat.

Powiedziałam panu wszystko, co wiedziałam. - Rozłożyła dłonie, aby mi pokazać, jakie są czyste i puste.

- Ale to było wczoraj. Harold jest tutaj u pani, prawda? Jej błyszczące oczy sprawiały, że całe ciało wydawało się przez to bardziej zwiędłe i wynędzniałe. Nie odpowiedziała wprost na moje pytanie.

- Jeden z niemieckich filozofów... zdaje się Nietzsche... powiedział, że historia się wciąż powtarza, jak stara płyta gramofonowa. Gdy po raz pierwszy to usłyszałam na uniwersytecie, nie mogłam tego zrozumieć. Ale teraz myślę, że miał rację. Takie jest właśnie moje życie.

- To znaczy jakie? Pokręciła głową.
- Nie wiem jakie. To właśnie najdziwniejsze. Wciąż się powtarza, a mimo to dają się zaskoczyć.

- To samo jest z nami wszystkimi, proszę pani. Tylko nie wszyscy z nas mają synów.

- Wolalabym go nie mieć. - Ale surowe palce skarciły usta za te słowa. - Nie, to nieprawda. Nie chcę, aby Harold przestał żyć albo w ogóle nie był się narodził. Wiem, że gdybym go nie miała, czułabym się jeszcze bardziej upośledzona.

- Jak on się czuje, proszę pani?
- Chyba ma gorączkę. Właśnie zastanawiałam się, czy nie wezwać doktora.

Jak pan sądzi, czy doktor Brokaw zgodziłby się przyjechać tu z Long Beach?

- Proszę go zapytać. Ale myślę, że równie dobrze może pani wezwać lekarza miejscowego.

Jej twarz się skurczyła.

- Nie mogę. Zaraz by się wszyscy dowiedzieli.

- Wszyscy i tak się dowiedzą. Sprawa jest znana wszystkim już teraz, na razie bez bliższych danych. Jedyne, co może pani zrobić dla Harolda, to skłonić go domówienia, zanim zostanie do tego zmuszony. Jeżeli powie, gdzie jest Laurel Russo, sąd będzie patrzył na niego łaskawszym okiem.

Twarz pani Sherry wydłużyła się jak rozciągnięte ciasto.

- On nie wie, gdzie jest Laurel. Pytałam go.

- Nie wie?

- Nie. Mówi, że nie widział jej od kilku dni.

- Więc kłamie.

- Możliwe. - Wyznanie to przyszło jej z trudem. - Nie zawsze wiem, kiedy Harold mówi prawdę.

- Gdzie on jest? - powtórzyłem.

- W swoim pokoju.

- Czy jest uzbrojony?

- Był - odparła. - Ale zabrałam mu rewolwer. Był dość podniecony w nocy... myślę, że miał gorączkę. Obrzucał mnie różnymi wyzwiskami, kłął i wymachiwał rewolwerem. Więc zabrałam mu rewolwer. - Była zawstydzona, jakby w jakiś sposób pozbawiła Harolda odwagi.

- Co pani zrobiła z tym rewolwerem?

- Rozładowałam i schowałam w szafie. Naboje włożyłam gdzie indziej, do kosza z brudną bielizną w łazience.;

- To bardzo roztropne. A czy pozwoli mi pani z nią porozmawiać?

Na jej twarz padł cień strachu, odbierając oczom blask.

- Harold mi tego nigdy nie wybaczy.

- Dobrze, że się nie stało nic gorszego. W obecnej sytuacji nie ma co się zastanawiać, co będzie, proszę pani. Sam się dziwię, że jeszcze tu nie ma policji. A kiedy policja przyjedzie, spotkają panią przykrości za ukrywanie uciekiniera.

- Jestem przecież jego matką.

- Więc niech mi pani pozwoli z nim porozmawiać. A tymczasem proszę zadzwonić po lekarza. Nie macie w sąsiedztwie żadnego lekarza?

- Jest doktor Langdale. Mieszka tu, w El Rancho.

Wpuściła mnie przez kuchenne drzwi do domu. Na patelni na elektrycznej kuchence dymiły spalone plastry boczku. Chwyciła ją i wypuściła z oparzonej ręki. To by. pechowy dzień dla pani Sherry.

Kiedy trzymała dłoń pod strumieniem zimnej wody z kranu, gdzieś w głębi domu rozległy się słowa jej syna:

- Co się tam dzieje? Mamo? - Był w nich gniew i strach.

- Idę - powiedziała, ale chyba za cicho, aby mógł usłyszeć.

Poprowadziła mnie na palcach do drzwi jego pokoju, dała znak, żebym zaczekał, i weszła do środka.

- Co się tu dzieje? - usłyszałem jego głos. - Myślałem, że robisz śniadanie.

- Właśnie robiłam. Sparzyłam się w rękę.

- Ach tak? Zdawało mi się, że z kimś rozmawiałaś.

W pokoju zaległa cisza. Słyszałem, jak jedno z nich oddycha.

- Jest tu ktoś - powiedziała w końcu pani Sherry. - Chce z tobą porozmawiać.

- Coś ty narozrabiała?

Poskakał na jednej nodze do drzwi, otworzył je na oścież i zobaczył mnie. Na nodze, pod rozciętą nogawką piżamy, miał zakrwawiony bandaż. Włosy mu zwisały na błyszczące gorączką oczy.

- Kim pan jest? Nie znam pana.

- Nazywam się Archer. Jestem prywatnym detektywem.

- Czego pan chce?

- Laurel.

Znowu zwrócił się ku matce, jakby to ona była źródłem wszystkich kłopotów jego życia.

- Czy to twój pomysł, stara wariatko?

Opuściła głowę, jak gdyby przyzwyczajona do podobnych epitetów.

- Nie możesz do mnie w ten sposób mówić, Haroldzie. Jestem twoją matką.

- Więc zachowuj się jak matka.

Przyłożyłem dłoń do jego piersi - serce mu biło jak młotem - i wepchnąłem tyłem do pokoju. Usiadł nagle na krawędzi łóżka.

- Mamy z Haroldem coś do omówienia - powiedziałem pani Sherry. - Byłoby lepiej, gdyby pani tego nie słyszała. Lepiej dla nas wszystkich.

Spojrzała na Harolda z tym swoim nieutulonym żalem i minąwszy mnie

skierowała się do drzwi.

- Jeszcze jedno - zwróciłem się do niej. - Gdzie jest to pudło z pieniędzmi?

- Schowałam je w szafie. - I zaraz dodała podnieconym głosem: - Nie miałam zamiaru go zatrzymać. Czy mam je przynieść?

- Na razie niech zostanie tam, gdzie jest. Te pieniądze mogą okazać się pani jedynym atutem w rozgrywce.

Spojrzała na mnie nie rozumiejąc. Trudno jej było pojąć wiele spraw. Harold patrzył na nas jak kibic rozgrywek ping pongowych, na które wiele postawił i czuł, że traci.

- To moje pieniądze - rzekł. - Zdobyłem je z wielkim trudem.

- Zdaje się, że wszystko idzie ci z ogromnym trudem, Haroldzie. Na twoim miejscu poszukałbym u kogoś porady.

- A ile by to mnie kosztowało?

- U mnie nic a nic. Już mam klienta. Nazywa się Tom Russo. Ale to, co ty zrobiłeś jego żonie, może cię kosztować resztę życia.

Spojrzał na mnie z lękiem.

- Nic jej nie zrobiłem. Nawet jej w tym tygodniu nie widziałem.

- To prawda - zaświadczyła jego matka. - To samo mówił mnie.

- Już to od pani słyszałem. Czy może nas pani teraz na kilka minut zostawić samych? Lada chwila zjawi się policja i pierwsze, czego się będą chcieli dowiedzieć, to gdzie jest Laurel. Jeżeli on im to powie, być może przymkną oczy na inne sprawy.

- Ale ja nie wiem, gdzie jest Laurel. Prawda, że nie kłamię, mam?

- Prawda. - Wkroczyła między nas. - Harold nigdy by nie zrobił Laurel czegoś złego. Zawsze ją uwielbiał.

- Właśnie. Zawsze ją uwielbiałem.

Czułem, co się działo. Matka i syn nawiązali dialog, który się toczył między nimi zapewne od piętnastu lat i miał moc i iluzoryczność snu. Ja zaś odgrywałem rolę osoby trzeciej w tej scenie ze snu - rolę karzącego ojca, który związał się z inną kobietą, ale powrócił, aby ich nękać.

Rozdział czterdziesty

Miałem ochotę obrócić się na pięcie i wyjść. Rozkazałem jednak pani Sherry nieprzyjaznym głosem:

- Proszę stąd natychmiast wyjść! I niech pani zadzwoni po doktora Langdalera.

Posłuchała, wstrząśnięta moim ostrym tonem. Zatrzasnąłem za nią drzwi.

- Za gwałtownie sobie pan poczyną - rzekł Harold. - Matka nie przywykła do takiego traktowania.

Roześmiałem mu się prosto w twarz. Chętnie bym go zdzielił w łeb. Ale musiała być jakaś różnica pomiędzy tym, na co jego było stać, a tym, co mnie wypadało.

- Gdzie ona jest, Harold? - spytałem.

Spojrzał na mnie z wyrazem przebiegłej niewinności.

- Kogo pan ma na myśli?

- Laurel Russo.

- Niech pan zapyta jej ojca. On panu powie.

- Nie próbuj mnie oszukać. Jack Lennox leży w szpitalu w Pacific Point z dziurą w głowie. Którą ty mu zrobiłeś.

- On zranił mnie pierwszy. Ja strzelałem w obronie własnej.

- Szantażyści nie mają prawa obrony własnej. Jeżeli Lennox umrze, będziesz w najgorszych tarapatach, jakie można sobie wyobrazić. Już jesteś, mając na swoim koncie to porwanie. Gdybyś był choć w połowie tak sprytny, za jakiego się uważasz, zacząłbyś wreszcie coś robić, żeby spróbować się z tych tarapatów wykaraskać.

Obrzucił pokój zaleźnionym spojrzeniem. Pokój ten wyglądał, jakby nic w nim nie zmieniono od czasów, gdy Harold był nastolatkiem. Na ścianach wisiały szkolne proporce, nieco już wyblakłe, jak przypuszczalnie wyblakły marzenia, które gdzieś w głębi duszy piastował. W kącie stała biblioteczka z klasyką młodzieżową.

- Nie porwałem Laurel, tak samo, jak nie porwałem jej kiedyś.

- Chcesz powiedzieć, że jesteście w zмовie? Potrząsnął zmierzwioną głową.

- Nawet jej nie widziałem.

- Więc czemu jej ojciec zapłacił ci sto tysięcy?

- To nasza prywatna sprawa.

- Już nie, Harold. Pomilczał chwilę.

- Więc dobrze. To była łapówka.

- Za co?

- Za milczenie. Jeśli będzie pan milczał, podzielimy się tymi pieniędzmi.

- Jego oczy nagle załśniły nadzieją. Nachylił się ku mnie i omal nie wypadł z łóżka. Przytrzymałem go za ramię.

- Co masz na Jacka Lennox? - spytałem.

- Niejedno. Gdyby nie ta ich rodzinna forsa, dawno by siedział w wojskowym więzieniu w Portsmouth.

- Za coś, co zrobił w czasie wojny?

- Właśnie. Postrzelił człowieka w głowę i podpalił statek. Ale jak ma się tyle forsy co Lennoxowie, można zatuszować nawet tak wielkie przestępstwo.

- Skąd o tym wiesz?

- Właśnie od człowieka, którego postrzelił.

- Masz na myśli Nelsona Bagleya?

Spojrzał na mnie z głębokim zdziwieniem. Podobnie jak innym wyalienowanym, a przy tym niezbyt byстрыm ludziom, trudno mu było zrozumieć, że ktoś może wiedzieć tyle, co oni. Zgniewało go to i odebrało pewność siebie.

- Jeżeli pan już wszystko wie - powiedział - nie będę pana nudził.

- Nie nudzisz mnie. Ani trochę. Widać, że odwaliłeś kawał detektywistycznej roboty.

- A tak. Nie pan jeden.

- Jak wpadłeś na trop Nelsona Bagleya?

- Interesowałem się trochę rodziną Lennoxów. Dowiedziałem się od jednej znajomej dziewczyny o morderstwie popełnionym wiosną 1945 roku. Zamordowano jej ciotkę. Najciekawsze, że ta ciotka była przyjaciółką samego kapitana Somerville'a, który ożenił się z Elizabeth Lennox. Odszukałem opis morderstwa w starych gazetach i dowiedziałem się, że głównym podejrzanym był Nelson Bagley. Bagley nie stanął przed sądem jakoby dlatego, że był upośledzony umysłowo. Ale istniały również i inne powody.

- Jakże?

- Tacy ludzie jak Lennoxowie mają sąd w kieszeni, tak jak wszystko inne. I umieją chodzić koło własnych spraw.

Nie wierzyłem w to i nie kryłem tego przed nim. Harold ugodził pięścią powietrze.

- Mówię panu, że nie kłamię. Nie ma rzeczy, której stary Lennox nie zrobiłby dla swego synalka. Toteż i zrobił. A także zatuszował sprawę pożaru lotniskowca wprowadzając kapitana Somerville'a do rodzinnego biznesu.

- Skąd o tym wiesz?

- Sam to rozszyfrowałem... wziąłem tę rodzinę pod lupę. A Jack Lennox

wcale temu nie zaprzeczył, kiedy odwiedziłem go w tej sprawie przed paroma dniami. Nie zaprzeczył też, że zabił tę kobietę.

- Mówisz o Allie Russo?

Kiwnął kilka razy energicznie głową.

- Jack był z nią tej nocy, kiedy została zamordowana. Wiem to od naocznego świadka.

- Znów od Nelsona Bagleya?

- Tak. Nelson szpiegował Allie. Widział Lennox'a w jej sypialni.

- Myślałem, że to kapitan Somerville był jej kochankiem.

- Był. Ale popłynął na morze. A Jack Lennox wrócił ze Wschodu, gdzie był w szkole Marynarki i jakby przejął Allie po nim w spadku. Zaangażował ją do opieki nad Laurel, ale więcej czasu spędzała z nim.

- To jeszcze nie dowodzi, że ją zabił.

- Nie, ale to wszystko trzyma się kupy. Bagley nie kłamał, a to stało się na jego oczach.

- Bagley nigdy nie był nazbyt dobrym świadkiem - powiedziałem - a teraz przestał być osiągalny.

- To naturalne. Uważam, że i tak długo żył, wiedząc tyle o Jacku Lennoxie. Wiedział, że Lennox go postrzelił i podpalił statek. I wiedział, że Lennox zamordował Allie Russo.

- Jesteś pewien, że wiedział, a nie tylko sobie wyobrażał?

- Całkowicie, specjalnie się upewniłem. W ubiegły wtorek przeprowadziłem pewien eksperyment. Wiedziałem, że Lennox i Somerville mają wystąpić w telewizji, zabrałem więc Nelsona ze szpitala i zawiozłem go do domu przyjaciół. Bagley od razu rozpoznał obu, kiedy zobaczył ich na ekranie. Powiedział, że w sypialni Allie widział właśnie Lennox'a i że to on go postrzelił.

Nie byłem tego taki pewny jak Harold. Fakty zamordowania Allie i postrzelenia Bagleya docierały do mnie przefiltrowane przez czas i prawdopodobnie zniekształcone przez umysły dwóch wykolejeńców, z których jeden już nie żył.

- Co się stało z Bagleyem, Harold?

- Zaprowadziłem go do domu Lermoxów na skałach nadmorskich w Pacific Point. Chciałem być absolutnie pewien tej identyfikacji. Ale musiałem sam trzymać się z daleka, bo Lennox mnie znał.

- Znał także Bagleya.

- Tak. Znał go doskonale. Poszedł z nim na spacer wzdłuż morza i zepchnął z urwiska do wody.

- Widziałeś, jak to się stało?

- Nie musiałem widzieć. Lennox zaproponował mi pieniądze, żebym siedział cicho. Powiedział, że zdobędzie je z dnia na dzień, jeśli zrobimy, żeby cała rzecz wyglądała na porwanie. Rozumiem teraz, że zastawił tymi pieniędzmi na mnie pułapkę, próbując od samego początku mnie przechytrzyć. Myślał, że mnie zastrzeli i ujdzie mu to bezkarnie. Ale ja się nie dałem.

Obliział spękane od gorączki wargi. Jego oskarżenia pod adresem Jacka brzmiały jak przywidzenia człowieka chorego. Ale zaczynały z wolna przybierać kształt jakiejś niesamowitej rzeczywistości. Odpowiadała ona w kilku punktach niesamowitej rzeczywistości, którą sam przeżywałem, i wyjaśniała strzelaninę nad jeziorem Sandhill.

Ale jedna śmierć nie znalazła wyjaśnienia - śmierć Toniego Lashmana.

- Czy przedwczoraj - powiedziałem - kiedy szliście do domu Jacka Lennox nad urwiskiem, udaliście się tam bezpośrednio z mola?

- Nie. Kiedy pytałem o Lennox, kobieta w restauracji podała mi mylny adres. Wskazała mi dom starszej pani Lennox przy Seahorse Lane. Ale jej sekretarz powiedział mi, gdzie Jack Lennox mieszka.

- To on was skierował do Jacka Lennox?

- Tak.

- Czy wiesz, że on już nie żyje?

Harold wydawał się wstrząśnięty tą wiadomością, ale powiedział tylko:

- To się trzyma kupy. Lennox jest gotów trzasnąć każdego, żeby zatrzeć ślady.

Wydało mi się, że się powtarza, wygrywa wariacje jednego paranoidalnego tematu. Nagle odczułem silne pragnienie, żeby się z nim rozstać, i wyszedłem z pokoju.

Podeszła do mnie z powagą pani Sherry. Musiałem się zmienić na twarzy, bo pani Sherry spojrzała na mnie niespokojnie.

- Co się stało?

- Nic. Po prostu rozmawialiśmy. Ale pani syn nie jest w najlepszej formie.

Czy wezwała już pani lekarza?

- Próbowałam. Pani Langdale powiedziała, że doktor jest u Williama Lennox i że zadzwoni do niego. Staremu panu Lennoxowi coś się stało.

- Czy mówiła co?

- Dostał ataku serca i spadł ze spychacza. Nie wiem, co człowiek w jego wieku mógł robić na spychaczu.

- Tylko tego jeszcze Lennoxom brakowało - powiedziałem.

Oczy pani Sherry nie złagodniały. Nie miała współczucia dla Lennoxów.

Poprosiłem ją o rewolwer i pieniądze. Przyniosła je ze swojego pokoju bez sprzeciwu. Upewniłem się, czy pudło z pieniędzmi jest pełne, a rewolwer pusty.

- Czy mogę skorzystać z telefonu?

- Chce pan zadzwonić na policję?

Pod wpływem nagłego impulsu odparłem:

- Byłoby lepiej, gdyby pani sama to zrobiła.

- Lepiej dla Harolda?

- Tak. Proszę zadzwonić do biura szeryfa w Pacific Point i zapytać o kapitana Dolana.

Kiwnęła głową. Poszedłem za nią do pokoju, w którym rozmawialiśmy poprzedniego dnia. Okna były zasłonięte chroniąc dostęp promieniom porannego słońca i za meblami leżały cienie niby pozostałość nocy. Wykręciła numer biura szeryfa i poprosiła Dolana.

- Mówi Sherry... matka Harolda Sherry. Pan Archer podsunął mi myśl, abym do pana zadzwoniła. Harold jest ranny i bez broni. Chce oddać się w ręce policji i zwrócić pieniądze.

Zacząła odpowiadać na pytania i wciąż rozmawiała, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi. Otworzyłem je tęgiemu, siwemu mężczyźnie, który przedstawił się jako doktor Langdale. Powiedziałem mu, że Harold jest u siebie w pokoju.

- Jak się ma William Lennox, doktorze?

- Pan Lennox nie żyje. - Jego zmęczone niebieskie oczy spoczęły na mojej twarzy. - Już nie żył, kiedy tam przyjechałem. Jechał spychaczem po plaży i dostał ataku serca.

- Co robił tym spychaczem?

- Próbował oczyścić plażę z ropy. Nie cierpiał brudu na swojej plaży.

Rozdział czterdziesty pierwszy

O kilka kilometrów za wjazdem do El Rancho minąłem na szosie służbowy samochód Dolana. Nie zatrzymując się pojechałem dalej do Pacific Point.

Był wciąż jeszcze dosyć wczesny ranek, kiedy wysiadłem z windy na

najwyższym piętrze szpitala. Przed drzwiami separatki Jacka Lennox nie zastałem policjanta.

Lennox siedział na łóżku z tacą śniadaniową na kolanach. Twarz miał pokropkowaną zarostem, oczy pod hełmem z bandaża zapadnięte. Ale na tacy nie pozostało nic jadalnego.

- Przepraszam, że pana niepokoję.

- O co tym razem chodzi?

- Złapaliśmy Harolda Sherry i odzyskaliśmy pańskie sto tysięcy. Harold złożył dość obszerne zeznania.

Atmosfera pokoju jakby zastygła w litą ciszę. Na zewnątrz słychać było wciąż odgłosy życia, podzwanianie naczyń i inne poranne dźwięki szpitalne, nieprzerwany szmer pojazdów o dwadzieścia metrów niżej, na ulicy.

Lennox patrzył w okno, jakby miał zamiar przez nie wyskoczyć. Przeszedłem na wszelki wypadek na drugą stronę łóżka. Odwrócił twarz i wpatrzył się w ciemny ekran telewizora zawieszzonego niby jakiś tajemniczy przyrząd obserwacyjny wysoko na szarej ścianie.

Wreszcie zebrał siły, opanował się i spojrzał na mnie.

- Co ten Sherry powiedział?

- Wysunął przeciw panu kilka poważnych zarzutów.

- Domyślam się. Sherry jest psychopatycznym kłamcą i żywi do mnie nienawiść. Nienawidzi całej mojej rodziny. Dopuścił się niecnego czynu w stosunku do Laurel, kiedy była jeszcze dzieckiem, i ja mu za to sprawiłem lanie. Od tej pory wciąż próbuje się na mnie odegrać. Co tym razem nakłamał?

- Powiedział, że wiosną 1945 roku postrzelił pan dwie osoby. Jedna z nich, Allie Russo, zmarła. Druga, Nelson Bagley, została ranna w głowę i poparzona w powstałym w wyniku strzału pożarze na „Canaan Sound”.

Lennox wykonał ręką szeroki gest lekceważenia.

- To wszystko bzdura.

- To ciekawe. Nelson Bagley sam pana zidentyfikował.

- W jaki sposób? Przecież on nie żyje.

- Widział pana we wtorek wieczorem w telewizji. W środę wieczorem udał się z Haroldem do pana domu. Według słów Harolda zepchnął pan Bagleya z urwiska.

Następnie umówił się pan z Sherrym na spotkanie, zamierzając go zgładzić. Na nieszczęście dla pana Sherry uszedł z życiem.

- I pan w to wierzy?

- Chciałem najpierw sprawdzić u pana wiarygodność słów Harolda. Ale pan nie bardzo chce ze mną rozmawiać.

- A czego pan oczekiwał? Oskarża mnie pan o dwa morderstwa, z którymi nie mam nic wspólnego. Myślał pan, że padnę plackiem i przyznam się do winy?

- Trzy morderstwa - poprawiłem. - Jedno opuściłem. Sekretarz pana matki, Tony Lashman został zabity, ponieważ wiedział, że Harold Sherry i Nelson Bagley byli w pana domu w środę wieczorem.

Po raz pierwszy Lennox wyglądał na naprawdę skonsternowanego.

- Ja nawet nie wiedziałem, że Lashman nie żyje.

- Jego ciało leży w kostnicy w tutejszym szpitalu. Tak samo ciało Bagleya. Jak tylko odzyska pan siły, chętnie pana tam zaprowadzę, aby ich panu pokazać.

- Bardzo pan uczynny. Niech się pan wreszcie stąd wyniesie.

- Jeszcze nie skończyliśmy. Chcę, żeby pan mi powiedział, jak zginął Bagley i dlaczego. Jestem osobiście zainteresowany tym człowiekiem. To właśnie ja wydobyłem jego zwłoki z oceanu.

- Ja go tam nie wepchnąłem.

- Sherry mówi, że tak.

- Co wcale nie znaczy, że tak być musiało. On prawdopodobnie sam go utopił.

- Jakiż miałby motyw zbrodni?

- Taki psychopata, jak on, nie potrzebuje żadnego motywu. Ale skoro pan go musi mieć, Sherry prawdopodobnie utopił Bagleya, aby móc mnie oskarżyć o morderstwo.

- To nie jest bardzo wiarygodne.

- Pan nie zna Harolda, nie wie pan, co on do mnie czuje.

- Myślę, że wiem. Wiem też, że nie zabił Bagleya.

- Tylko ja?

- Albo pan sam - powiedziałem - albo pan kogoś osłania.

Znowu spojrział mi w twarz, a jego wzrok wywierał niemal odczuwalny nacisk, jakby Lennox starał się wyczytać moje myśli.

Do drzwi lekko zastukała młodsza pielęgniarzka, która przysłała po tacę.

- Czy smakowało panu śniadanie?

Lennox był tak pogrążony w myślach, że nie usłyszał jej. Pielęgniarzka spojrziała na niego z wyrzutem, a na mnie pytająco i wyszła. Kiedy automatyczne

drzwi zamknęły się zupełnie, spytałem Lennox:

- Kogo pan osłania?

Znów przeszkodzono nam, co sprawiło, że mógł nie spieszyć się z odpowiedzią. Przy łóżku zadzwonił telefon. Lennox podniósł słuchawkę:

- Mówi Jack Lennox... Nie żyje?... Co, na miłość boską, robił na spychaczu?...

Aha... Naprawdę? Gdzie jest?... Rozumiem. Nie przejmuj się. I nikogo nie wpuszczaj.

Odłożył słuchawkę i oparł się na poduszkach wciągając głęboko powietrze w płuca, co nie wydawało się wcale przejawem smutku. Podniecenie zabarwiło jego policzki i rozświetliło oczy.

Po chwili usiadł wyprostowany dumnie.

- Dzwoniła moja żona. Dziś rano zmarł mój ojciec. Tak się składa, że jestem jego głównym spadkobiercą, co znaczy, że już nigdy więcej nie będę wysłuchiwał niczyich bredni.

- Brawo!

- Nie drwij ze mnie, mały człowieczku. - Omiótł wzrokiem ściany, jakby nagle pokój stał się zbyt mały, aby go pomieścić, i spojrzał na mnie. - Co byłby pan gotów zrobić za sto tysięcy dolarów?

Milczałem.

- Czy zgodziłby się pan milczeć na temat naszej dzisiejszej rozmowy?

- Czy pan mi proponuje sto tysięcy dolarów? Kiwnął głową patrząc na mnie, jak patrzy kot na wróbla.

- Te same sto tysięcy, które zaproponował pan Haroldowi Sherry? - spytałem.

- Może to się da zrobić.

- I jeszcze kulę na dodatek, tak jak Haroldowi? Skrzywił się i prychnął.

- Do diabła z panem. Pan nie mówi poważnie.

- Za późno na układy - powiedziałem. - Harold rozmawia w tej chwili z ludźmi szeryfa. Niebawem tu będą. - Odczekałem, aż przyswoi sobie tę wiadomość. - Co pan im powie?

Opadł na poduszki i wlepił wzrok w sufit. Fala podniecenia i poczucia władzy na wieść o śmierci ojca przeszła, pozostawiając go w pełnym bezwładzie. Zaczął mówić innym tonem, dociekliwym, który nie leżał w jego naturze i nie przyszedł mu łatwo.

- Zna pan moją córkę Laurel, prawda?

- Tak, powierzchownie.

- Lubi ją pan, prawda?

- Bardzo.

- Czy zechce pan zrobić Laurel przysługę? Nie proszę o to dla siebie, tylko dla niej.

- Staram się jak mogę. Szukam jej od środy.

- Więc może pan już przestać. Przed chwilą żona powiedziała mi, że wczoraj wieczorem Laurel wróciła do domu. W tej samej minucie dowiedziałem się, że mój ojciec zmarł, a córka żyje. - Mówił z rodzajem egocentrycznego sentymentalizmu, jakby widział siebie jako postać w dramacie.

Serce mi łomotało.

- Gdzie była?

- Zapewne wałęsała się. Zbierała się na odwagę, żeby wrócić.

- W jakiej jest formie?

- Nie za dobrej. Marion musiała jej dać środek uspokajający. Laurel wciąż nurtuje myśl, żeby coś sobie zrobić.

Zapadła między nami cisza. Lennox leżał nieruchomo z rękami wyciągniętymi wzdłuż boków, jakby usiłował wczuć się i zrozumieć kłopotliwe położenie córki.

- Czy Laurel coś komuś zrobiła? - spytałem.

- Tak. Niestety tak.

- Czy to ona zepchnęła Nelsona Bagleya z urwiska? Kiwnął głową ledwie dostrzegalnie.

- Mamy patio z niskim murem nad urwiskiem i Laurel siedziała tam, starając się oczyścić z ropy pióra ptaka. Bagley musiał ją zauważyć z drogi, bo podszedł do niej. Zapewne ją nastraszył, bo pchnęła go za mur.

- Czy Harold to widział?

- Chyba nie. Był nieco dalej w swoim samochodzie. Na szczęście matka Laurel jest jedynym świadkiem. Ale Sherry domyślił się, co się stało... nie mogłem uciszyć Laurel, która szlochała i krzyczała... i zażądał stu tysięcy dolarów za milczenie. Musiałem się na to zgodzić. Chodziło również o inne sprawy, sprzed lat.

- Czy powie mi pan o tych innych sprawach?

- Nie, nie powiem. Byłem gotów zapłacić sto tysięcy za pozostawienie tego wszystkiego w spokoju i nadal podtrzymuję tę gotowość.

- Kto wymyślił ten chwyt z porwaniem?

- Ja. To się zgadzało z opinią, jaką miała moja rodzina o Haroldzie. I nie

potrafiłem wymyślić innego sposobu, żeby zdobyć aż tyle pieniędzy.

- Miało jeszcze inną zaletę - powiedziałem. - Gdyby się panu wczoraj udało zabić Harolda, nikt by nie miał panu tego za złe.

Spojrzał na mnie bystro, ale nie otworzył ust.

- Wciąż nie rozumiem - ciągnąłem - czemu Laurel zepchnęła Bagleya w urwisko?

- Szczerze mówiąc, ja też nie. Żona uważa, że Laurel mogła go pamiętać z czasów swojego dzieciństwa. Może nawet widziała, jak zastrzelił Allie Russo.

- Czy Laurel była w domu Russów, kiedy nastąpiło morderstwo?

- Możliwe, że tak. Allie była opiekunką Laurel.

- Czy Allie opiekowała się Laurel w tę noc, kiedy została zabita?

- Nie pamiętam.

- To była noc poprzedzająca wyjście „Canaan Sound” w morze. Powinien pan pamiętać, co działo się w ostatnią noc spędzoną na brzegu.

- Może powinienem, ale nie pamiętam. Cały dzień piłem. Musieli mnie dosłownie wnieść na pokład.

- Jeżeli pana córka była w tę noc u Russów, ktoś musiał ją tam zawieźć. Czy to pan ją zawoził?

- Powiedziałem już, że nie pamiętam.

- Czyż Allie nie była w tym czasie pana dziewczyną?

- Nie. Nie była.

- Jeżeli Allie nie była pana dziewczyną, to czemu pan strzelał do Bagleya?

Lennox nagle usiadł.

- Somerville się wygadał?

- Nieważne, kto się wygadał. Ważne, dlaczego strzelał pan do Nelsona Bagleya?

Skrzywił się i zaczął popatrywać na boki, jak ktoś schwytyany we własne sidła.

- A więc to Somerville. Tym gorzej dla niego. Więc dobrze. Allie była istotnie przez krótki czas moją dziewczyną, kiedy czekałem na odkomenderowanie na statek. Tej nocy, kiedy zaokrętowałem się w Long Beach, nie wiedziałem, że ona nie żyje. Dowiedziałem się dopiero po kilku tygodniach, gdy otrzymaliśmy pierwszą pocztę na wodach azjatyckich. Byłem odpowiedzialny za pocztę, więc pierwszy ją otrzymywałem. Ktoś przysłał mi wycinek z gazety z opisem zabójstwa Allie oraz z rysopisem głównego podejrzanego.

- Któremu to opisowi odpowiadał Bagley.

- Właśnie. Człowiek, który mi przysłał ten wycinek, przysłał go również Somerville'owi. Był tym tak roztrzęsiony, że bezwiednie doprowadził do pęknięcia jednego ze zbiorników z paliwem. Ja byłem zupełnie spokojny. Wezwałem Bagleya do kabiny łączności i trzymając go pod muszką rewolweru zadałem mu kilka pytań. Bagley przyznał się, że był w jej domu tamtej nocy. Kiedy mu pokazałem wycinek z gazety, rzucił się do ucieczki. Pobiegnęłam za nim i niechcący nacisnąłem cyngiel. Kula trafiła Bagleya, a wystrzał spowodował pożar statku. Ale ten pożar powstał naprawdę z winy Somerville'a... to on doprowadził do pęknięcia zbiornika. Jeżeli Somerville po tylu latach chce tę sprawę wywlec, sam na tym wyjdzie najgorzej. Od dziś jestem szefem spółki.

Ale rozglądał się wokół jak królewicz, który za długo czekał i był zmęczony już w chwili koronacji. Zastanowiłem się, jak długo będzie sprawował odziedziczoną po ojcu władzę, i pomyślałem, że bardzo krótko.

- Kto przysłał te wycinki panu i Somerville'owi? - zapytałem.

- Nie wiem.

- Czy było w kopertach coś jeszcze?

- W mojej nie.

- Żadnych dopisków na kopercie?

- Nie. Adres był wypisany na maszynie.

- Adres poczty Marynarki Stanów Zjednoczonych?

- Tak.

- Czemu według pana przysłano wam te wycinki?

- Żeby nam dopiec.

- A więc ten, kto je przysłał, musiał wiedzieć, że pan i Somerville byliście blisko z Allie Russo, prawda?

- Chyba tak.

- Hu ludzi wiedziało, że pan był jej kochankiem?

- Nikt.

- A dzieci? Laurel i Tom?

Lennox pochylił się ku mnie z rozszerzonymi oczyma, jakby trafiony dalekim strzałem gdzieś zza zakrętu czasu.

- Myśli pan, że ten chłopczyk mógł nam przysłać wycinki? Albo Laurel? Ona miała zaledwie trzy lata, a on był niewiele starszy.

- Ale byli oboje dostatecznie duzi, aby móc mówić. Lennox osunął się na poduszki starając się przyswoić tę myśl. Jego twarz zrobiła się biała i niespokojna. Gryzł wargi.

- Czy nie przychodzi panu na myśl ktoś, komu mogli powiedzieć? - spytałem.

- Nie. Nikomu nie mówili. - Obrócił się nerwowo na łóżku. - Pytałem, czy jest pan skłonny wyświadczyć mojej córce przysługę?

- Nie powiedział mi pan jaką.

- Czy zechciałby pan zaopiekować się nią trochę, może zabrać w krótką podróż?

- Musiałbym się zastanowić.

- Tu nie ma czasu na zastanawianie. Mami na myśli teraz, zaraz, dzisiejszy ranek. Dam wam odrzutowiec i pilota, i dobrze zapłacę.

- Gdzie mam ją zawieźć?

- Po prostu wywieźć z kraju. Najlepsza byłaby zapewne Ameryka Środkowa... mamy tam pewne powiązania.

- To nie jest dobry pomysł - odparłem. - Jeżeli Laurel zabiła Bagleya, lepiej, żeby została i stanęła przed sądem. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, jej stan emocjonalny, nie zostanie skazana za morderstwo.

- Co jej zrobią?

- Trudno przewidzieć. Ale przy takich adwokatach i lekarzach, na jakich pana stać, powinno się panu udać zmniejszyć karę albo nawet spowodować zwolnienie warunkowe córki i umieszczenie pod nadzorem męża.

- Czy jej mąż przyjąłby na siebie taką odpowiedzialność?

- Sądzę, że tak. Kocha ją.

- Ale czy to wszystko nie dostanie się do gazet?

- I tak by się dostało. Zwłaszcza, gdyby pan spróbował wywieźć ją z kraju.

Lennox milczał długą chwilę.

- Ma pan rację, to nie był dobry pomysł. Ale mimo to chcę, aby pan coś dla mnie zrobił. Dla Laurel. Żeby pan zaraz poszedł i zaopiekował się nią. Nie mogę sam tego zrobić, a Laurel i Marion nie są w najlepszych stosunkach. Nie były, odkąd Laurel zaczęła żyć własnym życiem. Czy przejmie pan nad nią opiekę od Marion?

- Zrobię, na co mnie stać.

Idąc przez hall szpitalny natknąłem się na Sylwię Lennox. Wyglądała jak po przebytej ciężkiej chorobie. Twarz miała wynędzniałą, a oczy bardzo błyszczące.

- Nie znalazł pan Laurel?
- Jeszcze nie.
- Jak się ma Jack?
- Jest znacznie silniejszy - odparłem.
- Mój mąż, William Lennox, zabił się dziś rano. Słyszał pan o tym?
- Tak. Bardzo mi przykro.
- Mnie też, co mnie dość dziwi. Byłam na niego bardzo zła, życzyłam mu śmierci.
- To nie życzenie go zabiło.
- Wiem. Jeszcze nie zwariowałam, choć wczoraj po południu mógł pan odnieść takie wrażenie. - Wciągnęła powietrze. - Wczoraj wydawało mi się, że osiągnęłam kres życia, kres mojej natury. Ale przed chwilą odkryłam, że wcale nie. Przykro mi, że William nie żyje. Mam nawet trochę współczucia dla tej kobiety.
- Więc niech jej pani to powie.
- Nie jest to aż tak wielkie współczucie - odparła sucho.
- To czemu pani mówi o tym mnie?
- Bo jest pan świadkiem. Widział mnie pan wczoraj na dnie. Chciałam, aby pan wiedział, że nie zamierzam spędzić reszty życia w podobnym stanie. - Przynęła się bliżej i zniżyła głos: - Ale nie mogę się pogodzić z tym, co się stało z Tonim Lashmanem. Dlaczego pana zdaniem go zabito?
- Żeby mu zamknąć usta. On też był świadkiem. Bardzo panią przepraszam, muszę pędzić dalej.

Trzeba było zaświadczyć jeszcze jedno.

Rozdział czterdziesty drugi

Zaparkowałem na drodze koło skrzynki na listy Jacka Lennox. Zanim zbliżyłem się do domu, wyjąłem rewolwer z bagażnika, załadowałem i wsunąłem do kieszeni. Szedłem podjazdem ostrożnie, pilnie się rozglądając. Po raz pierwszy oglądałem ten dom w dziennym świetle.

Był niski, wbudowany w krawędź urwiska i częściowo wiszący nad nim na wspornikach. Po prawej stronie domu mieściło się patio z murem, za który spadł Bagley ponosząc śmierć.

W patio leżał martwy perkoz, umazany ropą. Dalej ciągnęło się puste pole, które zaorano, aby wytepić chwasty. W ziemi grzebały ptaki wypędzone z plaży.

Na wodzie pływały motorówki posypując wciąż nie kurczące się krawędzie

ropy chemikaliami i rozrzucając słomę. Na niebie ponad nimi wisiał dym, niczym ciemne odzwierciedlenie ropy rozlanej na morzu. Kiedy podszedłem nad urwisko, dostrzegłem liczne źródła tego dymu. Wzdłuż całej linii brzegu buchały płomieniami ogniska; palono przesiąkniętą ropą słomę, którą dziesiątki ludzi zgrabiało z czarnej, kamienistej plaży.

Zazdrościłem ludziom w motorówkach i na plaży. Zazdrościłem wszystkim, którzy nie mieli takiego jak ja zadania do wykonania.

- Zapukałem do frontowych drzwi. Marion Lennox musiała mnie obserwować z domu, bo powiedziała:

- Proszę odejść. Mój mąż zabronił mi kogokolwiek wpuszczać.

- Pani mąż mnie tutaj przysłał. Chyba pani mnie sobie przypomina. Jestem Archer.

- Czemu? - spytała wysokim, cienkim głosem. - Czemu pana tutaj przysłał?

- Chce, żebym zaopiekował się Laurel.

- Sama sobie świetnie... - Ugryzła się w język. - Laurel tutaj nie ma.

- Pani mąż mówi, że jest. Niechże mnie pani wreszcie wpuści. Musimy omówić kilka spraw.

Nagle otworzyła drzwi. Poranne światło padło ostro na jej twarz. Włosy miała zwichrzone, przetkane siwizną, jakby czas przeczesał je swymi szarymi palcami.

Sztucer z lunetą stał w kącie hallu. Ominąłem panią Lennox i wziąłem go. Nie próbowała mnie powstrzymać, tylko stała i patrzyła na mnie oczyma, w których były ślady długiej nieprzespanej nocy. Rozładowałem sztucer i odstawiłem na miejsce.

- Gdzie jest Laurel?

- W swoim pokoju. Dałam jej parę tabletek nasennych i zasnęła.

- Co się stało z tamtymi tabletkami? Z Nembutalem?:

- Spuściła je z wodą w klozecie w garażu Somerville'ów. Powiedziała, że mało ich nie połknęła. Ale zdecydowała się żyć. - Oczy pani Lennox były błyszczące i czujne. - To była mężna decyzja.

- Żeby dalej żyć?

- Tak. Musi stawić czoła tylu rzeczom. Czy mój mąż nie mówił panu, co ona zrobiła? - Jej pociągła twarz jeszcze się wydłużyła. Myślałem, że zacznie płakać, ale z jej wygiętych w podkowę ust popłynęły tylko słowa: - Wczoraj wieczorem zabiła człowieka... nie, przedwczoraj. Zepchnęła go z naszego patio i upadł na skały. Ale pan wie o tym.

- A skąd pani o tym wie?

- Widziałam, jak to zrobiła. Podbiegła i pchnęła go z całych sił. Poleciał przez mur.

Zilustrowała opisywany czyn gwałtownym wypchnięciem rąk. Ale jej twarz z otwartymi ustami i wyrazem przerażenia była jak twarz człowieka spadającego.

- Czemu Laurel go zabiła?

- Nie wiem. Wiele rzeczy trudno pojąć.

- Może pamiętała Bagleya z dawnych czasów, gdy była małą dziewczynką?

- Tak, chyba tak. - Chwyciła się skwapliwie tej myśli. - Prawdę mówiąc on zamordował jej opiekunkę, kiedy Laurel miała trzy latka. Strzelił i zabił ją.

- A Laurel to widziała?

- Nie wiem, może. Była wtedy w tamtym domu. Powinna była spać, tak samo jak Tom, ale może widziała.

- Skąd pani wie to wszystko?

- Mam swoje sposoby. Ludzie starają się ukryć przede mną różne rzeczy, ale ja i tak potrafię się dowiedzieć.

- Czy była pani w domu Russów w noc zamordowania Allie?

Kiwnęła głową.

- Pojechałam tam, żeby zabrać Laurel. I to wszystko. Jack miał spotkać się ze mną w klubie, ale nie przychodził i nie przychodził, więc pojechałam i zabrałam Laurel

- Czy Allie była już martwa, gdy pani tam przyjechała?

- Nie wiem. Nie zaglądałam do sypialni. Nie wiedziałam o jej śmierci, póki nie przeczytałam o tym w gazetach.

- Kiedy to się stało?

- Kilka dni później. Mały Tom był z nią sam przez cały ten czas. Ale nie wiedziałam o tym. Przysięgam, że nie wiedziałam.

- Wierzę pani. Trzeba by było być potworem, żeby zostawić dziecko ze zwłokami matki.

- Nie jestem potworem. - Przeraziło ją to określenie. - W każdym razie to nie było moje dziecko. Należał do tej łajdaczki.

- Czemu ją pani tak nazywa?

- Bo była łajdaczką. Była nielepszą od zwykłej prostytutki. Ale Jack wolał spędzić tę ostatnią noc przed wyjściem w morze właśnie z nią, nie ze mną. Pojechał

do niej, żeby zostawić u niej Laurel, i nie wrócił. Przyjechałam i zobaczyłam go pijanego w jej...

Zasłoniła rękami twarz. Ale nie udało się jej całkowicie ukryć szeroko rozwartych oczu i ust.

- Czy to pani ją zabiła?

Po chwili milczenia odparła:

- Jeżeli tak, to nie bez powodu.

- Ale to pani ją zabiła?

- Nie odpowiem - rzekła zza osłony rąk. - Mam prawo wstrzymać się od odpowiedzi. Poza tym wszyscy wiedzą, że zrobił to Nelson Bagley.

- Skąd pani wie?

- Bo czytałam o tym w „News”. Sąsiedzi widzieli go, jak tego wieczoru kręcił się koło jej domu, i podali jego rysopis policji.

- To wszystko było wydrukowane w „News”?

- Z całą pewnością. Mam jeszcze gdzieś wycinek z tej gazety, jeśli to pana interesuje.

- Czy miała pani więcej tych wycinków?

- Prawdę mówiąc rzeczywiście miałam. Uznałam to za ważną wiadomość.

- A co pani z nimi zrobiła?

- Posłałam je innym zainteresowanym.

- To znaczy mężowi i szwagrowi?

- Tak. Chciałam, żeby się dowiedzieli.

- Chciała pani, żeby wiedzieli, co pani zrobiła, ale żeby nie podejrzewali o to właśnie pani.

Oddychała głęboko, jakby całą noc wstrzymywała oddech. Ściany hallu zaczęły się jak gdyby ścieśniać. Znowu ten hall wywarł na mnie wrażenie celi z więźniami, którzy nie mają nadziei na uwolnienie.

- Czemu ja jedna muszę cierpieć? - powiedziała. - Wy, mężczyźni, tylko się bawicie. A nas, kobiety, pozostawiacie, abyśmy cierpiały.

- Czy tak właśnie robił pani mąż?

- Bezustannie - odparła. - Nawet ten ostatni wieczór spędził z nią.

- Więc pani ją zabiła.

- Do niczego się nie przyznaję.

- Ale przyznała pani, że wysłała wycinek z „News” mężowi.

- To żadne przestępstwo. Nikt nie może mi nic zrobić za wysłanie mężowi wycinka z gazety. Wydawało mi się, że ma prawo wiedzieć o jej śmierci. - Mówiła z rodzajem żalu, ale ten żal dawno już przekształcił się w złość. - Często wyobrażałam sobie, jaką miał minę, kiedy otworzył kopertę i dowiedział się o śmierci kochanki.

- A czemu posłała pani wycinek Somerville'owi?

- Bo ona była najpierw jego dziewczyną. On ją przekazał Jackowi. - Spojrzała na mnie z odrazą. - Wy, mężczyźni, jesteście lajdakami, wszyscy. Cieszę się, że to wreszcie wyszło na jaw. Od lat odczuwam mdłości na myśl o tej plugawej fikcji małżeństwa.

- Czemu pani pchnęła Nelsona Bagleya w przepaść?

- Bo mnie pamiętał. Widział mnie w jej domu tamtej nocy. To on zadzwonił i powiedział mi, że mój mąż jest u niej.

- A pani tam pojechała i zastrzeliła ją?

- Nie przyznaję się do niczego - odparła.

Ale patrzyła na mnie świadoma, że właściwie przyznała się już prawie do wszystkiego.

- Czy Laurel widziała, jak pani go pchnęła?

- Tak. I uciekła. Ale wróciła wczoraj wieczorem.

- Czy rozmawiała o tym z panią?

- Tak. Rozmawiała. Mówiła, że powinnam zadzwonić na policję i wszystko powiedzieć.

- Czy chce pani to zrobić?

- Nie wiem. Boję się. Co oni ze mną zrobią? Zabiłam troje ludzi. - Jej twarz znów przybrała wyraz kogoś spadającego w przepaść.

- Rozumiem, czemu zabiła pani Allie Russo - powiedziałem - i Nelsona. Ale czemu Tony Lashman musiał umrzeć?

- Bo wiedział, że Nelson Bagley tu był. Próbował wyciągnąć ode mnie pieniądze. Zażądał stu dolarów dziennie do końca życia.

Jej głos był zimny i pełen oburzenia. Tyle w życiu wycierpiała, że była zupełnie nieczuła na cudze cierpienie. Zacząłem mieć jej wyżej uszu, więc poprosiłem, aby zaprowadziła mnie do Laurel.

Weszliśmy do sypialni położonej we frontowej części domu. Ściana zwrócona ku morzu była ze szkła, ale ciężkie zasłony chroniły pokój przed porannym słońcem. Szklane drzwi w rogu prowadziły na balkon z barierką.

Na łóżku leżała pogrążona we śnie Laurel. Miała poduszkę pod ciemną główką i przykryta była wełnianym szalem. Na stoliku obok łóżka stał telefon. Zanim z niego skorzystałem, schyliłem się i dotknąłem ustami jej ciepłego czoła. Ledwie mogłem uwierzyć, że żyje.

Za moimi plecami drzwi na balkon otworzyły się i zamknęły. Marion Lennox wspinała się niezgrabnie na barierkę.

Skoczyłem ku niej.

- Marion, wracaj!

Nie zwróciła na mnie uwagi. Skoczyła i poszybowała bezgłośnie w dół, póki nie zatrzymały jej czarne głazy. Dyni zawirował nad jej ciałem jak nad stosem całopalnym.

Wróciłem do Laurel. Poruszyła się i na wpół ocknęła, jakby moja troska o nią dotarła w sposób namacalny do jej pogrążonej we śnie świadomości. Żyła.

Podniosłem słuchawkę i zacząłem załatwiać niezbędne telefony.